



28 stycznia w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia corocznych nagród. W kategorii mediów lokalnych, nagrodą im. Aleksandra Miłskiego władze SDP uhonorowały redakcję Kalendarza Beskidzkiego. Z rąk prezesa Zarządu SDP Krzysztofa Skowrońskiego (na zdjęciu pierwszy z prawej) i zastępcy prezesa Agnieszki Romaszewskiej-Guzy (na zdjęciu druga z prawej) nagrodę odebrali – wydawca czasopisma, prezes Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia Grażyna Staniszevska (trzecia z lewej) oraz redaktor naczelny Kalendarza Beskidzkiego Jan Picheta (w środku), nasz długoletni współpracownik i kolega. Gratulujemy!

Dagmara Drzazga (na zdjęciu obok) – autorka opublikowanej na łamach „Śląska” (nr 10/2014) rozmowy z Lechem Majewskim zatytułowanej „Dante odrodził się w Katowicach”, otrzymała Honorowe Wyróżnienie Nagrody im. Macieja Łukasiewicza za publikację na temat współczesnej cywilizacji i kultury w konkursie ogłoszonym przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 28 stycznia w siedzibie stowarzyszenia.



Trzy dni Weekendu Otwarcia (15-17 stycznia 2016) wypełnione prawie setką wydarzeń kulturalnych zainaugurowały Rok Europejskiej Stolicy Kultury we Wrocławiu. Dziesiątki tysięcy osób wzięło udział w „Przebudzeniu” – gigantycznym pochodzie gwiazdzistym.

Swoją udział w tzw. Koalicji Miast 2016, towarzyszącej projektowi ESK będą miały również Katowice, które również ubiegały się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury.

*Więcej o projekcie Koalicji Miast
piszemy na str. 64*

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

Nr 2 (243). Rok XXI. LUTY 2016 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
**GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH**
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna
KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH. S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. Katarzyna Gluch-Juskiewicz SIEDMIOLATKI DO SZKOŁY, TRZYLATKI DO... NIANI
A DZIURA BUDŻETOWA DO SAMORZĄDÓW
6. Rozmowa z prof. Katarzyną Krasoń WYSKAKAĆ STACHURĘ
10. Zdzisław Jedynek KIEDY KATOWICE UZYSKAŁY PRAWA MIEJSKIE?
14. Henryk Szczepański ŚLAWNA BUDOWLA INŻYNIERA KOŁODZIEJSKIEGO
16. Rozmowa z Weroniką Murek POZA KÓŁECZKIEM
18. Rozmowa z Ryszardem Siwym, kompozytorem i aranżerem
MUZYCZNA PODRÓŻ Z PODLESIA DO MEKSYKU
22. Jerzy Machura PIERWSZY Z WISŁY
24. Wiesław Koterski LUSTRO NASZE EUROPEJSKIE
32. Marcelina Janisz LITERACKIE ŚWIATY PIOTRA GUZEGO
35. Grzegorz Sztolcer Z BOJSZÓW NA GÓRNY ŚLĄSK
40. Jerzy Paszek ABC O RZĄDKICH WYRAZACH W POWIEŚCIACH I KRZYŻÓWKACH
52. Rozmowa ze Shlomo Mintzem MIASTO GORĄCE W ŚRODKU
62. LISTY
64. MUZYCZNY KATOWICKI TYDZIEŃ

FELIETONY

27. NOTATNIK SPOŹNIONEGO PRZYBYSZY
Marek S. Szczepański MIEJSKIE SIEROTY PO REALNYM SOCJALIZMIE (II)
58. Henryk Bzdok ANDEGOTY
59. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek OPERA ZA MIEDZĄ
63. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas DŁACZEGO SKRÓTOWIEC PiS SIĘ ODMIENIA, A NP. PO NIE?
65. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŃNA
Jan Miodek WONIO W ŚLĄSKICH GWARACH I W STAROPOLSZCZYŹNIE
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk KARTOFLE Z MIĘTĄ

PLASTYKA

43. Rozmowa z Jerzym Kędziórą, twórcą rzeźb balansujących OBYWATEL ŚWIATA
Z CZĘSTOCHOWY
49. JERZY KĘDZIÓRA. RZEŻBY BALANSUJĄCE
50. GRZEGORZ BIALIK. MALARSTWO
51. Stefan Gierlotka MISTYCZNY ŚWIAT GRZEGORZA BIALIKA
84. KOLEKCJA „ŚLĄSKA”: IRENEUSZ WALCZAK

TEATR

66. Radosław Kobierski JĘZYK, KTÓRY ZAWĘDROWAŁ TAK WYSOKO

KSIAŻKI

70. Maria Dębicz PORTRET WIELOKROTNY
71. Katarzyna Bereta TRAKTAT O GRZE W ŚWIAT
72. Krystyna Heska-Kwaśniewicz SŁONECZNA KSIAŻKA
73. Wiesława Konopelska W JEDNYM SZEREGU Z LISZTEM I WAGNEREM
74. Katarzyna Niesporek KRZYK I CISZA
74. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIAŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Anna Piliszewska (***)
12. Genowefa Jakubowska-Fijałkowska WIERSZE
13. Anna Piliszewska WIERSZE
28. Katarzyna Bereta WIERSZE
29. Kalina Jaglarz WIERSZE
29. Mirosława Pajewska WIERSZE
30. Roman Maciuszkiewicz OSTATNIA PODRÓŻ WIELKIEJ RYBY
54. Witold Turant NIE MA MORZA W BAGDADZIE (cz. II)

EKOLOGIA

60. Jolanta Karmańska CZY NA MATECZNIK SPADNIE TOPÓR?

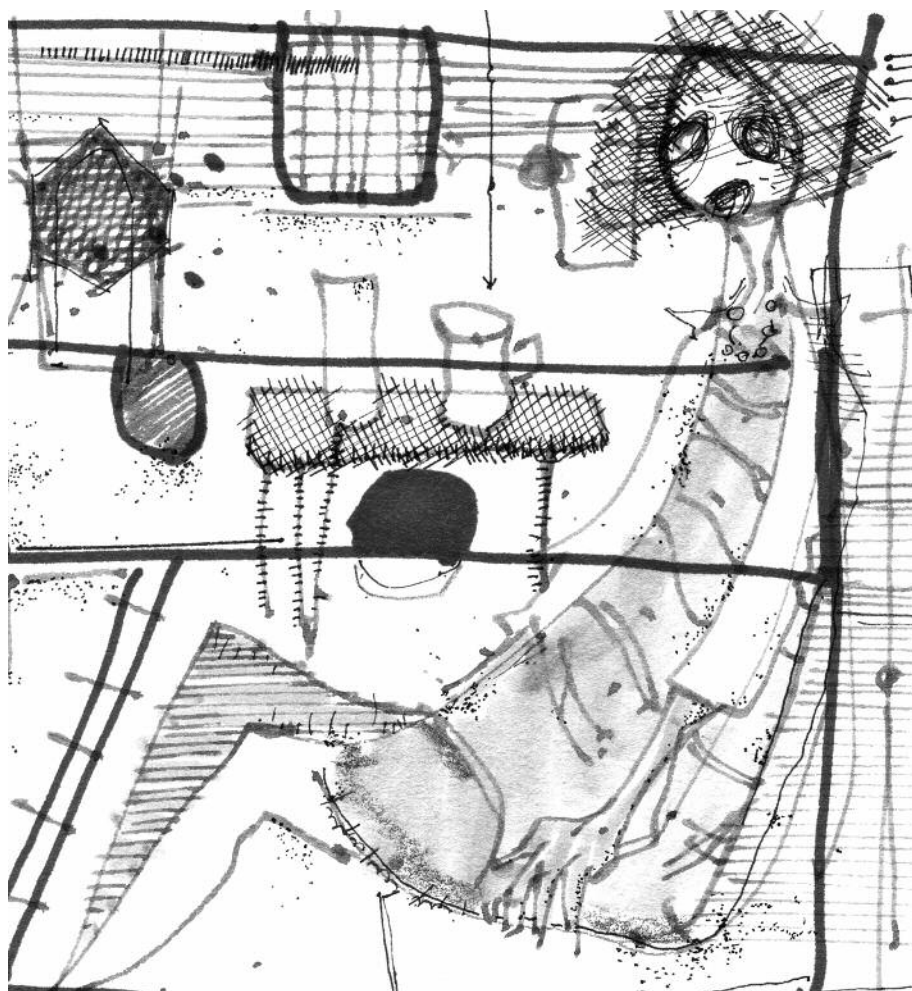
STAŁE RUBRYKI

67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. HERRB KATOWIC
69. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Aurelia Oklesińska PIĘTNAŚCIE LAT SAMODZIELNOŚCI
68. OPOLE. MALARSTWO BEATY WEWIÓRKI I EDWARDA SZCZĄPOWA
76. NOTATNIKI KULTURALNE
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

Jerzy Kędzióra. Rzeźba balansująca.
Fot. Bartłomiej Kędzióra

Rys. Adam Dutkiewicz



* * *

ten który umiał nazwać moją duszę był
nocnym stróżem w fabryce popiołu
dałam mu wszystkie myśli za odłamek lustra

gdy przychodził nad ranem bawiliśmy się
w cyrk – przymierzałam kolejno jego kapelusze
a on stawał się
kotem – mruczał albo leniwie czochrał się
o stopy a czasami podnosił ciężką rudą głowę
i musiałam całować przymrużone powieki
długo – każdą z osobna

głaskałam go pod włos i trzeszczało zielone
powietrze a potem zasypiałam jak zmęczone
dziecko z głową mocno wtuloną w rdzawą
sierść

kiedys zniknął – płakałam
w popielniku zamieszkał tłusty cień
pajaka
odtąd o północy układałam na języku
srebrny kawałek szkła i krztuszę się lepką krwią –
nie wiedziałam będę musiała umierać tak bardzo
powoli

Anna Piliszewska – pisarka, poetka, kulturoznawca. Interesuje się filozofią, literaturą, historią starożytną, malarstwem oraz muzyką klasyczną. Ceni nad wyraz poezję Bolesława Leśmiana. Ponadto jest miłośniczką zwierząt i wielkim przyjacielem przyrody... Laureatka licznych konkursów literackich o zasięgu ogólnopolskim oraz międzynarodowym; jest autorką książek poetyckich: *Perszerony jesienne* (2005), *Prywatna korespondencja* (2005), *Dziejba człowieka* (2010) oraz *Południe o barwie marengo* (2012).

Decyzja o cofnięciu obowiązku szkolno-przedszkolnego dotyczy niemal 2 milionów dzieci w Polsce. Zniesienie obowiązku szkolnego dla 6-latków i przedszkolnego dla 5-latków przewiduje znówelizowana ustawa o systemie oświaty, którą podpisał 7 stycznia prezydent Andrzej Duda. Czy to jednak koniec trwającej ponad 6 lat batalii?

Foto. Katarzyna Bereta



Klasa II sześciolatków w Szkole Podstawowej nr 17 w Chorzowie. Wychowawca Magdalena Biernacka.

Siedmiolatki do szkoły, trzylatki do... niani a dziura budżetowa do samorządów

KATARZYNA GŁUCH-JUSZKIEWICZ

Modne tematy do dyskusji zmieniają się częściej niż ostatnio pory roku w Polsce. Zwłaszcza, gdy jest się rodzicem. Początkowo dotyczą one dylematów związanych z porodem, karmieniem naturalnym bądź sztucznym, spaniem bądź nie z dzieckiem w jednym łóżku, wczesnym powrotem do pracy, kupowaniem słodyczy i karmieniem dziwactwami typu sushi w słoiczku.

Jak mama z mamą

Dziś tematów okołodziecięcych jest niewiele – dominują bowiem dwa: finansowanie religii w szkołach i wiek go-

towości szkolnej. W kręgu moich znajomych temat rozpoczął się w roku 2011, kiedy to musieliśmy podjąć decyzję o losie starszej córki i dziecka przyjaciół. Ówczesna minister edukacji Katarzyna Hall zachęcała rodziców dzieci z rocznika 2005, aby posłali swoje dzieci do szkoły zamiast do przedszkola. Resort zapewniał, że dzięki obniżeniu wieku szkolnego do 6 lat, wyrównane zostaną szanse dzieci na dobry start. To fakt – wertowaliśmy ze znajomymi różne podręczniki do 1 klasy i uznaliśmy w większości, że w zerówce nasze dzieci będą się nudzić. Zwłaszcza te z pierwszej połowy roku. Latorośl została przyjęta do I klasy szkoły państwowej, córka

znajomych do prywatnej, a 17 września 2011 r. na odchodnie minister edukacji Katarzyna Hall zapowiedziała, że... przesuwamy reformę z obniżeniem wieku szkolnego. Przyznała, że szkoły nie są gotowe na przyjęcie sześciolatków. Przez cały kraj, jak i województwo śląskie przetoczyła się fala protestów rodziców, którzy dziecko do szkoły posłali, a sami nie bardzo wiedzieli, czy dobrze zrobili. Fala krytyki polityków szybko została włączona w kampanię wyborczą, a na pierwszych stronach gazet pojawili się państwo Elbanowscy. Nowa minister edukacji Krystyna Szumilas 24 listopada 2011 roku zapowiedziała obowiązek szkolny dla sześciolatków dopiero od września 2014 r.

Mamy luty 2016 roku. Sześciolatki wciąż traktowane są jak karta przetargowa. Kolejny zapis został w programie wyborczym zmieniony, a przez samorządy przyjęty jako zło konieczne. Czy rodzice cieszą się z decyzji MEN o powrocie do starego systemu edukacji, w którym dziecko rozpoczyna obowiązkowo naukę w szkole podstawowej w wieku 7 a nie 6 lat? Justyna Łopaciuk – mama Pawła, dwunastolatka i Filipa, który we wrześniu skończy 6 lat odpowiada bez wahania:

– Ucieszyłam się z tej decyzji, może nie była to od razu ulga, ale i tak miałam zamiar posłać dziecko do szkoły w wieku 7 lat, tym bardziej że syn urodził się w połowie września. Dzięki tej decyzji nie muszę starać się o odroczenie ani zastanawiać się za jakiś czas, czy na pewno dobrze zrobiłam posyłając go rok później.

– Czy na pani decyzję miały wpływ warunki w szkole, program nauczania, czy raczej predyspozycje i przygotowanie emocjonalne dziecka?

– Szczerze mówiąc chciałam, żeby syn miał przedłużone dzieciństwo. Myślę, że bez problemu poradziłby sobie w szkole jako sześciolatek, ale wiem też, że będzie mu o wiele łatwiej, gdy będzie o rok starszy i większy. Starszy syn też poszedł do szkoły w wieku 7 lat i ani przez chwilę nie żałowałam tej decyzji. Od początku świetnie się uczył i nie miał większych problemów z koncentracją, co niestety nie zawsze wychodziło młodszym dzieciom. One po prostu nie są jeszcze nauczone do spędzania tyle czasu w ławce i skupianiu się na lekcji. Młodszy syn ma dodatkowo problemy emocjonalne, boi się wielu rzeczy, wiadać, że wyrasta z tego i jest coraz lepiej, ale myślę, że ten rok „zapasu” dużo mu jeszcze da.

– Pojawiają się opinie, że teoretycznie o losach dziecka decydują rodzice, ale de facto decyzje zapadły w ławach poselskich. Czy referendum w tej sprawie byłoby dobre? Pytam o to, bo sama niejednokrotnie zastanawiałam się nad jego hipotetycznym wynikiem.

– Referendum byłoby dobre, ale pod warunkiem, że brałyby w nim udział osoby bezpośrednio zainteresowane, czyli rodzice, a niestety często jest

tak, że wtedy, kiedy mogliby mieć coś do powiedzenia, to ich nie ma.

Tu przynaję Justynie Łopaciuk rację. Nazajutrz rozmawiam z mamą pięcioletniego Krystiana Zaręby. Od kilku miesięcy jest przekonana o tym, że Krystek pójdzie do szkoły w wieku sześciu lat.

– Składa już całe wyrazy z liter, w przedszkolu uczy się angielskiego, liczy lepiej niż niejeden pierwszak. Jest bardzo ciekawy świata i zawsze tak było – mówi Maria Zaręba. – Inne dzieci gryzły palce patrząc na przygody Złomka z bajki o autach, a Krystek oglądał z tatą Discovery i zadawał tysiące pytań. Autka go nudziły, do dziś stoją zakurzone na półce. Decyzję podjęliśmy po długim weekendzie u dalekiej rodziny męża w Warszawie. Kuzyn naszego synka – równolatek ledwo trzymał w listopadzie kredkę w dłoni – o literkach nie wspominając – ale za to godzinami siedział z tabletem, ba! Nawet bez niego nie potrafił zjeść obiadu. To znaczy tylko go grzecznie połykał – bo jego mama go wciąż karmi. Straszne, co? – śmieje się.

– Straszne – przytakuję, bo pamiętam, kiedy moja Alicja na początku I klasy zdobyła złoty medal za... najszybsze zawiązanie butów. Jako sześciolatka najmłodsza w klasie. Siedmiolatki nosiły buty na rzepy, bo nie potrafiły sprawnie tego zrobić. Na szczęście dzieci trafiły na dobrą wychowawczynię, po miesiącu konkursów wszyscy wiązali trampki prawie we śnie. Maria Zaręba nie boi się, że syn nie wysiedzi, liczy nawet, że się trochę rozrusza na lekcjach wf, bo jak mówi po cichu jest trochę „zasiedziały”.

– Co nie znaczy, że od rana do wieczora siedzi w domu – zastrzegła mama – raczej na spacerze zatrzymuje się przy każdym ciekawym drzewie, budce dla ptaków czy koparce. Ale w piłkę grać nie lubi. Nie wiem tylko jak pozostałe dzieci z jego przedszkolnej grupy – martwi się. – Są zżyci, chętnie się bawią i fajnie by było, gdyby stanowili jedną klasę. Ale pewnie tak się nie stanie. Są mamy, które wolą przedłużyć chłopakom dzieciństwo, mają wygodę z przedszkolem do 17., nie martwią się o pełne dwa miesiące wakacji i brak urlopu. Przed szkole to przedszkole. Jest wygoda – potwierdza i dodaje, że gdyby Krystek był z ostatniego grudnia zastanawiałaby się. Jest z 1 kwietnia.

Pytana czy cieszy się, że decyzja MEN wraca do starego systemu edukacji, w którym dziecko rozpoczyna obowiązkowo naukę w szkole podstawowej w wieku 7 a nie 6 lat nie potrafi odpowiedzieć jednoznacznie. Mama Krystiana przynaję, że są z mężem zwolennikami szkoły równych szans, tych samych podręczników w każdej szkole, fartuszków szkolnych takich jak w latach 70. a nawet tarcz i zakazów noszenia smartfonów do szkoły. „Ale to se ne vrati” – śmiejemy się obie, bo jesteśmy właśnie z rocznika *Elementarza* Falskiego, niebieskich stylonowych fartuszków, nazywanych w moim rodzinnym domu

„przykrybida”. Pokazuję jej list ze strony *Ratujmy Maluchy*. Przedrukowany z forum Rzeczypospolitej z datą 12.02.2014. Pisownia autentyczna: *Małgosia (gość) pisze: 12 lutego 2014 07:56:36 ja posłałam córkę w wieku 6 lat i do końca życia tego sobie nie wybaczę. Codziennie o tym myślę. Gdy zasypiam, gdy się budzę, cały czas myślę o tym, że ją skrzywdziłam. Teraz córka jest w 3 klasie, później będzie straszny przeskok w IV klasie jeśli chodzi o materiał. Materiał w I klasie specjalnie jest prosty żeby zachęcić rodziców żeby nie obawiali się, że ich dzieci sobie nie poradzą. Moja córka ma dobre i bardzo dobre oceny ale wiele ją to kosztuje, bo musi dłużej pracować. Napewno gdyby poszła w wieku 7 lat byłoby jej o wiele łatwiej z materiałem. Żyję w stresie od 2,5 roku.*

Przynaję czytelnicze forum rację. Z doświadczenia wiem, że przeskok z nauczania początkowego do klasy czwartej boli. I dzieci i rodziców. Ale czy zmieniałabym zdanie? Owszem, miałam chwilę zawahania. To, co 7-latkowi zajmowało 10 minut, mojej sześciolatce pół godziny. Na wf-ie była wolniejsza. Ale pominąwszy kwestie ocen, rozkojarzenia, takiego normalnego dziecięcego rozbrykania – posłanie mojej córki do szkoły w wieku sześciu lat nauczyło ją samodzielności. Patrzę na inne dzieci – jej rówieśników (11 lat) które do dziś nie potrafią jeść nożem i widelcem, nie zostają same w domu, wstydzą się zrobić zakupy czy wręcz płaczą na szkolnych wycieczkach. Jedenastolatek jedenastolatce nierówny – jeden czyta całą książkę tygodniowo i sam odrabia lekcje, w przerwie obierając ziemniaki. Inny nigdy jeszcze sam nie umył sobie włosów i nie zjechał sam windą. Nie wychodzi z kolegami na podwórko, tylko z mamą. To samo według mnie dotyczy sześciolatków. I musimy mieć świadomość tego, że dopóki rodzic będzie miał demokratyczny „wolny wybór”, dyskusje będą toczyły się zarówno w sejmowych ławach jak i na rodzinnych imprezach. Podobnie jest ze szkołami społecznymi, prywatnymi, gimnazjami... tematów sporo.

Mama Krystiana milczy po przeczytaniu listu z forum Rzeczypospolitej. W końcu wzrusza ramionami:

– Nie wiem, jak będzie, tak będzie, pojęcia nie mam jaka będzie szkoła przyszłości. Być może w szkołach krytykowanych przez Elbanowskich jest za wysoki poziom, za duże wymagania wobec dzieci, może zbyt ambitni rodzice. A może pechowo autorka listu z forum, ta Małgosia, trafiła na wyjątkowo kiepskiego pedagoga?

Dwa razy to samo

Pedagodzy tymczasem zastanawiają się jak dopasować przepisy do... przepisów. I kto na tym straci a kto zyska? Dlaczego? Otóż wg nowych zaleceń MEN

dzieci dwa razy będą uczyć się czytać i pisać. Nowe przepisy dają możliwość nauki literek w przedszkolu. W ubiegłych latach był, przypomnijmy, zakaz, którego de facto nie respektowały żadne normalne przedszkola. W niektórych wychowawczynie nawet śmiały się używając określenia „tajne komplety”. Więc nauka literek i cyferek po raz pierwszy w przedszkolu. Później tego samego będą się uczyć w pierwszej klasie. Być może nawet z tego samego, darmowego elementarza. Obecnie trwają prace nad nową podstawą programową, która ma to uregulować. Minister edukacji Anna Zalewska uważa jednak, że z tej sytuacji mogą wynikać też korzyści. Dzieci, które posiadały już taką umiejętność, mogą przejąć rolę liderów, którzy będą pomagać nauczycielowi. Mogą na przykład czytać bajki swoim rówieśnikom.

Moja córka – dziś w piątej klasie – gdy usłyszała to stwierdzenie w TV, wybuchnęła śmiechem..

– Mamo!?! Liderów? Zrobi się podział w klasie na kujonów i tępaków – to proste. Poza tym chłopcy będą się nudzić i zacząć rozrabiać. A nauczyciele faworyzować „geniuszy” Ale korzyści!

Dziecięca logika jest jasna i czytelna. Podobnie uważa pedagog Aleksandra Piotrowska. Jej zdaniem skazywanie dziecka na powtarzanie tego, co już umie, to podkładanie ładunku wybuchowego pod system edukacji. Zmuszanie dziecka do powtórzenia się tego, co już umie, zabija w nim najcenniejszą wartość młodego człowieka, czyli ciekawość poznawczą. Innym ważnym problemem jest przygotowanie podręczników do nauki pisania dla przedszkolaków. Wydawnictwa jak wiadomo potrzebują czasu na ich przygotowanie, do tego wymagana jest podstawa programowa, a tej – przypomnę – jeszcze nie ma.

– Nie ma też przedszkoli z gumy – ostrzegają dyrektorzy tych placówek – jeżeli kolejny rocznik zostanie w najstarszej grupie to w placówkach zabraknie miejsc dla maluchów. Rodzice trzylatków już dziś martwią się, gdzie we wrześniu znajdą prywatne przedszkole w okolicy, bo na państwowe nawet nie liczą. Wystarczy policzyć nowo wybudowane bloki na osiedlach, chociażby Tysiąclecia w Katowicach, czy napływ młodych ludzi z innych regionów kraju. Migracja ze Śląska? Jest i owszem, ale nie dotyczy ona rodzin z dziećmi w wieku żłobkowo-przedszkolnym.

To będą miliony

Wojciech Saługa marszałek województwa śląskiego uważa podobnie jak większość samorządowców w kraju, iż zmiany to proces niepotrzebny i kosztowny.

– Rozmawiam z prezydentami, bardzo poważny kłopot pojawi się już w tym roku budżetowym. Jeżeli sześciolatki nie pójść do szkół, to powstanie dziura,

w klasach może być tylko kilka osób, a może nie będzie z kogo takich klas utworzyć? – martwi się marszałek. Za tę dziurę trzeba będzie zapłacić. Goszcząc na antenie Polskiego Radia Katowice marszałek Saługa wylicza na przykładzie Piekara Śląskich:

– Tam trzeba będzie wydać około 2 mln złotych, trzeba będzie zdjąć te pieniądze z innych zadań na przykład remontów dróg, odśnieżania, inwestycji przewidzianych wcześniej w budżecie. Jeżeli obliczymy tę kwotę dla pięćdziesięciotysięcznych Piekara Śląskich, to w Katowicach pojawi się nam kwota 10 milionów złotych. Mamy też przepełnione przedszkola. Minister Zalewska mówi: „niech sobie samorządy radzą” i – jak widać – sobie radzimy – zapewnia marszałek, ale podkreśla dobitnie: – Nie można tak mówić nieodpowiedzialnie. Zrobimy to oczywiście kosztem zadań własnych, może trzeba będzie nawet wziąć kredyt. Wojciech Saługa potwierdza, że w centralnej Polsce rozpoczął się ruch zaskarżania rządu w kwestii dokładania nowych obowiązków bez doinwestowania.

Samorządy obawiają się, że po cofnięciu 6-latków do przedszkoli, w placówkach zrobi się tłok i nie wystarczy miejsc dla młodszych dzieci. Dlatego prezydent Świętochłowic Dawid Kostemski odwiedza miejskie przedszkola i spotyka się z rodzicami, przekonując ich, by o ile nie ma ku temu przeciwwskazań, jednak posyłali dzieci do szkoły. O brak środków w budżecie boi się też Sosnowiec – tam też może to być do 10 mln zł.

– Liczymy, że będzie to ok. 6 mln zł. Może nam się uda mniej, będziemy prosili rodziców sześciolatków o to, aby jednak swe dzieci do szkół posyłali – mówi prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński. Samorząd w Rybniku wskazuje z kolei na inny problem: braku pracy dla nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej. Tylko w tym mieście może to dotyczyć ok. 40-50 specjalistów, miasto także zamierza aktywnie włączyć się w akcję informacyjną dla rodziców. Tak jak w Gdańsku, Warszawie, Łodzi, Poznaniu. Mapa miast powiększa się. Minister edukacji odpowiada na te zarzuty słowami, że skoro zostanie więcej miejsc w szkołach, to „zerówka” nie musi odbywać się w przedszkolu, a w najbliższej położonej szkole podstawowej. To jednocześnie, zdaniem ZNP, uratowałoby etaty nauczycieli wychowania wczesnoszkolnego i „świecicowych” przynajmniej na parę lat. Czy gdyby okazało się, iż faktycznie wspomniana „zerówka”

musi odbywać się w szkole, a nie w przedszkolu – rodzice zmieniliby swą decyzję? Pytam różne mamy dzieci z zaprzyjaźnionego przedszkola. Justyna Łopaciuk odpowiada:

– Raczej nie, chociaż mam nadzieję, że jednak dziecko zostanie w przedszkolu. Ten jeden rok jest teraz problematyczny, bo faktycznie będzie mało pierwszoklasistów, ale w roku szkolnym 2017/2018 znów będą potrzebne sale dla uczniów, więc chyba nie ma racji bytu przekształcanie ich dla potrzeb przedszkolaków tylko na 1 rok.

Joanna Kluzik-Rostkowska – poprzednia szefowa resortu edukacji od początku nie widzi sensu w takich zmianach. Nie rozumie, czemu PiS uważa, że polskie dzieci są słabiej rozwinięte niż dzieci w ponad 130 krajach, gdzie edukację rozpoczyna się w wieku 6 lat lub wcześniej. Karolina Elbanowska ze Stowarzyszenia Rzecznik Praw Rodziców dziękowała nowej szefowej MEN za decyzję o siedmiolatkach. Wyraziła wdzięczność także wszystkim zaangażowanym w akcję „Ratuj Maluchy”. „Jesteśmy grupą społeczniczką, którzy wreszcie zostali wysłuchani” – powiedziała Karolina Elbanowska, zapewniając, że jej inicjatywa ma charakter społeczny, a nie polityczny. Czy mnie, matkę dwójki dzieci ktoś o zdanie pytał? Nie.

Z ciekawości weszłam na stronę internetową <http://naszelementarz.men.gov.pl/podreczniki-dla-klasy-pierwszej/>

Usiadłam z prawie pięcioletnim synem na kolanach i... w pół godziny przerobiłyśmy sporą część materiału. Czy naprawdę siedmiolatek będzie z zaciekawieniem słuchał opowieści o tym, gdzie jest „nad” gdzie „pod” gdzie „obok” i co to jest kółeczko, albo kwadrat w prawym górnym rogu kartki?... wątpię. Jestem za to przekonana, że z zaciekawieniem będę przyglądać się kolejnym akcjom – tym razem pod hasłem: „Ratujmy siedmiolatki”. Bo nie mam wątpliwości, że ktoś je wymyśli. Chciałabym za to, aby nasze dzieci niezależnie, czy zaczną naukę jako 6 czy 7-latki po skończeniu podstawówki potrafiły sobie przetłumaczyć ten cytat Churchilla: „it has been said that democracy is the worst form of government except all those other forms that have been tried (mawia się, że demokracja jest najgorszą formą rządów nie licząc tych innych, które wypróbowano).

Coś mi się wydaje, że kolejne pokolenia w aspekcie wychowania dzieci będą musiały nauczyć się odmieniać słowo „demokracja” przez wiele przypadków.

– W każdej dyskusji (a jest ich bardzo wiele), w której pojawia się temat dziecka, niemal automatycznie uzasadnieniem wszelkich działań jest jego dobro: reforma edukacji, nowoczesne przedszkola, żłobki resortowe... Rodzic wymierzający kary cielesne także tłumaczy, że czyni to dla dobra dziecka. Jak to jest z tym dobrem, czy można go zdefiniować?

– Wszystko da się zdefiniować, choć dobro jest jednym z pierwotnych pojęć etycznych, może być jednak postrzegane z indywidualnej perspektywy. Rodzic nadmiernie surowy jest przekonany, że ma rację, ponieważ świat, w którym przyjdzie dziecku żyć, nie będzie go rozpieszczał. Rodzic, który nadmiernie koncentruje się na dziecku, wyręcza go we wszystkim, pozornie wydaje się być także dobrym rodzicem, ale czy ubezwłasnowolnione dziecko poradzi sobie w dorosłym życiu? Widać więc, że dobro może być postrzegane w bardzo różny sposób. Szukając klucza do właściwie pojmowanego dobra dziecka, należałoby skupić myślenie i działania na stworzeniu każdemu maksymalnie optymalnych warunków rozwoju. Ale jak to bywa z pojęciami abstrakcyjnymi, nie da się tego zmierzyć linijką. Jedne dzieci potrzebują więcej wsparcia, ponieważ mają jakieś deficyty, dla innych dobro będzie wiązało się z samodzielnością i z tym, żeby – jak mówi profesor Aleksander Nalaskowski – nie gmyrać im w osobowości i zostawić ich samym sobie. Trudno jest znaleźć model uniwersalny, który sprawdzi się w każdych warunkach. Człowiek jest istotą niepowtarzalną i na szczęście nie da się nas jednoznacznie zaszufładować. I to jest piękne.

– Każde pokolenie ma własną wizję edukacji. Od 1989 r. pojawiło się już kilkanaście propozycji zmian programowych.

– Cała pedagogika zasadza się na tym, że potrafimy znaleźć metody pracy, wsparcia, aktualizacji potencjału dziecka, które w większości przypadków się sprawdzają. Wszystkie strategie edukacyjne to jest nic innego, jak poszukiwanie sposobów, aby łatwiej się czegoś nauczyć, są one bardzo mocno zuniwersalizowane. W czasach kiedy, nie tylko w pedagogice, obowiązywało hasło: *liczą się masy*, nikt nie zastanawiał się nad tym, że są dzieci, które potrzebują jakiejś odrębnej koncepcji nauczania. Był jeden podręcznik, jeden program i wszyscy musieli go realizować. Po transformacji ustroju w 1989 r. zaczęliśmy mówić o indywidualności i usilnie przyglądać się wszystkim koncepcjom indywidualizacji, które na Zachodzie znane już były od lat. Pojawiła się pedagogika Marii Montessori i jej idea rozwijania indywidualnych cech osobowości, zaczęliśmy głośno mówić o szkołach waldorfskich. Poszukiwaliśmy ade-

Rodzicu 6-latka, masz wybór kiedy Twoje dziecko rozpocznie edukację w szkole. W przypadku pytań i wątpliwości dotyczących edukacji Państwa dzieci zachęcamy do kontaktu z pracownikami Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Pytania można zadawać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 8.15-16.15, pod numerami telefonów:

- 22 34 74 595 (sześciolatek w szkole)
- 22 34 74 717 (sześciolatek w przedszkolu)
- 22 34 74 589 (sześciolatek w przedszkolu, sześciolatek w szkole)
- 22 34 74 467 (sześciolatek w przedszkolu, sześciolatek w szkole)

kwatnych do naszych potrzeb strategii edukacyjnych. Na tej fali nowości zaistniała na przykład wrocławska szkoła przyszłości Ryszarda Łukaszewicza. Każda z nowych koncepcji wprowadzie w założeniu dążyła do stworzenia modelu pracy, który mógłby obowiązywać wszystkich, zakładała jednak i mocno podkreślała indywidualne potrzeby każdego dziecka. Jeśli więc przyjmujemy zasadę, że dobro dziecka jest kierunkiem, którym powinniśmy podążać, to pierwszą powinnością jest widzieć, czego dziecko potrzebuje, dopiero wtedy możemy rozmawiać o tym, co będzie dla niego dobre. Nie ma uniwersalnego modelu startowego.

– Od kilku lat nie milnie spór na temat posyłania do szkoły sześć- czy siedmioletków.

– Ta dyskusja, moim zdaniem, jest niepotrzebna. Nie można arbitralnie ustalić, kiedy dziecko ma rozpocząć naukę w szkole. Powoływanie się przy tym na przykłady innych krajów jest także nieporozumieniem. Na Zachodzie dzieci idą do szkoły wcześniej, ale np. w Skandynawii później. Podobnie jest z wynikami badań przeprowadzanych przez Instytut Badań Edukacyjnych, które pokazują, że dzieci w szkole nauczyły się więcej, niż dzieci w przedszkolu. A ja znam wyniki badań, które wprowadzie nie były finansowane ze środków rządowych, ale są nie mniej wiarygodne, mówią one coś zupełnie innego, według nich dziecko w przedszkolu nauczyło się znacznie więcej, przede wszystkim w dziedzinie, w której jest ono badaczem, kiedy eksploruje otaczający go świat, odkrywa go i uruchamia swoją twórczość. Przedszkole otwiera o wiele więcej możliwości, niż transmissyjna szkoła, która ma gotowy, a teraz w dodatku – jeden – podręcznik.

– Tę lekcję już „przerabialiśmy” ...

– Niestety tak, zwłaszcza, że opinie wielu specjalistów o nowym podręczniku są bardzo krytyczne, by nie powiedzieć – negatywne. Dopóki nie zrozumiemy, że kiedy pracujemy z dzieckiem na poziomie przedszkolnym i wczesnoszkolnym, nie ma szans, abyśmy ze stuprocentową pewnością stwierdzili, że to, co mamy mu do zaoferowania jest optymalną ścieżką edukacyjną, dopóty nie pojmimy dlaczego nie powinniśmy ustalać arbitralnie sztywnej granicy wiekowej. Poziom rozwoju intelektualnego nie może być wyłącznie jedynym kryterium decyzji o zdolności pójścia do szkoły.

– Sytuacja patowa?

– Jestem za tym, aby ostateczną granicą wieku, w którym dzieci mają rozpocząć edukację w szkole był siódmy rok życia. Należy jednak dopuścić możliwość, aby na prośbę rodziców, ich sześciolatek zostały zdiagnozowane a jeśli okaże się, że posiadają odpowiednią potencjalność, nie powinno się zamykać im drogi do szkoły.

Z profesor **KATARZYNA KRASOŃ**,
kierownikiem Zakładu Pedagogiki Twórczości i Ekspresji Dziecka
na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Śląskiego,
rozmawia MARIA SZTUKA



Zdjęcia: ze zbiorów K. Krasoń

Wyskakać Stachurę

W nowej koncepcji nie podoba mi się założenie, że można kazać dziecku pozostać jeszcze raz w tej samej klasie. Tak nie może być, ono niczego złego nie zrobiło, to dorośli wpadli na pomysł, aby wysłać go wcześniej do szkoły. Pojawiły się także pomysły, aby niektóre dzieci pozostały w przedszkolu na drugi rok w tej samej grupie. To może być odczuwane przez dzieci jako porażka. Te, które już poszły do pierwszej klasy powinny kontynuować naukę, z zastrzeżeniem jednak, że należy je szczególnie wspie-

rać wszędzie tam, gdzie sobie nie radzą. Spotkanie w jednej klasie sześć- i siedmioletków to nie jest dobre rozwiązanie. Nie wszystkie sześciolatki były dojrzałe do tego, aby podjąć naukę w pierwszej klasie.

– Kto powinien oceniać ten stopień dojrzałości?

– Najważniejsze, aby to byli specjaliści, czyli powinna to być poradnia psychologiczno-pedagogiczna a w pierwszej instancji nauczyciel...

... czyli przedszkolanka?



Uczenie się, które nie tłumi i nie zabija dziecięcej radości tworzenia, przynosi znakomite rezultaty

– Nie. Nauczyciel. Stale powtarzam, że w tych rozgorzałych dyskusjach, sporach o kształt edukacji wczesnoszkolnej zgubiliśmy po drodze wartość przedszkola. Kiedy oddaliśmy je pod zarządek gminy, nie są już one traktowane jako pierwszy etap edukacyjny, przygotowujący sześciolatkę do pójścia do szkoły. Przed tą niekorzystną zmianą mieliśmy duży zakres możliwości, aby sprawdzić potencjalność dziecka. Każdy nauczyciel prowadził badania na początku i na końcu roku szkolnego, pozwalające mu na ocenę postępu i dojrzałości dziecka do szkoły. Niestety zaniechano tych praktyk, a szkoda.

– To znacznie obniżyło rangę przedszkola.

– Wszelkie zaległości i braki kompetencji dzieci w wieku wczesnoszkolnym są wynikiem zaniedbań na etapie edukacji przedszkolnej. Doskonale rozumiem to np. Skandynawowie, którzy nie tylko nie oszczędzają na placówkach przedszkolnych, ale nobilitują je i dbają o jak najwyższy ich poziom, kierując tam kadrę nauczycielską o najwyższych kwalifikacjach.

– Jakie umiejętności musi posiadać dziecko, aby mogło rozpocząć naukę w szkole?

– Trzeba rozróżnić dwa obszary. Jeden to umiejętności instrumentalne, związane z tak zwanymi kompetencjami kluczowymi, czyli wszystko to, co dotyczy komunikowania się dziecka ze światem. W okresie, kiedy edukacja zaczynała się w przedszkolu, mieliśmy etap, który nazywaliśmy wyrabianiem gotowości do nauki czytania. Było to między innymi doskonalenie słuchu fonematycznego, sprawności i koordynacji wzrokowo-słuchowej. Dzieci potrafiły wyodrębnić samogłoski, spółgłoski, uczyły się słuchać mowy, ćwiczyły

sprawność manualną, grafomotoryczną. Teraz zadania te przejęła szkoła. Sfera instrumentalna jest najprostsza, ponieważ jest widoczna. Łatwo bowiem można dostrzec, w których obszarach dziecko ma wyraźne kłopoty, czy to z odwzorowaniem kształtów literopodobnych, czy ze słuchem. Te problemy są możliwe do natychmiastowego wychwycenia i przy odpowiednim wsparciu – do rozwiązania.

Drugi obszar, niezwykle ważny, to kompetencje, które nazywałabym kierunkowymi, wynikające z relacji z innymi ludźmi, z dojrzałością emocjonalną. W tej sferze w ostatnich latach stało się coś niedobrego. Dzieci zewsząd otoczone są tym, co pozwala symulować ich kompetencje instrumentalne, dzięki czemu intelektualnie rozwijają się szybciej. Dziś już nikogo nie dziwi, że pięciolatek potrafi czytać. Opanowując od najmłodszych lat obsługę komputera, siłą rzeczy uczy się alfabetu, czytania, potrafi odszyfrowywać symbole, żeby uczestniczyć w grze musi mieć znakomitą koordynację wzrokowo-ruchową. Te umiejętności znacznie wyprzedzają jednak rozwój emocjonalny i społeczny. Dzieci mają coraz mniejsze poczucie bezpieczeństwa emocjonalnego.

– Czyli?

– Brakuje tego, co pozwala im się nie bać. Bardzo zmieniły się domowe relacje. Kiedyś zawsze obok był ktoś, kto towarzyszył dziecku niemal na każdym kroku. Nieważne czy była to mama, tata, babcia, dziadek... ważne, że ten ktoś był stale. Dziecko poprzez kontakt z bliskim mu człowiekiem uczyło się rozumieć swoje emocje, oswajało reakcje własne i otoczenia, przyzwyczajało się do świadomości, że drugi człowiek jest niezbędny. Obsługi własnych emocji nie można nauczyć się jak obsługi kom-

putera. Obserwując niedawno grupę pięcioklasistów, pochłoniętych wymianą esemesów, odniosłam wrażenie, że są oni jakby za szybą. Syndrom naszych czasów. Poziom życia zmienił się tak bardzo, że już nie musimy się ze sobą kontaktować *face to face*. Dzieci zostały zwolnione z wielu domowych zajęć, ich zadaniem jest chodzić do szkoły, uczyć się i... nie przeszkadzać. Ten deficyt poczucia bezpieczeństwa emocjonalnego w dużym stopniu rekompensowało dotąd przedszkole, gdzie przez kilka godzin „pani” była wyłącznie dla dzieci, tworzyła wokół nich, tak potrzebne im poczucie bezpieczeństwa, mogły się przytulić, pożalić, skupić na sobie uwagę. W szkole nie ma już na to czasu. Nauczyciel na lekcjach musi realizować program.

– Te zaniedbania emocjonalne z wczesnego dzieciństwa przynoszą dramatyczne skutki.

– „Sala samobójców” Jana Komasy to najokrutniejsza, ale prawdziwa diagnoza tego, co się dzieje. Drastyczny i przejmujący obraz. Bohater filmu ma przecież kochających go rodziców, którzy zapewniając mu znakomite warunki bytowe są przekonani, że ich synowi niczego nie brakuje, ma przecież super sprzęt, najmodniejsze ciuchy, absolutną wolność – wszystko dla jego dobra. Czy aby jednak na pewno – wszystko? Kiedy targany emocjami chłopak dramatycznie poszukuje kogoś, kto go wysłucha, okazuje się, że zrozumienia może szukać jedynie w... sieci, w wirtualnej rzeczywistości.

– Życie przedszkolne kojarzy się zwykle z zabawą. Dzieci biegają, gonią się, krzyczą. Z chwilą pójścia do szkoły milkną i jakby nieruchomieją, czy to naturalne?

– Studiując pracowałam równocześnie w przedszkolu. W obowiązującym nas wówczas programie były zarówno codzienne spacerowanie jak i korzystanie z placu zabaw a trzy razy w tygodniu, w ramach zajęć z kultury fizycznej, dzieci ćwiczyły na sali gimnastycznej, gdzie mogły się bezpiecznie wyszaleć. Szkolne programy, system lekcji, nadmierna czasem dbałość o bezpieczeństwo dzieci podczas przerw, zminimalizowanie gimnastyki – to wszystko sprawia, że możliwości ruchu są ograniczone. W domu najczęściej obowiązuje spokój i cisza. Aby więc dziecko „nie przeszkadzało” trzeba go czymś zająć. Kiedyś to było podwórko, później telewizor, teraz komputer. Nieruchome ślęczenie przed monitorem niesie dodatkowe zagrożenie – uzależnia, ale to już inny bardzo szeroki temat. Dorośli w obawie przed zgubnym wpływem blokowskiego pozostawiają maluchy w domu, zabijając tym samym naturalną potrzebę ruchu. W efekcie nasze dzieci stają się ociężałe, męczą je nawet krótki spacer. Za wybitnym francuskim pedagogiem Mauricem Debesssem wiek wczesnoszkolny

nazywaliśmy okresem „skaczącej kózki”, czyli taki, w którym dziecko biega, przewraca się, zawłaszcza przestrzeń, jest wszędzie, dokąd może dobiec i z tego czerpie bodźce do swojego rozwoju. Teraz tego nie robimy, instytucja podwórka prawie już nie istnieje. Naczelnym zadaniem szkoły stało się „realizowanie podręcznika”, jakkolwiek to brzmi.

– Sala gimnastyczna nie wszystkim przyjemnie się kojarzy.

– W wielu szkołach są na szczęście sale gimnastyczne, są jednak i takie, gdzie ich nie ma, bądź są nieczynne. A przecież gry zespołowe nie tylko podnoszą sprawność fizyczną, uczą także pewnych zachowań społecznych, dają możliwość osvajania się i radzenia sobie z porażką. To przysłowiowe „wyszumienie się” jest niezbędnym elementem rozwoju każdego człowieka, lepiej więc, jeśli dzieje się to pod kontrolą, w sali...

– ...albo w teatrze. Jest pani profesor założycielką Centrum Ekspresji Dziecięcej, kilkanaście przygotowanych przez panią spektakli gościło na deskach teatrów: Śląskiego, „Korez”, Cogitatur, im. S. I. Witkiewicza w Zakopanem. Inspiracją była owa chęć umożliwienia dzieciom „wyszumienia się”. Kiedy pojawił się pomysł na stworzenie teatru ekspresji?

– Ukończyłam Wydział Rytmiki Liceum Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, to w dużym stopniu zaważyło na moim życiu. Na ostatnim roku w ramach programu musiałam prowadzić zajęcia praktyczne z dziećmi i wówczas przekonałam się, że ruch, rytmika i dzieci to jest to, co chcę robić przez całe życie. Później pojawiły się studia pedagogiczne, ale w tej bardzo tradycyjnej, ustrukturyzowanej metodyce zabrakło mi przestrzeni, w której mogłoby się coś dziać, elementu twórczości a przede wszystkim radości tworzenia.

– Ukończyła pani studia dzienne, obroniła pracę magisterską, doktorską, później przyszedł czas na habilitację i tytuł profesora a jednocześnie pracowała pani najpierw w przedszkolu, później w szkole, to chyba nie było łatwe?

– Łatwe nie było, ale dla mnie niezbędne. Przez ponad dwadzieścia lat udawało mi się łączyć pracę na uczelni z zajęciami w szkole, nowe obowiązki prodziekana, kierownika Zakładu Pedagogiki Twórczości i Ekspresji Dziecka zmusiły mnie do porzucenia szkoły, ale doświadczenie, jakie tam zdobyłam nie da się z niczym zastąpić. Obserwując uczniów doszłam do wniosku, że nic tak nie organizuje tworzenia dziecięcego, jak wspólne przygotowywanie działań nawiązujących do zabawy. Na bieżąco podpatrzonych u dorosłych zachowań, dzieci wymyślają przeróżne scenki. Najchętniej bawią się w dom, policjanta, strażaka, lekarza... Wystarczyło tę chęć do udratyzowanej zabawy

„ubrać” w teatr. Jak to zwykle bywa, zdecydował przypadek, poproszono mnie o przygotowanie programu rytmicznego w jednej ze szkół na katowickim osiedlu Paderewskiego. To miało być jednorazowe zastępstwo. Okazało się jednak, że zajęcia wzbudziły duże zainteresowanie i zespół rytmiczno-taneczny prowadziłam na stałe, oczywiście na zasadzie wolontariatu. Równocześnie wtedy byłam nauczycielem przedszkola i prowadziłam tam zajęcia z rytmiki. Przygotowując się jednak do obrony doktoratu musiałam zrezygnować z pracy w przedszkolu, ale ponieważ nie chciałam stracić kontaktu z dziećmi, skorzystałam z propozycji prowadzenia zajęć z rytmiki w Pałacu Młodzieży w Katowicach w Zespole Ogólnokształcących Szkół Społecznych. Uznałam, że dwie godziny w tygodniu nie będą żadną przeszkodą w pracy naukowej. Rzeczywistość okazała się jednak nieco inna. Z dwóch godzin zrobiły się trzy i nie w jednej a w czterech klasach. Przez piętnaście lat udawało mi się godzić uczelnię ze szkołą.

– Na czym polega specyfika dziecięcego teatru ekspresji?

– Przede wszystkim eliminujemy komunikację werbalną. Staramy się przy pomocy ruchu ciała przekazać myśli, emocje, osady, skojarzenia nie posługując się żadnym formalnym kluczem, który na przykład obowiązuje w pantomimie. Ruch w teatrze ekspresji jest rodzajem symboliki, metaforą, którą trzeba odkryć. Zaczyna się od prostego pytania – co chcemy pokazać, na tym etapie uruchamia się wyobraźnia, dzieci zaczynają improwizować, wymyślać ruchy i gesty, którymi wyrażają to, co ich zdaniem chcieliby opowiedzieć innym. Tak rodzi się wiele różnorodnych propozycji. W drugim etapie odbywa się łączenie i wybór gestów, które tworzą przejrzysty komunikat. Ważnym momentem jest dobór właściwej muzyki, która scala przekaz. Dla mnie to było także niezwykle i inspirujące doświadczenie, nauczyłam się patrzenia na dorosłych oczami dziecka.

– To był jeszcze doktorat, czy już habilitacja?

– To zrozumiałe, że wiele doświadczeń znalazło odbicie w moich pracach naukowych. Doktorat pisałam z literaturoznawstwa na filologii polskiej, skrzyżowałam to wiedzę ze znajomością rytmiki i doświadczeniem nabytym w teatrze ekspresji i w rezultacie zajęłam się przekładem intersemiotycznym, czyli zamianą kodów. Zadałam sobie pytanie: skoro tekst można przenieść do teatru czy do filmu, dlaczego więc nie można wyrazić go ruchem? Można. Zamiast mówienia działanie. To stało się podstawą mojej habilitacji. Zaczęłam odczytywanie z dziećmi tekstów Joanny Kulmowej, Danuty Wawiłow i tak krok po kroku doszliśmy do Edwarda Stachury. To było pasjonujące zadanie. Druga

klasa szkoły podstawowej a skojarzenia niezwykle, zaskakujące i dojrzałe, pokonałyby niejednego studenta, ale ich największą siłą była nieodparta chęć dociekania do tego, co jest w tekście ukryte. Szukały odpowiedzi na pytanie – co on ma **mnie** do powiedzenia, w opozycji do klasycznego dylematu – co poeta miał na myśli. Wyskakać Stachurę – nie wszystkim polonistom to się podobało. Warto jednak zobaczyć jak dzieci potrafią odczytywać teksty, budować skojarzenia, bawić się metaforą, odczytywać i tworzyć symbole. Warto dodać, że tak ekspresyjna interpretacja nie odbiega od konwencjonalnej, jedynie ją pogłębia i uatrakcyjnia. Pamiętam spektakl zagrany przed rodzicami, który składał się z interpretacji kilku wierszy. To było niezapomniane przeżycie, wytworzyła się bowiem zupełnie nowa, inna relacja rodziców z dziećmi.

– Jakie korzyści daje dzieciom taka forma interpretacji?

– W moich badaniach wykazałam, że w porównaniu z dziećmi pracującymi konwencjonalnymi metodami, moja grupa wyróżniła się o wiele wyższym stopniem rozwoju twórczego. Dzieci stale zmuszane były do poszukiwania, stały się w sposób naturalny badaczami, czyli w czasie tworzenia ruchu bezwiednie poddawały się treningowi twórczości i jednocześnie zaspakajały dziecięcą potrzebę ruchu, bycia razem, robienia czegoś wspólnie, wzajemnego zaufania. Podałam także badaniom poziom rozwoju społecznego dzieci. To przyniosło rewelacyjne efekty – robienie bowiem czegoś razem było dla nich źródłem radości, wyzwalało chęć pomocy i przekonanie, że każdy ma jakieś zadanie do wykonania, bez wartościowania i podziału na lepsze czy gorsze. Nigdy nie miałam problemów z frekwencją, dzieciaki z niecierpliwością czekały na zajęcia. Uczenie się, które pozwala dzieciom na rozładowanie napięcia, wyrażenie siebie, swoich spostrzeżeń i wątpliwości ale które przede wszystkim nie tłumi i nie zabija dziecięcej radości tworzenia, przynosi znakomite rezultaty.

– W 2008 r. zakończyła pani pracę w Pałacu.

– Niestety już nie da się pogodzić uczelni ze szkołą. Teraz pracuję z grupą studentów z Akademii Muzycznej, ale to zupełnie inna forma zajęć. To są już ludzie dorośli, wyjątkowo wrażliwi, posiadający już swoje demony. Te spektakle są poruszające, przejmujące i każdy wszyscy bardzo przeżywamy. Metoda pracy jest wprawdzie taka sama, ale to, co w dzieciach jest naturalne: otwartość, szczerość, odwaga, w ludziach dorosłych jest często głęboko ukryte. Gdzieś na drodze dojrzewania ktoś zniszczył w nich potrzebę ruchu i nie jest łatwo ją odtworzyć.

Dlaczego na niektórych zabytkowych budynkach w mieście takich, jak dawna Szkoła Rzemiosł Budowlanych (obecnej Akademii Muzycznej, przy ul. Wojewódzkiej) i dawnym gimnazjum (obecnie Liceum Ogólnokształcące nr III, przy ul. Słowackiego 10/12) oraz na kamienicy przy ul. Dyrekcyjnej 10 umieszczono herb miasta z datą „1866”, a na niektórych dawnych publikacjach książkowych (zwłaszcza Historii miasta Katowic Georga Hoffmanna wydanej w 1895 r.) jest data „1867”. Nigdzie natomiast spacerując po mieście nie zobaczymy daty „1865”.

Kiedy Katowice uzyskały prawa miejskie?

ZDZISŁAW JEDYNAK

Aby odpowiedzieć na to pytanie, udałem się do źródła, czyli tam, gdzie zdecydowano o przyznaniu tych praw, a więc do Berlina. Jak wiadomo, w powszechnej opinii i niezliczonych publikacjach o naszym mieście, za datę tę uważa się 11 września 1865 roku. Data ta ma swoje uzasadnienie poprzez dokument królewski w tej sprawie. Dlatego też w ubiegłym roku obchodzono bardzo piękny jubileusz 150-lecia praw miejskich.

Od dawna fascynowało mnie jednak, dlaczego na niektórych zabytkowych budynkach w mieście takich, jak dawna Szkoła Rzemiosł Budowlanych (obecnej Akademii Muzycznej, przy ul. Wojewódzkiej) i dawnym gimnazjum (obecnie Liceum Ogólnokształcące nr III, przy ul. Słowackiego 10/12) oraz na kamienicy przy ul. Dyrekcyjnej 10 umieszczono herb miasta z datą „1866”, a na niektórych dawnych publikacjach książkowych (zwłaszcza Historii miasta Katowic Georga Hoffmanna wydanej w 1895 r.) jest data „1867”. Nigdzie natomiast spacerując po mieście nie zobaczymy daty „1865”.

Moja kwerenda w Berlinie w Tajnym (tylko z nazwy) Archiwum Państwowym Pruskiego Dziedzictwa Kultury okazała się bardzo owocna i fascynująca. Nie sądziłem, że procedura administracyjna z tego czasu może być tak fascynująca. Archiwum berlińskie wbrew swej nazwie, która jest tylko nawiązaniem do dawnej tradycji, podobnie jak również Tajne (z nazwy) Archiwum

Watykańskie, jest otwarte dla każdego, kto chce zgłębiać tajniki przeszłości. Spotkałem się z dużą życzliwością i pomocą w moich poszukiwaniach ze strony tamtejszych pracowników. Szczegółowa analiza obszernych materiałów zachowanych do problemu praw miejskich pozwoliła mi na dokładne ustalenie całej procedury uzyskania praw miejskich. Akta dotyczące praw miejskich dla Katowic znajdują się w trzech obszernych jednostkach Tajnego Gabinetu Cywilnego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czytanie tych akt dało mi tę satysfakcję, że dokonałem tego jako pierwszy, bo w dotychczasowej literaturze (niemieckiej i polskiej) nikt nie badał tych zagadnień na podstawie źródeł w oparciu o akta centralnych urzędów pruskich.

Wprawdzie 11 września 1865 r. można uważać za początek miasta, ale tylko w sensie zezwolenia na wprowadzenie w życie procedury nadawania tych praw. Nie był to edykt królewski stanowiący prawo, ale jedynie decyzja królewska poparta przez ministra spraw wewnętrznych Fryderyka Albrechta hr. Eulenburga zezwalająca na wszczęcie procedury przez niższe organy – Prezydium Prowincji Śląskiej we Wrocławiu i Rejencję Opolską (odpowiednik polskiego województwa), do której Katowice należały – związanej z uzyskaniem tych praw. Tu wyjaśnię, że administracja w Prusach była kilkustopniowa – gmina podlegała starostwu powiatowemu (tutaj bytomskiemu), a to rejencji (opolskiej), a ta z kolei prowincji

śląskiej we Wrocławiu, która była podporządkowana ministerstwu spraw wewnętrznych i królowi w Berlinie. Decyzja królewska miała charakter wewnętrznego „rozporządzenia gabinetowego”, w którym Wilhelm I tytułował się w pierwszej osobie – „ja”, bez użycia obowiązującej w oficjalnych edyktach formy „my”. Jak wiemy także obecnie papież i panujący we współczesnych monarchiach wydając dekrety używają przysługującego im zwrotu „my” jako szacunek dla godności. Zezwolenie na prawa miejskie dla Katowic miało być wydane już o rok wcześniej, bo 26 IX 1864 r. Zachował się nawet projekt takiego pisma z podpisami Wilhelma I i ministra spraw wewnętrznych Eulenburga. Początkowo Muchowiec miał być oddzielony od Katowic i przyłączony do nowo tworzonej gminy Brynów, ale potem treść rozporządzenia królewskiego zmieniono i dlatego dopiero po roku wydano zaakceptowany tekst. Oto treść tego dokumentu (w tłumaczeniu):

„11 IX 1865

Odpowiadając na memoriał [ministra spraw wewnętrznych] z 28 VIII b.r. chcę, aby miejscowości Katowice w powiecie bytomskim w rejencji opolskiej nadać niniejszym status miejski zgodnie z ordynacją miejską z 30 V 1853 roku i jednocześnie zezwolić, aby z Katowic wydzielić kolonie Brynów i Katowicką Hałdę w granicach takich, jak zostało to zaznaczone kolorem zielonym na załączonej mapie mierniczego Piepera z grudnia 1859 roku i z nich utworzyć oddzielną gminę wiejską o nazwie Brynów.

Dnia miesiąca 1865 roku

(Podpisano) Wilhelm

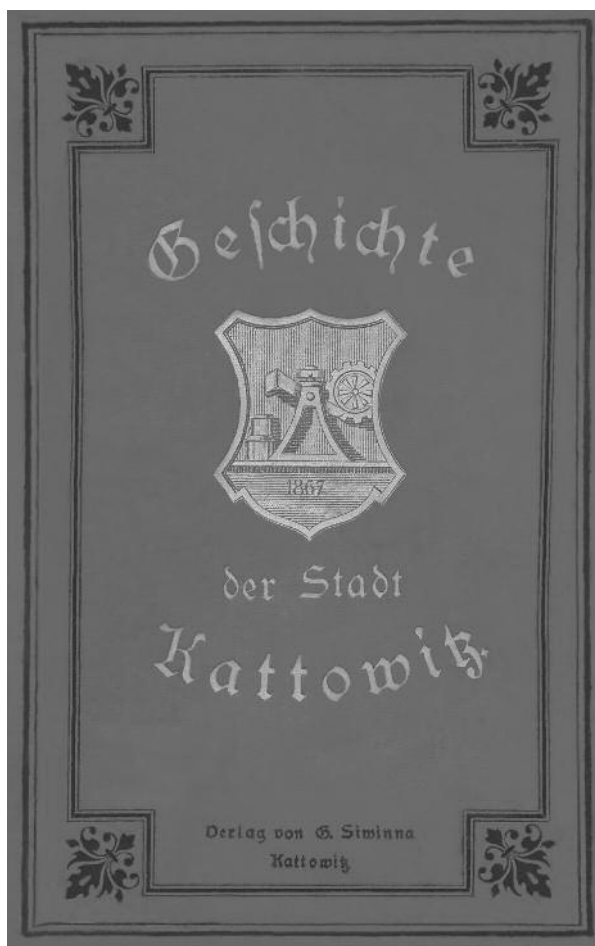
(Podpisał także) Hrabia Eulenburg”.

Jadąc do Berlina miałem początkowo nadzieję, że znajdę tam dokument nadania praw miejskich, wprawdzie nie taki, jaki ma np. Kraków, gdzie zachował się oryginał przywileju z 1257 roku, ale jednak ozdobny, opatrzony pieczęcią i podpisem królewskim. Wprawdzie okazało się, że Katowice takiego dokumentu nie otrzymały, ale satysfakcję przyniosło mi przesłanie całej procedury administracyjnej, która doprowadziła do uzyskania tych praw. Była ona bardzo skomplikowana, ale i prozaiczna zarazem.

„Rozporządzenie gabinetowe” z 11 IX 1865 r. zachowało się tylko w kopii. Początkowo przekopiowane podpisy króla i ministra wydawały się oryginalne. Po szczegółowej analizie i porównaniu poprzez bazy danych w internecie, gdzie widziałem jak wyglądają jego oryginalne podpisy, okazało się jednak, że one wraz z całym pismem również zostały przekopiowane. Znaleziony dokument nadania praw miejskich dla Katowic z 1865 r. ma jednak duże znaczenie, bo jest to pierwowpis. Równocześnie sekretarz ministerstwa o nazwisku Maetcke sporządził kopię



Herb miasta Katowic z datą 1866 na gmachu Akademii Muzycznej w Katowicach.



Herb miasta Katowic z datą 1867 na okładce książki – Georg Hoffmann, *Geschichte der Stadt Kattowitz*, 1895. Scan z egzemplarza z Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

z pieczęcią urzędu. Dopiero z tej kopii sporządzono potem w rejencji opolskiej w 1867 r. odpis, który posłano do utworzonego już magistratu w Katowicach. Odpis ten znajduje się obecnie w Archiwum Państwowym w Katowicach. Jak stąd widać nie było wcześniej w Katowicach jakiegoś dokumentu nadającego prawa miejskie, ale był potrzebny akt w tej sprawie jako podstawa działania i dlatego w Opolu sporządzono tę o dwa lata późniejszą kopię z kopii.

Wiadomo na pewno, że nigdy nie było formalnego edyktu królewskiego dla Katowic, bo jeśli taki został wydany dla jakiegoś miasta, to był on publikowany w całości w Dzienniku Urzędowym Rejencji (Amtsblatt). Co ciekawe, w tym samym czasie, gdy Katowice ubiegały się o prawa miejskie, w dniu 15 stycznia 1866 r. król wydał oficjalne edykty nadające prawa miejskie dla Miasteczka Śląskiego (obecnie dzielnicy Tarnowskich Gór, a wtedy noszącego nazwę Georgenberg) – i Korfantowa (ówczesnego Friedland) – (Dziennik Urzędowy nr 11/66 i 15/66). Obydwa te teksty miały oczywiście oficjalną formę „My, Wilhelm I z łaski Bożej król pruski” i posiadały pieczęć królewską oraz podpisy władcy i ministra Eulenburga.

Początkowo sądziłem, że daty 1866 i 1867 umieszczone na herbie miasta

oznaczają czas jego nadania. Okazało się jednak, że Katowice o przewidziane prawem potwierdzenie swego herbu u wyższych władz (w Urzędzie Heraldycznym) się nie ubiegały. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwróciło na to uwagę w 1869 r. przy okazji przyznawania oficjalnego dopracowanego pod względem artystycznym herbu dla Królewskiej Huty (obecnego Chorzowa), która uzyskała prawa miejskie w 1868 r. Natomiast dwa nowe miasta – Mysłowice, które w 1861 r. odzyskały utracone w końcu XVIII wieku prawa miejskie i Katowice – o podobne urzędowe zatwierdzenie herbu jeszcze w 1869 r. i zapewne już nigdy się nie ubiegały. Obydwa te miasta uznały widocznie, że dawne wyobrażenia na ich pieczęciach gminnych są na tyle odpowiednie, że powtórzone je jako herby miejskie. W ten sposób herbem miasta Katowic stało się dawne wyobrażenie umieszczone na pieczęci tutejszej gminy wiejskiej (dawnej Kuźnicy Boguckiej) – koło o napędzie wodnym i młot kuźniczy.

Po zakończeniu bardzo przeciągającej się w czasie procedury związanej z nabyciem praw miejskich nastąpiło w oparciu o niepozorny zapis w Dzienniku Urzędowym Rejencji Opolskiej (*Amtsblatt der Königlichen Regierung zu Oppeln*) – nr 2 z 11 I 1867 r., str. 18, ustęp 19 tej treści (podaję w tłumaczeniu polskim):

„W mieście Katowicach zakończono z dniem 8 b.m. [grudnia] wprowadzanie ordynacji miejskiej z 30-ego maja 1853 r., co... niniejszym podaje się do wiadomości. Opole, dnia 30 grudnia 1866 r.”

Tak więc Katowice uzyskały formalnie prawa miejskie dopiero na podstawie postanowienia rejencji opolskiej z 30 grudnia 1866 r. ogłoszonego w Dzienniku Urzędowym tejże rejencji w dniu 11 stycznia 1867 r. W ten sposób jubileusz 150-lecia można by obchodzić po raz drugi w 2017 roku.

Należy dodać, że także realizacja postanowienia rejencji nie nastąpiła od razu, bo dopiero w dniu 2 marca 1867 r. odbyło się pierwsze posiedzenie magistratu, który zadecydował o „podniesieniu gminy wiejskiej Katowice do statusu gminy miejskiej” („die Erhebung der Land-Gemeinde-Kattowitz zu einer Städte-Gemeinde”). Postanowienie to podpisali wszyscy czterej członkowie nowo utworzonego magistratu. Dwóch z nich, a mianowicie burmistrz Luis Diebel i sekretarz Lobe skorzystali z niestabilnej sytuacji i dorobili się w sposób nieuczciwy. Burmistrz w 1870 r. pobrał pożyczkę dla miasta od państwa (15 000 talarów) i uciekł do Stanów Zjednoczonych. Byłby to jednak temat na inną opowieść.

(Od Redakcji: O herbie Katowic piszemy także na str. 67).

STALINOGRÓD (DOKUMENT NA PLANET HD)

wracanie pamięci

najlepsi synowie tej ziemi
budowali huty fabryki hotele robotnicze

azbest *len kamienny* brał nas w ramiona

w pokojach *hotelowców* palenie picie skat
śląski brydż do rana

na kartach wszystkie nasze linie papilarne
nikotynowa ślina

straciłam błonę dziewiczą (w kolejowym *hotelowcu*)
sucha była komunistyczna prezerwatywa

krwawiłam lekko różą dziką

bardziej w drodze na PKP
do czerwonej krwi szpilki otarły mi pięty

w pończochach skrzywił się szew

tyle mam z komuny odebranie cnoty
na żywca w kwietniu

i pochód pierwszomajowy
potem

NIEOBECNOŚĆ

bez pragnienia głodu ciała potu

rosy nie ma nocy rannych zorzy

nie ma zimy gołoledzi
wypadków na zakręcie

zwłok nie ma ciebie

trzymam w ramionach
konające zwierze

niebieskie

BABKA ROZA

pamiętam te czary niewidy mgły
poranne zorze

egzorcyzmy płatanie języka
modlitwy szepty klątwy błaganie jęk

wiwisekcję żab
odcinanie ogonków jaszczurek

salamandra wbiegła w moje oko
spłynęło krwią

to ja babka roza
w piwnicy

mchy porosty wilgoć pleśń pajaków sieć
moje zielone włosy

źródło cembrowanej studni

majtki w pierwszej miesięcznej krwi

DESZCZOWY KOŃ

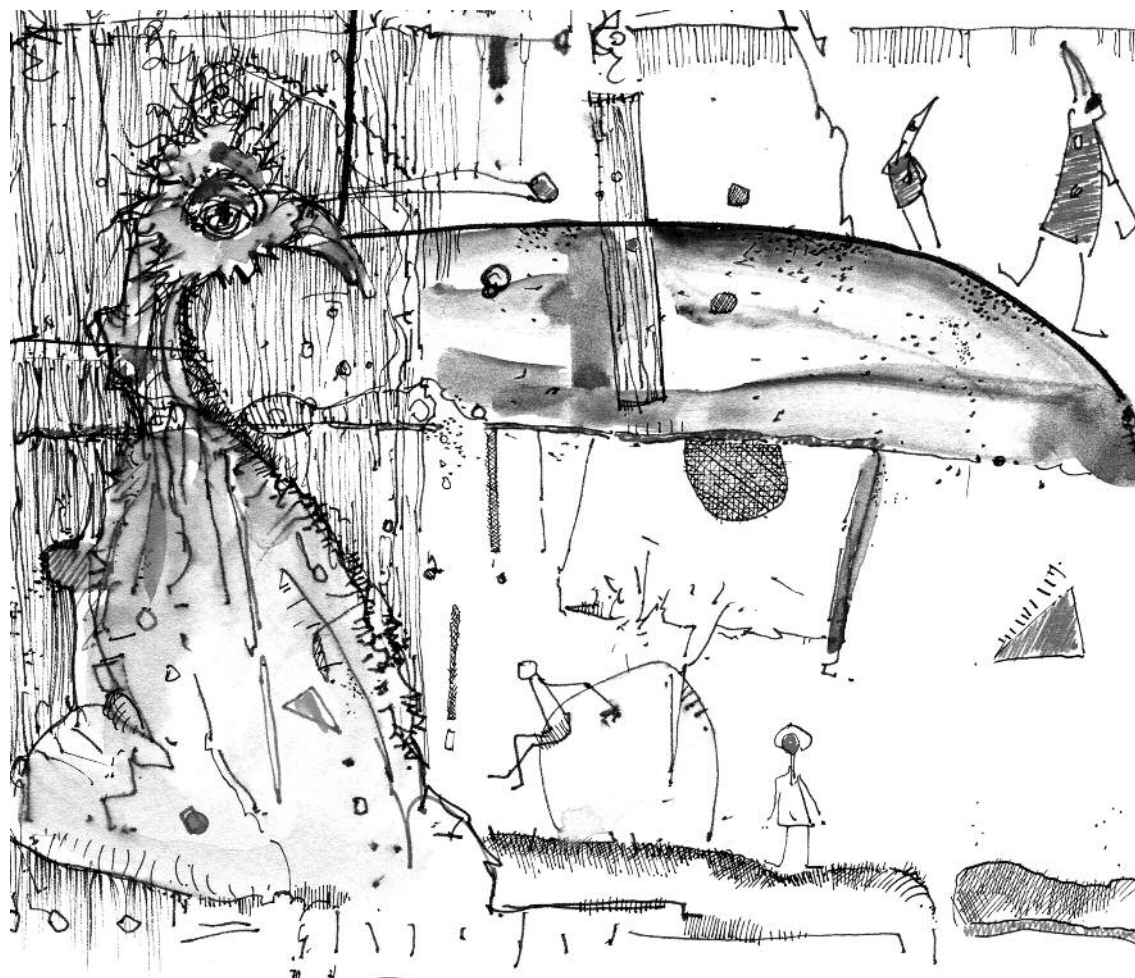
to delikatny obraz – prawie szkic szarą kredką:
zdaje się półrealny.

izba na skraju rzęsy drży jak półżywy
owad. z okna kuchni widoczne
żuraw, stajnie i szopy – pokryte papą dachy
parujące po deszczu, dalej mokre

pastwisko: za metalowym drutem
miękką, wilgotną trawę szczypią żółtawe zęby. koń
jak dymne widziadło.

tymczasem chmurnym niebem płyną
czarne delfiny
cienia – ciemna płetwa przecina
gęstą falę obłoku i widać, prawie widać

jak katamaran zmierzchu
zacumował za wsią...



Rys. Adam Dukiewicz



Katowice, ulica Młyńska, 1910 r. Po lewej, w głębi, młyn parowy

Sławna budowla inżyniera Kołodziejskiego

HENRYK SZCZEPAŃSKI

3 maja 1950 r., Maksymilian Fiedler, staranną polszczyzną pisał wyjaśnienie dla Sądu Okręgowego w Katowicach: „Firma >Fiedler i Glaser, Młyn Parowy< w Katowicach ul. Młyńska 6-10 znajduje się od roku 1945 pod Zarządem Państwowym (wcześniej pod okupacyjnym), a w roku 1948/9 została upaństwowiona, wobec powyższego jestem tylko nominalnym właścicielem w/w. firmy, wskutek czego nie prowadzę żadnych transakcji ani ksiąg handlowych”.

Maksymilian był jedynym jej współwłaścicielem, który pomimo semickiego rodowodu przeżył hitlerowski holokaust i po wyzwoleniu Katowic, postanowił pozostać na ojcowiznie.

Wielki jak parawan młyn przesłaniał gmach katowickiego magistratu a wysokim kominem, tumanami dymu i sadzy zasnuwał pobliski dworzec towarowy, ulokowaną obok giełdę warzywno-owocową i kilka kamieniczek przy ulicy Młyńskiej. Potężne żarna i maszynieria młyna zbożowego, każdego dnia produkowały setki ton mąki ekspediowanej do górnoląskich piekarzy i sklepikarzy.

wego, każdego dnia produkowały setki ton mąki ekspediowanej do górnoląskich piekarzy i sklepikarzy.

Gdy w 1959 r. mijała setna rocznica rozpoczęcia budowy młyna parowego katowiccy urbaniści, architekci i ojcowie miasta cały młyn i kilka sąsiednich parceli skazali na ostateczną zagładę. Mury zostały wyburzone, a na ich miejscu do dziś króluje, niczym nie dający się zastąpić, parking samochodowy.

Dookoła zbożowego ziarenka

Nad wielką, prostopadłościenną bryłą młyńskiego gmachu, w jej południowym segmencie sterzał wysoki i wiecznie kopczący komin, zaświadczały, że w tej nowoczesnej fabryce oddanej do użytku w 1860 roku, pracują maszyny napędzane energią płonącego węgla i kłębami sprężonej pary wodnej.

Jej architektem był, słynny w prawie całej środkowej Europie, krakowski budowniczy inż. Walery Kołodziejski. Place budowy, na których nadzorował realizację swoich projektów, znajdowały się w Królestwie Kongresowym, na Węgrzech, w Czechach, na Morawach na kresowej Bukowinie nad rumuńską granicą i na pruskim Śląsku – w Katowicach. Tutejszy młyn, magazyny zbożowe i spichrze wzniesione na zlecenie A. Feigego i jego spółki były bliźniaczo podobne do wielkiego młyna parowego A. Schlossmanna, w jaki zainwestował w Czerniowcach nad Prutem. Nie tylko datą założenia i architekturą ale nawet usytuowaniem – w pobliżu stacji kolejowej – bukowiański i śląski młyn przypominały, że są dziełem tego samego autora. Katowicki był największym spośród młynów Kołodziejskiego; zaprojektował go „na 120000 korcy rocznie”; młyn Schlossmanna nad Prutem był drugi na liście i w skali roku przerabiał 100000 korców ziarna.

Katowicki zapisał się w historii jako wyjątkowa kreacja sztuki inżynierskiej. Kołodziejski, ambitny i wyróżniający się absolwent Politechniki w Pradze wznosił jego mury na piaszczystym, podmokłym gruncie zwanym kurzawką. Aby zapewnić stabilność, masywne fundamenty wsparł na betonowych, głęboko wkopanych „forsztach”, co w połowie XIX stulecia, konstrukcyjnie i technologicznie było rozwiązaniem nowatorskim.

Na najwyższą kondygnację ziarno transportowały elewatory z podnośnikami kubelkowymi typu pater-noster (na podobnej zasadzie konstrukcyjnej funkcjonuje stara winda kursująca w gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach). Wejście główne do „fabryki mąki” z modnie zaokrąglonym portalem grünfeldowskiego kroju, znajdowało się w reprezentacyjnej elewacji od strony ulicy Młyńskiej. Od 1863 roku, wieczorami i nocą, tak jak nad wieloma innymi katowickimi ulicami, tak i tutaj paliła się ozdobna lampa. Należała do miejskiej sieci oświetleniowej obsługiwanej przez katowicką gazownię. Ręcznie zapalana o zmierzchu i wygaszana o poranku, rozjaśniała mroki migotliwym światłem, które do historii przeszło jako rekwizyt romantycznych, nocnych spacerów uliczkami XIX-wiecznych miasteczek.

Idąc dalej, trotuarem wzdłuż Młyńskiej, miało się dwie kamieniczki właścicieli młyna. Najpierw wraz z dziećmi mieszkali tam Markus i Rosa Fiedlerowie oraz Israel i Rosel Glaserowie, a potem, aż do czasów Polski Ludowej, ich spadkobiercy i wnuki. Markus zmarł w 1877 roku, a jego współnik Israel 4 lata później. Groby protoplastów rodu – Fiedlerów i Glaserów przetrwały na kirkucie przy ulicy Kozielskiej.

Bramy fabryczne, podwórze z rampami magazynowymi i przeładunkowymi sąsiadowało z boczniką kolejową pobliskiego dworca towarowego. Dojeżdżało się tam od strony późniejszej ulicy Stawowej. Tam też i na kilku parcelach pomiędzy torowiskiem kolejowym a ulicą Młyńską, wznosiły się magazyny zbożowe zwane silosami lub spichlerzami. W najbardziej na południe wysuniętej części gmachu z dwuspadowym dachem pokrytym czerwoną karpiówką, znajdowała się kotłownia a obok plac ze składem węgla.

Narodziny złotego mitu

Już od pierwszych młynów w 1860 r. młyn Adolfa Feige i jego współpracowników był największym młynem zbożowym Górnego Śląska. W tamtych latach przylgnęła do niego nazwa: Wielki. Na początku, w ciągu miesiąca męł do 500 ton ziarna żytniego lub pszenicznego. Prawie przez sto lat kilka gatunków mąki trafiało na rynek regionalny, zaspokajając zapotrzebowanie konsumentów i odbiorców w 60%. W Katowicach, jeszcze w przedmiejskich czasach, zaopatrywały kilkadziesiąt piekarni, sklepów i kilka restauracji. Prowadził handel mąką i artykułami żywnościowymi, a także skup i sprzedaż zbóż, w lwiej części sprowadzanych z Małopolski, Mazowsza a nawet Ukrainy i Litwy. Był zaliczany do I klasy przemysłowej. Imponował jako flagowe przedsiębiorstwo miasta i powiatu, dysponujące parkiem maszynowym godnym epoki pary i żelaza.

Wypożyczony w nowocześniejszą maszyną parową z fabryki Karola Fryderyka Breitfelda w Pradze, miał w systemie kaszkowym na wysokie mlewo. Męł ziarno rozdrabnianie pomiędzy żarnami z kamienia kwarcowego, umocowanych w żelaznych mechanizmach. Umożliwiał uzyskiwanie mąki w krótszym czasie, większej ilości i o wiele lepszej niż w mniej pożywnych – przemiałach razowych. Pracował na urządzeniach i technologii Olivera Evansa, opatentowanej pod koniec XVIII wieku w USA, a potem rozpowszechnionej na Wyspach Brytyjskich. nosiła nazwę „amerykańskiej”. Wszystkie operacje produkcyjne zostały zmechanizowane. Najpierw ziarno a potem mąka, jak w automacie maszynowo odsiewane i pakowane wędrowały do magazynów.

W budowę katowickiego przedsiębiorstwa i w jego wyposażenie zainwestowali trzej Izraelici: Adolf Feige, posiadacz ziemski z Bierunia Nowego, Markus Fiedler oraz Israel Glaser z Katowic. Wszyscy trzej inicjowali założenie pierwszej katowickiej gminy synagogalnej, wszyscy trzej

skiej 8 i 10 mieszkali: Juliusz Feige, syn Adolfa; Ludwik Fiedler, syn Markusa oraz Maks Glaser, syn Israhela wraz z owdowiałą matką Rozalią. Jako współwłaściciele zgodnie zarządzali młynem aż do czasów pierwszej wojny światowej, u schyłku której zastąpiła ich kolejna pokoleniowa sztafeta. W międzyczasie Ludwik wykupił udziały współników i został głównym udziałowcem.

W Polsce Odrodzonej współwłaścicielami wielkiego młyna byli Maksymilian

nie pamięta jeszcze opustoszałe i zrujnowane budynki młyna parowego.

– Jako szkraby bawiliśmy się tam w Indian i strzelanego. Zabudowania tej fabryki stały jeszcze na początku lat 60. Stopniowo zamieniały się w ruinę. Rozebrano je, gdy szykowała się budowa nowego dworca kolejowego. Ten tajemniczy zakątek zawsze budził moją ciekawość.

Po latach spotkałem człowieka, który pamiętał jeszcze Maksymiliana Fiedlera, ostatniego właściciela wielkiego młyna. Był

Za jego sprawą katowickie młynarstwo, wcześniej wodne lub wietrzne, przestało być sielankowym rzemiosłem a stało się jedną z branż przemysłowych.

Fiedler syn Ludwika oraz dwaj zięciowie tego drugiego – Izidor Freund i Maks Goldstein.

Izidor, potomek galicyjskich młynarzy, podobnie jak inni żydowscy kupcy i przemysłowcy był członkiem katowickiej loży „Concordia”, mającej siedzibę na rogu Stawowej i Młyńskiej – niemalże na przeciwko młyna parowego. Ich misja polegała na zabezpieczaniu interesów żydowskich na arenie międzynarodowej, kultywowali tradycję zachowania duszy żydowskiej i sprzeciwiali się wszelkiej asymilacji.

W 1934 roku wielki młyn parowy świętował brylantowy jubileusz. Zatrudniał wówczas 41 robotników, którzy przeciętnie w ciągu roku mieli 8600 ton zboża, to jest ponad 700 ton każdego miesiąca. Wśród archiwaliów zachował się drukowany złotą farbą znaczek okolicznościowy: „Fiedler i Glaser, 1859-1934, 75 lat, Katowice Górny Śląsk”. W tym czasie na pismach firmowych Wielkiego Młyna pojawiał się napis: „Fiedler & Glaser, Młyn parowy – Dampfmühle, Katowice”.

Był już wtedy ważnym obiektem wyrażenia zapisanym w świadomości mieszkańców wielkich Katowic i jedną z wizytówek miasta. Wśród folklorystycznych szlagierów, odnalezionych przez Adolfa Dygacza, a jeszcze w okresie międzywojennym po-

jego pracownikiem. Opowiedział mi jak Niemcy potraktowali Fiedlera we wrześniu 1939 roku. W kilka dni po wkroczeniu do Katowic, do jego mieszkania przy Młyńskiej weszli gestapowcy. Z pochodzenia był Żydem, a więc rozmowa z nim była niepotrzebna. Zastąpiło ją krótkie ultimatum: „Jeśli dasz 10000 dolarów w złocie, to włos ci z głowy nie spadnie!”.

Gdy usłyszałem to po raz pierwszy, pomyślałem, że to tylko plotka albo zmyślenie. Uwierzyłem, gdy po czasie poznałem innego człowieka i dobrego znajomego pana Maksymiliana. Potwierdził, że tak było i że na własne oczy widział okup przygotowany przez Fiedlera, który z wielką forszą wychodził do komendy Gestapo przy Warszawskiej, wtedy oczywiście nazywanej Friedrichstrasse. Przypuszczalnie oddawał łapówkę w ratach. Przetrwiał wojnę i ocalał. Mieszkał i zmarł w swojej kamienicy.

Podczas hitlerowskiej okupacji młyn Fiedlera i Glasera znalazł się pod zarządem przymusowym. Oficjalnym jego dyrektorem był niemiecki komisarz. Pan Maksymilian, został zaszeregowany na etacie pracownika fizycznego, ale pod nadzorem gestapowca tak jak dawniej wykonywał obowiązki kierownika przedsiębiorstwa.

Maksymiliana Fiedlera, jeszcze w powojennych Katowicach widywał katowiczanie, pisarz i malarz Henryk Waniek, dla którego Młyńska z przyległościami pozostaje krainą dzieciństwa. Ludzi i zdarzenia sprzed lat przywołuje w opowieści „Katowitzer Polka”. O starszym już panu pisze z sarkazmem:

„Od frontu widok młyna zasłaniała piętrowa rezydencja właściciela młyna. Był nim pan F., niemiecki Żyd, odznaczony bohaterskimi krzyżami wojny światowej. Z tej racji władza hitlerowska traktowała go inaczej, niż szare masy żydowskie. Zapewne nie uniknął restrykcji narzuconych Żydom przez ustawy norymberskie i musiał nosić na odzieży gwiazdę żydowską, ale szczęśliwie dożył roku 1945. Później też nie wysiedlono go jako Niemca i mieszkał w swej okrojonej rezydencji w peerelowskich Katowicach. Pamiętam jego sylwetkę jeszcze z lat 50., wyróżniającą się osobliwym strojem w niemieckim stylu «myśliwskim». Był jakże egzotyczną postacią ulicy Młyńskiej w tej scenarii „sztucznego”, śląsko-dąbrowskiego krajobrazu po bitwie.”

Maksymilian Fiedler zmarł wiosną 1955 r. W Katowicach dożył prawie 74. jesieni życia. Jest pochowany na cmentarzu ewangelickim przy ulicy Francuskiej.

Wielki młyn przetrwał w pamięci katowiczana. Mówią o nim wspomnienia i osnuwa go legenda pełna sekretów i niedopowiedzeń.

mieszkali w miejskich willach obok młyna, a dwaj ostatni wchodzili w skład pierwszej rady miasta Katowice.

W 1874 roku twórcy katowickiego przemysłu zbożowego świętowali srebrny jubileusz firmy. W lipcu tamtego roku doszło też do gwałtownego pożaru. Przyczyną eksplozji stało się nadmierne zagęszczenie pyłów przemysłowych. W styczniu następnego roku zakończyli remont zniszczonych urządzeń i orestaurowali osmalone ogniem ściany. Usunęli stary dwuspadowy dach. Adaptowali dawne poddasze i podwyższyli budynek o jedną kondygnację. W tym samym czasie zwiększyli produkcję mąki i poszerzyli krąg jej nabywców. Teraz firma dodatkowo eksportowała do Zagłębia Dąbrowskiego i Galicji.

W ostatniej dekadzie XIX wieku na stanowiskach menadżerów – ojców zastąpili synowie. Po 1890 r. w domach przy Młyń-

skich na tutejszych podwórkach śpiewano:

„Nasze Katowice to piękne miasteczko, nasze Katowice to piękne miasteczko, tu jest ulica i tutej ulica, gaik i poleczeko.

Nasze Katowice to piękne miasteczko, rzeka i staweczek, hotel i mlynieczech, wszystko przy rynekczku.

Nasze Katowice nad wszystkie miesciny, sklepy i aptyki, huty i fabryki, a wszędy kominy.”

Ostatni etap

Wielki młyn przetrwał w pamięci katowiczana. Mówią o nim wspomnienia i osnuwa go legenda pełna sekretów i niedopowiedzeń.

Pan Adam Pietrzak, znawca dziejów miasta i niezmordowany odkrywca jego tajem-



Poza kółeczkiem

– Bardzo lubię, gdy autor wynicowuje kreowany przez siebie świat i nagle stawia go na głowie, czasami za sprawą tylko jednego groteskowego zdania. W opowiadaniu *W tył, w dół, w lewo* pasażer autobusu zgłasza komiczne wręcz pretensje do kierowcy: „Proszę pana, ta pani jest martwa, niechże pan coś z tym zrobi!”. To zdanie zrodziło się chyba z podsłuchania ulicy, która pełna jest podobnych komizmów?

– Cenię takie pisanie, które wytrąca czytelnika z jego przyzwyczajeń, sprawia, że musi zatrzymać się w swojej lekturze i przeczytać zdanie czy akapit raz jeszcze, aby się upewnić, że się nie przesłyszał czy nie przewidział.

Lubię też podsłuchiwać ulicę, często inspiruję się mową potoczną, automatyczną, utartą, taką, nad którą już się nawet nie zastanawiamy. Czasami zdarza się, że w takich odruchach

mowy da się znaleźć coś, co okazuje się interesującą puentą czy bon motem. Jeśli przyjąć – a mnie się tak wydaje – że życie składa się z odruchów, nawyków, rytuałów, że działa swego rodzaju automatyką codzienności, to szczególnie cenne są wszystkie momenty przebudzenia.

– Wspomniane opowiadanie to chyba nade wszystko mini traktat o tym, jak niewiele wiemy o umieraniu i o tym, co jest poza znanym nam światem. Jako komentarz do tej niewiedzy, którą często próbujemy wypełnić rozmaitymi wierzeniami, zabobonami, rytuałami, można by wskazać zdanie z opowiadania *O prawdopodobnej śmierci polskiego kosmonauty*: „Człowiek zbliża się do rozwiązania ważnej tajemnicy”. Czy zbliża się naprawdę? Pewną odpowiedzią jest ironiczny śmiech dyrektora po usłyszeniu tych słów.

– To opowiadanie, tj. obraz, który się w nim pojawia, jest dla mnie metaforą tego, co sądzę właśnie o naszej duchowości: podbój kosmosu przy użyciu puchowej kurtki, flamastrów, zdjęć z „National Geographic” czy pompki do roweru. Nie zdecydowałam jeszcze, czy ta metafora jest dla mnie smutna, czy wręcz przeciwnie: daje nadzieję, że się próbuje cokolwiek zrozumieć, chociaż się wie albo przeczuwa, że te próby mogą tylko spalić na panewce.

– *W tył, w dół, w lewo* to także opowieść o tym, że czasami nie potrafimy odnaleźć się w życiu, nie potrafimy odegrać roli żyjącego, żywego, więc próbujemy się odnaleźć w sytuacji diametralnie odmiennej. Wybieramy świadomie rolę umarłego. Czy tak?

– To bardzo ciekawa interpretacja. Mam wobec pisania dwie obsesje: obsesję symetrii i obsesję kręgu, cyklu,

pewnej powtarzalności, swego rodzaju wiecznego powrotu, takiego organizowania przestrzeni literackiej, która zakładałaby przesuwanie się po okręgu, nie po linii. Dla mnie opowiadanie *W tył, w dół, w lewo* nie jest opowiadaniem o śmierci, albo nie jest opowiadaniem tylko o śmierci, a raczej o apatii, o życiu, które jest trudne do naruszenia i w którym i śmierć niewiele zmienia. W opowiadaniu dużo się mówi o śmierci, ale całość nie kręci się tylko wokół niej, wokół jej przedmiotów osobistych, np. rytuałów.

– Osobiście najbardziej przemówiło do mnie opowiadanie *Organizacja snu w przedszkolu*, być może ze względu na moje związki z oświatą. Mogę ze smutkiem potwierdzić, że pani obraz jest całkowicie zgodny z rzeczywistością. Jednak najważniejsze w tej prozie jest to, że obnaża ona rytualizację życia jako takiego, nie tylko zawodowego, społecznego czy oświatowego; ukazuje zastygnięcie ludzi w jakichś sztucznych pozach, podgląda wymyślone w biurowym amoku gesty, obowiązki, nakazy i zakazy. W takim świecie nic nie jest naprawdę, a wszystko jest na pokaz, by zgadzało się w protokole. Czy tak pani postrzega rzeczywistość wokół siebie?

– Rozumiem celowość porządku, według którego jesteśmy zorganizowani i szczerze ją doceniam, ale wyśmiewam w opowiadaniach wszystkie te sytuacje, w których to nie porządek zorganizowany jest wokół rzeczywistości, tylko rzeczywistość wokół porządku. Jest taka scena w książce K. Keseya *Lot nad kukułczym gniazdem*, w której nowo osadzony dziwi się, że nie można korzystać z pasty do zębów i szczoteczki poza wyznaczonymi godzinami. Gdy słyszy, że to po to, aby zapanować nad innymi pacjentami, odpowiada: „No, jasne. W przeciwnym razie ludziska co chwila lataliby szorować zęby, po prostu nie dałoby się ich odgonić od umywalki”.

– W opowiadaniu *Siwy koń w pla-my kare* napisała pani, że „świat jest wielkim zdumieniem”. Co zadziwia panią najczęściej i co najbardziej?

– To zdanie jest kontrapunktem dla treści całej książki, w której dzieją się dziwne, niezrozumiałe nikogo rzeczy. Główny bohater wypowiada je w taki sposób, jak gdyby wyszedł rano przed dom, przeciągnął się, splunął i pomyślał: przejaśnia się. „Świat jest wielkim zdumieniem” to komentarz czy refleksja tego typu. Ja sama dziwię się rzadko, ale nie jest to efekt bla-

zy czy tego, że już w życiu wszystko widziałam, po prostu zawsze – cokolwiek by się nie działo – dopuszczam możliwość, że właściwie wszystko jest możliwe.

– Jedną z postaci w sztuce *Feinweinblein* stwierdza: „Nie chcę być z myślami, ja chcę radia słuchać”. Bardzo dobrze podpatrzyła tutaj pani uciekłość ludzi przed słowami, myśleniem, konfrontacją z drugim człowiekiem w jakichs uproszczone schematy zachowań, bo przecież pogłębiony odbiór muzyki czy dobrej audycji jest zachowaniem wartościowym. Ale można uciekać przed głębią życia w szum eteru, szum informacyjny, w jakiś jazgot. Często się pani z takim zachowaniem spotyka? Czy ono panią irytuje, martwi, jest obojętne?

– Kiedyś skarżyłam się komuś na to, że irytuje mnie potwornie gadanie dla samego gadania, takie bicie piany, wzajemne zagadywanie się na śmierć, mówienie, które służy temu, aby niczego nie powiedzieć. I ten ktoś, komu się skarżyłam, zwrócił mi uwagę, że jestem zbyt surowa, bo ta cała wielka gadanina to może być nasz sposób na to, żeby dać sobie szansę, aby nam się coś wymysknęło: że w potoku słów czasami uda nam się stracić czujność i powiemy coś prawdziwego. Od tamtego momentu staram się podchodzić do tej naszej wielkiej językowej krzątany z większą wyrozumiałością, może i z czujnością. Fascynują mnie – co widać szczególnie w *Feinweinblein* – wszystkie te momenty, kiedy starając się bardzo o czymś nie mówić, praktycznie nie potrafimy przestać o tym gadać.

– W sztuce tej trafnie ujęła pani problem potrzeby taniego naśladownictwa, jaką wywołują u odbiorców wszelkie media, a w *Feinweinblein* – radio. „Człowiek prosty patrzy, chce robić to samo”. Słowa te dobrze opisują także dramat współczesnych nastolatków, którzy nie mogą być jak ich idole z telewizji, kina czy internetu, często popadają w depresję lub popełniają samobójstwo. Zresztą świetlicowa też się zabija, nie mogąc zaakceptować tego, że „u nas życie takie małe”. Czy trafnie to odczytałam?

– Myślę, że to nie jest dramat nastolatków, tylko nasz wspólny ludzki problem. Interesuje mnie bardzo i często w pisaniu wracam do tematu „małego życia”, tj. „życia, którego nam nie starcza”, do podobnej tęsknoty, która pewnie trapiła panią Bovary, i do potrzeby tego, żeby w życiu coś się ważnego stało. Świetlicowa z *Feinweinblein* jest najpełniejszym utożsa-

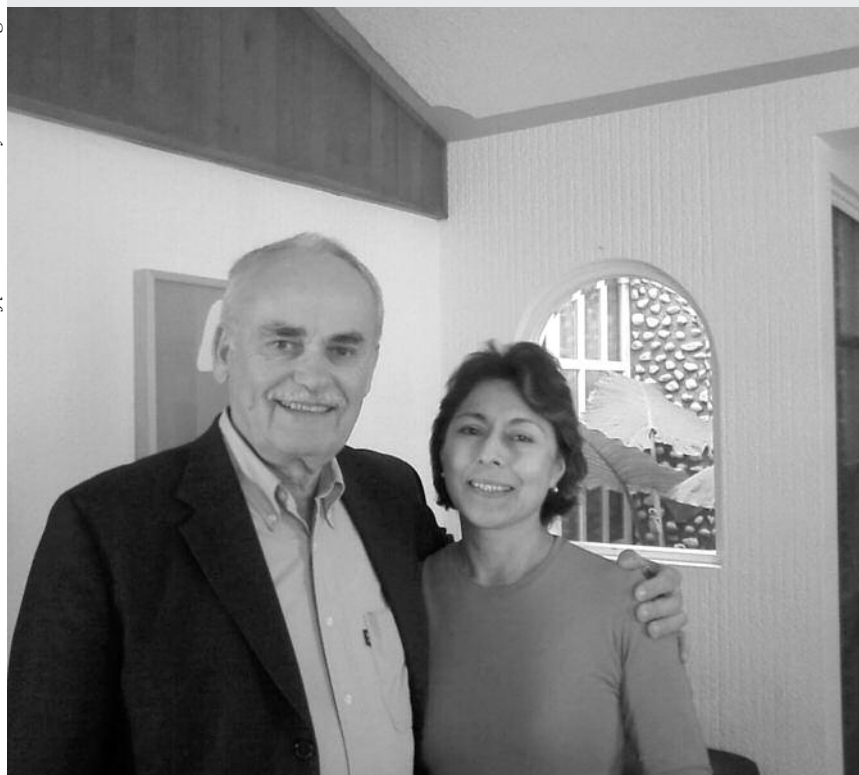
mieniem takiej tęsknoty, ale to ciekawe, że obstawia pani, że to właśnie ona się zabiła.

– W *Feinweinblein* pada jeszcze jedno ważne dla mnie zdanie: „Na wojnie trzeba głupich”. Jest ono nośnikiem wielu znaczeń i możliwości odczytania. Jest też gorzką prawdą o świecie, o tym, jak ludzie sami go sobie zorganizowali. Skoro bowiem wojny trwają właściwie permanentnie, to zapotrzebowanie na głupców jest także nieustanne. Może dlatego zatem programuje się ludzi od dzieciństwa tak, jak opisała to pani w *Organizacji snu w przedszkolu*: „No, już. W kółeczko, tak? Jak zawsze. Myk, myk”? Może w tym świecie nikt z nas sobą nigdy nie będzie, bo świat nas takich nie potrzebuje? Potrzebujemy zaprogramowanych głupców.

– Nie wiem, jakich ludzi potrzebuje świat, ale zawsze dużą sympatię miałam do wszystkich tych dzieci, które nie chciały tańczyć w kółeczku, tylko chowały się gdzieś za szafkami, tyłem do świata i przodem do ściany. Do dzisiaj mam zresztą słabość do wszystkich twórców, którzy w takich okolicznościach i warunkach: bez łatwego łaszenia się, bez świętego spokoju, na granicy czytelności, muzyczności, wobec samego siebie, są gdzieś poza tym kółeczkiem.

Weronika Murek (1989) – urodzona w Bytomiu, absolwentka Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Śląskim, aplikantka adwokacka, autorka debiutanckiego zbioru opowiadań *Uprawa roślin południowych metodą Miczurina* (Wydawnictwo Czarne, 2015), za którą była nominowana do Paszportu Polityki, laureatka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej w 2015 roku za sztukę *Feinweinblein*. Mieszka w Katowicach.

Z RYSZARDEM SIWYM – kompozytorem i aranżerem
rozmawia IWONA ŻELAZOWSKA



Ryszard Siwy z żoną

Muzyczna podróż z Podlesia do Meksyku

*Wspominam Podlesie jako malowniczą wioskę otoczoną lasami, do których chodziliśmy co roku na jagody. Dużo koni, tartaki, wykopki kartofli z dymami ognisk na polach i gra w piłkę na łąkach przy pasących się krowach. W zimie, biel śniegu na polach ciągnących się aż pod las, śwąd palonej gumy przy montowaniu szluchów do króńfleków. Jazda po zamrożonych stawach i po białych ulicach Podlesia, również na holcokach z podbitymi do nich drutami. Huczne odpusty, nabożeństwa świąteczne w naszym kościele, niezapomniane, pełne nadziei, przemówienie kierownika Marcina Trójoka w naszej szkole, po wypadkach październikowych w 1956 roku. Mecze Podlesianki o wejście do drugiej ligi. To były szczęśliwe lata mojego dzieciństwa w Podlesiu.**

– Od 35 lat mieszka pan i pracuje w Meksyku. Jest pan muzykiem, kompozytorem, aranżerem i wykładowcą na tamtejszych uczelniach muzycznych. Przez ponad 30 lat był pan związany z Uniwersytetem Veracruzanskim w Xalapie. Obecnie, od 2005 roku, pracuje pan w Meksykańskim Podyplomowym Centrum Muzycznym w Puebli. Nie byłoby w tym nic dziwnego i egzotycznego, gdyby nie fakt, iż pochodzi pan z Podlesia Śląskiego, z dzisiejszej dzielnicy Katowic. Tutaj pan się urodził, chodził do szkoły, mieszkał aż do momentu wyjazdu na studia. Zaczniemy jednak od początku... Proszę opowiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach rozpoczęła się ta wielka przygoda z muzyką?

– Pochodzę z Podlesia. Jestem Ślązakiem od wielu pokoleń. Od zawsze. Śmiało mogę powiedzieć, że dźwięki orkiestry górniczej mam zapisane w genach. Mój ojciec, Emil był górnikiem w kopalni Boże Dary w Kostuchnie. Grał na saxhornie tenorowym w tamtejszej górniczej orkiestrze dętej. Uczestniczyłem więc niemal we wszystkich koncertach tej orkiestry od najwcześniejszego dzieciństwa; słuchałem jej na pochodach pierwszomajowych, świątach niepodległości, rocznicach rewolucji październikowej, pogrzebach, kolorowych festynach, no i na pięknych uroczystych koncertach barbórkowych. W naszym domu, jak sięgam pamięcią, muzyka rozbrzmiewała zawsze. Moja mama śpiewała w chórze „Słowiczek” na Kostuchnie, a ojciec oprócz tego, że grał w dętej orkiestrze górniczej, to miał także swój zespół, z którym grywał na weselach. Był co prawda samoukiem, ale muzyka była jego olbrzymią pasją. Potrafił grać na trąbce, skrzypcach, saxhornie tenorowym, perkusji no i oczywiście na akordeonie. Udzielał nawet prywatnych lekcji gry na tym instrumencie. Ja często w tych lekcjach uczestniczyłem, podglądałem i przysłuchiwałem się uważnie. Gdy miałam 9 lat tata nauczył mnie nut. Gry na akordeonie, pod dyskretnym okiem ojca, właściwie uczyłem się sam. Pamiętam, że tata kupował mi i podsuwał do grania coraz trudniejsze utwory, dzięki czemu rozwijałem swoje umiejętności muzyczne. Później, gdy miałem 12 lat, rodzice zapisali mnie na lekcje do Ogniska Muzycznego w Katowicach przy ulicy Dąbrówki. Mając 11 lat zacząłem komponować swoje pierwsze utwory... walce. Niektóre tematy tych utworów, 14 lat później, zinstrumentowałem a orkiestra Panajota Bojadziejewa nagrała je dla Polskiego Radia w Katowicach. Gdy miałem 13 lat pisałem już pierwsze aranżacje muzyczne. Aranżowałem utwory wykonywane przez zespół mojego ojca, zespół, który tworzyły 2 saksofony, trąbka i perkusja. Często też włączałem się do wspólnego muzykowania i razem z tatą grywałem na weselach. Później dostałem się do Liceum Muzycznego w Katowicach. Pamiętam mój egzamin wstępny, w trakcie którego wyko-

nałem na akordeonie „Czardasz” Montiego.

Co prawda chciałem uczyć się gry na klawirze, ale po moim występie, ponoć bardzo dobrym, komisja egzaminacyjna jednogłośnie zdecydowała, że moim głównym instrumentem pozostanie akordeon a nie klawir. Kolejnym argumentem był fakt otwarcia, w miejsce zlikwidowanej klasy organów, nowej klasy akordeonu. Zostałem więc uczniem Państwowego Liceum Muzycznego w Katowicach w klasie akordeonu prof. Jerzego Dastycha. Pamiętam, że byłem wtedy jedynym uczniem profesora (*śmiech*).

– **Komponował pan i aranżował utwory od najmłodszych lat.**

– Zawsze chciałem komponować muzykę. To było moim wielkim marzeniem. Z tego też powodu bardzo intensywnie uczyłem się grać na fortepianie, realizowałem program nauczania znacznie obszerniej niż było to wymagane. Marzyłem także o tym, by grać na organach. Do dziś pamiętam jak wielkie wrażenie robiły na mnie dźwięki organów rozbrzmiewające w naszym podleskim kościele, ich moc i ich potęgę...

– **Na studia wybrał się pan do Warszawy.**

– Tak. Jestem absolwentem Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie w klasie akordeonu prof. W. L. Puchnowskiego. Jeszcze jako student akompaniowałem śpiewakom operowym i piosenkarkom, współpracowałem z kabaretami studenckimi, grałem na fortepianie w zespole dixielandowym. Studia ukończyłem w 1969 roku. Zaraz po dyplomie otrzymałem propozycję pracy jako pedagog. Miałem uczyć gry na akordeonie. Odmówiłem. Taka forma pracy nie pociągała mnie. Nadal marzyłem o komponowaniu. Postanowiłem studiować kompozycję. Jednak moja odmowa pracy pedagogicznej poskutkowała brakiem zgody władz uczelnianych na kontynuowanie studiów na kolejnym fakultecie. Polskie państwo socjalistyczne wykształciło mnie jako pedagoga akordeonu, zainwestowało we mnie i domagało się zwrotu zaciągniętego długu a ponieważ odmówiłem, ukarało mnie. No cóż, zacząłem uczęszczać na interesujące mnie wykłady jako wolny słuchacz. Chodziłem na zajęcia z kontrapunktu, harmonii zaawansowanej i cały czas... komponowałem. Pisałem dla Polskiego Radia, współpracowałem z orkiestrą Stefana Rachonia, z orkiestrą Henryka Debicha w Łodzi. Akompaniowałem i aranżowałem utwory dla wielu polskich piosenek. Od 1975 roku zacząłem współpracę z Anną German jako pianista, aranżer i kompozytor jej piosenek. Poza tym zajmowałem się nagraniami muzyki filmowej. Współpracowałem m.in. z Waldemarem Kazaneckim (muzyka do *Bolka i Lolka*, do filmu „Noce i dnie”), a także z Andrzejem Korzyńskim. W latach 1975–1978 uczestniczyłem w tworzeniu ścieżek muzycznych do wszystkich filmów z ich muzyką. Pamiętam, że jako

pierwszy w Warszawie miałem syntezator, to był mój olbrzymi atut... (*śmiech*), byłem po prostu rozchwytywany, wszyscy chcieli korzystać z tych nowych możliwości dźwiękowych. Jako muzyk studyjny na syntezatorach pierwszej generacji pracowałem w studiach M1 i S2 w Warszawie.

– **Czyli po studiach, był pan związany głównie z muzyką rozrywkową i filmową?**

– Można tak powiedzieć, faktycznie z tego okresu pochodzą przede wszystkim nagrania muzyki filmowej, rozrywkowo-instrumentalnej i wokalne. Wśród archiwaliów PR znajduje się sporo ciekawych nagrań zespołu radiowego „Grająca Tabakierka”. Stworzył go kontrabasista Filharmonii Narodowej w Warszawie – Tadeusz Różycki. Skład tego zespołu był nietypowy: flet, obój, klarinet, fagot, klawesyn, kontrabas i perkusja (wibrafon, marimba...). Wykonywali oni utwory zarówno mojej kompozycji jak i mojej aranżacji. Z tego też okresu pochodzi nagranie skomponowanej przeze mnie „Groteski na fagot”. Jak już wcześniej wspominałem, współpracowałem także bardzo intensywnie jako wykonawca (pianista i organista), kompozytor i aranżer z radiowym septetem Panajota Bojadżijewa. W fonotece PR w Katowicach jest kilka moich kompozycji instrumentalnych nagranych z tym zespołem w latach 1970–1972. Muzycy zespołu byli muzykami katowickiego NOSPR (ówczesny WOSPR, *przyp. red.*). Natomiast ja i Bojadżilew dojeżdżaliśmy na Ligonie z Warszawy.

– **W tym okresie występował pan w wielu krajach Europy i ZSRR jako pianista i kierownik różnych polskich zespołów muzycznych, otrzymał pan wiele nagród w konkursach muzycznych zarówno jako aranżer, jak i jako kompozytor... jednym słowem same sukcesy. Jak to się zatem stało, że wyjechał pan z Polski i zamieszkał w Meksyku?**

– Kilku moich kolegów z Narodowej Orkiestry Symfonicznej wyjechało do Meksyku na kontrakt. Pracowali w Orkiestrze Symfonicznej w Veracruz związanej z Uniwersytetem Veracruzanskim. Znając zapotrzebowanie tamtejszego środowiska muzycznego i mając kontakt z władzami uczelni, zarekomendowali mnie na stanowisko wykładowcy. Jak widać przedstawili mój dorobek artystyczny w sposób bardzo przekonujący, ponieważ w 1979 roku wyjechałem przez PAGART na roczny kontrakt do Meksyku. Od razu podjąłem pracę w Xalapie – stolicy stanu Veracruz. Tam mieści się siedziba rektoratu Uniwersytetu Veracruzanskiego, bardzo poważnego i potężnego uniwersytetu stanowego. Uczelnia ta ma różne kierunki i wydziały, m.in. architektury, medycyny, prawa. Jednym z wielu fakultetów jest fakultet muzyczny, który spełnia rolę szkoły muzycznej na wszystkich poziomach nauczania: od podstawowej po studia magisterskie. Nie jest to szkoła ogólnokształcąca. Dla uczniów szko-

ły muzycznej I i II stopnia zajęcia odbywają się wyłącznie po południu. Kształcenie muzyczne oczywiście jest kompleksowe i obejmuje zarówno lekcje gry na instrumentach, jak i harmonię, kształcenie słuchu, literaturę muzyczną... itp. Studenci, podobnie jak w Polsce, mają możliwość wyboru wydziału muzycznego. Istnieje tam wydział instrumentalny, muzykologia, dyrygentura, kompozycja, wychowanie muzyczne... itp. itd. Na fakultecie muzycznym Uniwersytetu w Xalapie wykładałem harmonię, uczyłem aranżacji a także prowadziłem zespoły instrumentalne. Po roku pracy, przedłużono mi kontrakt o kolejny rok a w 1981 w Polsce wprowadzono stan wojenny... nieco później poznałem przyszłą żonę... założyłem rodzinę... urodziły mi się dwie córki. Jak pamiętam, cały początkowy okres mojego pobytu w Meksyku był zdominowany chęcią powrotu do Polski. Cały czas myślałem, że wrócę. Przekładałem powrót z roku na rok i zrobiło się z tego niepostrzeżenie... 35 lat!

– **W Meksyku zaczął się dla pana nie tylko nowy rozdział życia, ale także nowy okres twórczości. W Polsce głównie związany był pan z muzyką rozrywkową. W Meksyku zaczął pan komponować tzw. „muzykę poważną”. Czy pisał pan także na zamówienie?**

– Różnie. Niektóre kompozycje pisałem na zamówienie. Tak było z utworem „Polonesa Festiva” na orkiestrę. Zamówienie złożyła u mnie uniwersytecka orkiestra symfoniczna, która właśnie obchodziła swój jubileusz. Poproszono mnie o napisanie utworu, który zawierałby elementy muzyki polskiej i meksykańskiej. Na moim biurku leżał wtedy szkic krótkiego utworu, melodia jednogłosowa, ciekawa rytmicznie, utrzymana w rytmie poloneza, którą napisałem na uczelniany konkurs czytania nut *a vista*. Rozwiniąłem ten temat i przeplatając go fragmentami zacerpniętymi z poloneza Ogińskiego „Pożegnanie Ojczyzny” opracowałem w formie ronda. Wprowadziłem także kilkutaktowy motyw z meksykańskiej piosenki *Estas son las mananitas* (odpowiednik naszego „Sto lat”), który opracowałem również w rytmie poloneza.

Na zamówienie powstała także Uwertura „Volador” skomponowana na orkiestrę symfoniczną. To kompozycja zamówiona przez Eurocopter, meksykańską firmę produkującą drzwi do samolotów typu „Airbus”. Utwór ten zamówiono z okazji jubileuszu fabryki w Queretaro. Nawiązując do profilu firmy, symbolicznie w środku uwertury, na tle dźwięków orkiestry przez jedną minutę słychać warkot silników helikoptera. Utwór został wykonany przez stanową orkiestrę symfoniczną w Queretaro, w obecności prezydenta Meksyku. Do dzisiaj, pierwsza strona partytury, pięknie oprawiona i opatrzona moim podpisem i dedykacją, widnieje przy wejściu do siedziby firmy Eurocopter, mieszczącej się w pobliżu stołecznego lotniska Ciudad de Mexico.



Kompozytor (drugi z prawej, z kamerą) z Anną German w Wołgogradzie, 1975

– Czy pańskie kompozycje są bardziej inspirowane muzyką polską, śląską, czy może muzyką i folklorem meksykańskim?

– Zaczniemy od muzyki i kultury meksykańskiej, która jest dla mnie bardzo inspirująca. Folklor muzyczny Meksyku jest niesłychanie różnicowany. Podobnie jest z całą kulturą meksykańską, która jest niezwykle bogata i złożona. Odzwierciedleniem tego może być liczba dialektów, języków, którymi posługują się mieszkańcy Meksyku. Obowiązującym językiem urzędowym jest hiszpański. Jednak różne grupy etniczne posługują się swoimi własnymi dialektami. Wszystkich języków jest 52, a tych głównych aż 16. Podobnie jest z muzyką. Meksykańska muzyka ludowa jest mieszanką muzyki hiszpańskiej i muzyki indiańskiej, pamiętającej jeszcze czasy prekolumbijskie. Muzyka ta zainspirowała mnie do napisania kilku utworów.

„Rapsodia Camca’ac” na orkiestrę, początkowo miała nazywać się „Rapsodia meksykańska”. Jednak krótki temat zaczerpnięty z piosenki indiańskiej plemienia Camca’ac, zdecydował o ostatecznym tytule utworu. Drugi utwór „Zapadeado Veracruzano” na dwa fortepiany i orkiestrę, inspirowany jest folklorem z rejonu Veracruz. Dużo tu cytatów dosłownych, które są podstawą do różnego rodzaju przetworzeń, wariacji i opracowań.

Napisałem też utwór pt. „Tortuga”, czyli „Żółw”. To opracowanie meksykańskiej melodii ludowej na 8 fletów. Meksykański zespół zaprezentował ten utwór na światowym festiwalu fletowym w Kansas City w USA. No i bardzo piękna, moim zdaniem, pieśń na chór *a’capella* do słów anonimowego autora „Bienvenida a los mueros en su Dia” w tłumaczeniu na język polski „Witajcie zmarli w dniu swojego święta”. Sięgam tutaj do meksykańskiego folkloru Indian plemienia Tzotzil. Prawykonanie tego utworu odbyło się w trakcie festiwalu chórów w Wenecji.

Jeżeli chodzi o inspiracje muzyką polską to odbywa się to na zupełnie innym poziomie świadomości. Tu raczej działa podświadomość i serce. I tak np. mój szwagier, doskonały skrzypek, zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie dla niego koncertu skrzypcowego. Napisałem. Powstał koncert na skrzypce, smyczki i kotły, poemat pt. „Narodziny, życie i śmierć pewnej istoty”. Tytuł jak i forma utworu pozwoliły mi, a nawet zasugerowały, możliwość posłużenia się różnymi stylami i technikami kompozytorskimi, od współczesnych po neoromantyczne. Prawykonanie tego utworu odbyło się w stolicy Meksyku, czyli w Ciudad de Mexico. Później moja córka, skrzypaczka, wykonywała go w różnych krajach Europy, w tym także w Polsce z orkiestrą Filharmonii

Śląskiej. Słyszałem ten utwór wiele razy w różnych wykonaniach i, proszę sobie wyobrazić, dopiero po kilku latach, dotarło do mnie, że w tej części o charakterze neoromantycznym, podświadomie użyłem cytatu, a może raczej motywu naszej polskiej kolędy „Bóg się rodzi”... trzy pierwsze dźwięki, czyli interwał oktawy i rytm kropkowany.

Pytała pani także o muzykę śląską. Kocham śląski folklor. Przypomniała mi się teraz pewna historia z przeszłości. Gdy grywałem jeszcze z moim ojcem na weselach, pewnego razu poznałem takiego dziadka, który miał chyba 90 lat. Ten dziadek komponował piosenki. Sam też pisał do nich teksty. Był taką skarbnicą śląskiego folkloru. Otrzymałem nagranie 9 takich piosenek. Jedna z nich „Poszła dziewczeczka po gorzałeczkę” spodobała mi się najbardziej i posłużyła mi później jako temat, który wariacyjnie opracowałem na zespół instrumentalny. Śląska muzyka ludowa, zwłaszcza muzyka orkiestry górniczej jest mi, jak już wspominałem, szczególnie bliska. Bliskość ta odzwierciedla się nie tylko w częstym stosowaniu moich ulubionych marszowych motywów rytmicznych ale także w instrumentacji utworów, które piszę. Wymienię tu: „Koncert barokowy” na kwintet dęty, „Fantazjując na temat coti-coti” na cztery saksofony, Concierto „Dinant” na kwartet saksofonowy... Co tu dużo mówić – kocham barwę instrumentów dętych. Kocham rytm, który uważam za bardzo istotny, podstawowy, a nawet pierwotny element muzyczny.

– Należałoby dodać dwa ważne utwory, które pozwoliły panu wygrać dwa konkursy kompozytorskie. W 2006 roku otrzymał pan I nagrodę na V Konkursie Kompozytorskim CONACULTA za „Trzy marsze koncertowe” na wielką orkiestrę dętą, rok wcześniej wygrał pan ogólnomeksykański konkurs kompozytorski na Hymn Stanu Veracruz...

– Gdy ogłoszono konkurs na utwór napisany na wielką orkiestrę dętą, wiedziałem, że muszę do niego przystąpić. Przypomniałem sobie, że jeszcze w Polsce, w 1969 roku, czyli rok po ukończeniu studiów skomponowałem marsz wojskowy, który wysłałem na konkurs... no i wygrałem. W Meksyku też postanowiłem wygrać. Skomponowałem więc trzy marsze koncertowe, które zgrabnie połączyłem łącznikami i... udało się, zwyciężyłem.

– A jak to było z hymnem veracruzanskim? Ponoć w każdy poniedziałek rano śpiewają go wszystkie dzieci w szkołach... od przedszkola aż do liceum.

– Najpierw gubernador, czyli wojewoda stanowy, ogłosił konkurs na „przeróbkę”, „ulepszenie” hymnu już istniejącego. Ten hymn był mało porywający, mało energetyczny, w metrum 12/8, tempie lento... słowem wolno i nudno. W oparciu o taki materiał muzyczny trudno było dokonać jakichś znaczących poprawek i cudownych zmian. Tym bardziej że słowa tego hymnu narzuca-

ły pewien rytm, który automatycznie ograniczał pomysły muzyczne. Tak więc po dwuletnich próbach zmiany istniejącego hymnu, czyli w 2005 roku, ogłoszono na cały Meksyk, konkurs na nowy hymn. Warunki konkursu przewidywały utwór w rytmie marszowym, napisany w skali b – es a tekst słowny nie mógł być dłuższy niż 20 linijek i musiał zawierać 6 ważnych dla stanu Veracruz tematów, takich jak: historia, geografia, kultura, folklor, ekonomia. Zabrałem się do pracy pełen energii i weny twórczej. Do współpracy zaprosiłem zaprzyjaźnionego poetę, Francisco Morosini Cordero, który napisał tekst. Używając pewnych skrótów myślowych i pięknych poetyckich metafor, zawarł w nim wszystkie wymagane treści. Inspirowaliśmy siebie wzajemnie. Po dwóch tygodniach pracy hymn był ukończony. Oprócz naszej kompozycji nadesłano jeszcze 47 innych propozycji. Najwięcej ze stolicy – miasta Meksyk, ale także z całego południowego i północnego Meksyku, no i z samego stanu Veracruz... Wygrałem! Radość była wielka. Później opracowałem ten hymn dla różnych grup językowych. Jak już wcześniej wspominałem, chociaż językiem urzędowym w Meksyku jest język hiszpański, to jednak Indianie posługują się różnymi innymi językami i dialektami. W stanie Veracruz funkcjonuje aż 12 języków i dialektów. A więc potrzebni byli tłumacze. Ja natomiast musiałem opracowywać różne wersje rytmiczne dla każdego tłumaczenia. Trzeba było dostosować rytm muzyczny do ilości sylab danego słowa, w jednym języku to słowo jest dłuższe, w innym krótsze. Dziś, w każdy poniedziałek rano, we wszystkich szkołach stanu Veracruz, dzieci i młodzież śpiewają ten hymn w swoim języku.

– **Śluchając nagrań tego hymnu, zauważyłam, że jest on wykonywany w różnych aranżacjach.**

– Wersja podstawowa napisana jest na głos z towarzyszeniem fortepianu. Jednak w trakcie uroczystego koncertu, który odbył się w teatrze, hymn ten został wykonany przez: orkiestrę symfoniczną i 150-osobowy chór dziecięcy złożony z uczniów i uczennice szkół podstawowych, wielką orkiestrę dętą z dwoma chórami, 8-osobowy zespół folklorystyczny z harfami. Jedną zwrotek hymnu była śpiewana w języku totonaco. To język, którym posługiwali się Indianie Totonaco 500 lat temu. Jest on nadal używany w niektórych regionach wiejskich stanu Veracruz. Takiej instrumentacji i aranżacji dokonałem specjalnie na okoliczność uroczystego wykonania. Później proszono mnie o kolejne aranżacje na mniejszy skład – na oktet, kwartet, trio, duo...

– **Podsumowując pana dotychczasowe sukcesy, nie można pominąć nagrody za całokształt pracy „Premio al Decano”, którą przyznał panu Uniwersytet Veracruzana w roku 2007. Od 2013 roku jest pan na emeryturze. Ma pan wię-**

cej wolnego czasu. Na co go pan przeznaczasz?

– Oczywiście, przede wszystkim komponuję, ale także zajmuję się innymi tematami związanymi z muzyką. Po pierwsze, nadal jestem związany z Meksykańskim Podyplomowym Centrum Muzycznym w Puebli. Prowadzę tam zajęcia z zaawansowanej analizy muzycznej. Po drugie, opracowuję podręcznik nauki solfeżu, czyli „Solfeż w przykładach z muzyki meksykańskiej”. Podręcznik ten zawiera 230 ćwiczeń intonacyjnych zgrupowanych według niektórych tematów z zasad muzyki. Może być stosowany w szkołach muzycznych jako materiał pomocniczy do kształcenia słuchu i analizy harmonicznej, a także w samokształceniu z pomocą instrumentu harmonicznego. Ćwiczenia zawarte w tym podręczniku mogą być również wykorzystywane do czytania nut głosem, bez lub z akompaniamentem, do czytania *a vista*, a także ze względu na fakt, że każda melodia jest opisana funkcyjnie, ćwiczenia te mają na celu rozwój słuchu harmonicznego. Chciałbym, żeby ten podręcznik został wydany w Meksyku. Opracowuję go z myślą o uczelni, na której wcześniej pracowałem, czyli o Uniwersytecie Veracruzanskim w Xalapie.

– **Czy w Meksyku znana jest polska muzyka? Czy często wykonywane są utwory polskich kompozytorów?**

– Znana jest muzyka Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego, Karola Szymanowskiego, Henryka Wieniawskiego a utwory Fryderyka Chopina pianiści grają obowiązkowo. Muzyka polska najczęściej wykonywana jest przez polskich dyrygentów i solistów, którzy odwiedzają Meksyk w trakcie koncertów gościnnych. Był u nas Piotr Paleczny, Konstanty Andrzej Kulka.... Często zachęcam dyrygenta naszej orkiestry symfonicznej do wykonywania utworów polskich kompozytorów. Niedawno podsunąłem mu Symfonię Mieczysława Karłowicza.

– **Na początku naszej rozmowy powiedział pan, że w rodzinnym domu muzyka była zawsze obecna. Teraz chyba jest podobnie? Pana żona też jest muzykiem.**

– Tak, moja żona jest pianistką. Uczę gry na fortepianie na Uniwersytecie w Xalapie. Obie córki też są artystkami. Starsza, Lucia, jest skrzypaczką, do niedawna była koncertmistrzem w orkiestrze symfonicznej w Queretaro, obecnie mieszka na stałe w Nowej Zelandii. Młodsza córka, Monica, śpiewaczka i aktorka, mieszka w Madrycie. Poza tym moja żona ma sześciu braci, wszyscy są muzykami: czterech skrzypków, flecista i wiolonczelista. Jeden z nich, Erasmo Capilla, to wybitny muzyk. Laureat i zwycięzca wielu konkursów. Wygrał trzy międzynarodowe konkursy skrzypcowe, m. in. konkurs im. Karola Szymanowskiego w Brukseli. To właśnie dla niego napisałem koncert skrzypcowy. Ale na tym nie koniec. Ojciec mojej żo-

ny też jest muzykiem. Był skrzypkiem w orkiestrze symfonicznej w Xalapie. Kiedyś, dawno, dawno temu uczęszczał na lekcje skrzypiec do... ojca mojej teściowej, a więc do dziadka mojej żony. Dziadek ten jest mi szczególnie bliski, ponieważ grał nie tylko na skrzypcach ale i na trąbce. Stworzył także własną orkiestrę dętą...

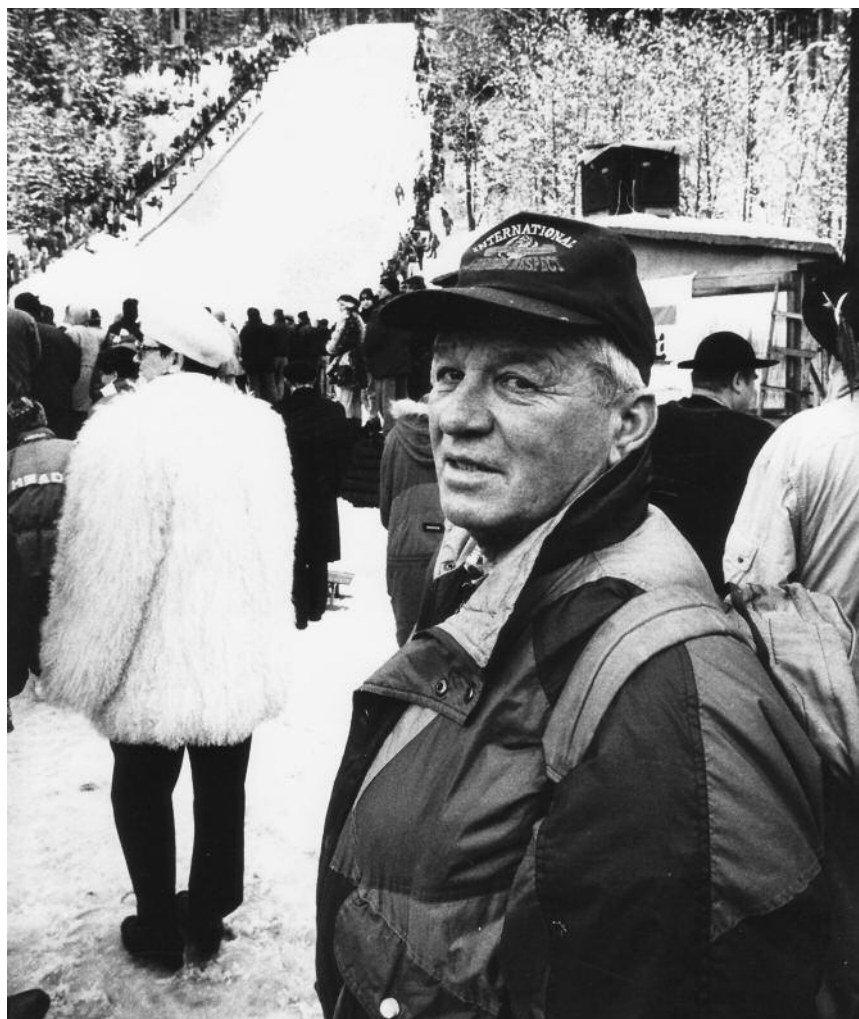
– **Tym sposobem zatoczyliśmy koło, wróciliśmy do orkiestry dętej, a tym samym do Podlesia, do Polski. Jak to się stało, że żona Meksykanka i obie córki tak dobrze mówią po polsku.**

– Często przyjeżdżaliśmy do Polski, zwłaszcza wtedy, gdy jeszcze żyła moja mama. Wiele lat temu, gdy moje córeczki były małe, starsza miała 8 lat a młodsza 4 lata, postarałem się o półroczny urlop dziekański. Przyjechaliśmy wtedy do Polski i spędziliśmy tutaj cały ten okres. Zapisaliśmy wtedy moje córki do szkoły podstawowej w Podlesiu i chodziły tam jako wolne słuchaczki, to był dla nich najlepszy kurs języka polskiego. Poza tym, kilka lat później, moja starsza córka mieszkała pół roku w Krakowie. Studiowała tam na Akademii Muzycznej w ramach wymiany programu Sokrates. Tak jej się tutaj w Polsce spodobało, że dziś mieszkając w Nowej Zelandii, niejednokrotnie powtarza, że za Polską tęskni bardziej niż za Meksykiem...

– **A pan tęskni za Polską, za Podlesiem? Na spotkanie z panem, które odbyło się kilka dni temu w Domu Kultury w Katowicach-Piotrowicach przyszło wielu pana znajomych i kolegów z dzieciństwa.**

– Tęsknię. Tutaj w Podlesiu faktycznie pozostawiłem całe moje dzieciństwo, wspomnienie rodzinnego domu, przyjać z dawnych lat. Tu mieszka cała moja rodzina. Podlesie jest dla mnie szczególnie ważnym miejscem na Ziemi. Darzę go wielkim i wyjątkowym sentymentem. W Warszawie też pozostawiłem kawałek mojego życia. Spędziłem tam przecież 13 lat. Tam mieszka wielu moich kolegów z okresu studiów. Z nimi do dziś łączą mnie różne sprawy zawodowe. Tak, tęsknię za Polską a gdy już tak bardzo, bardzo tęsknię, to wsiadam do samolotu i po prostu... przyjeżdżam. Tam, w Meksyku, też mam taką małą namiastkę Polski w postaci kuchni polskiej. Do naszego codziennego menu wprowadziłem polski chleb, który sam piekę w piekarniku, gołąbki, kluski śląskie itp. No i oczywiście mamy polską wigilię: jest barszcz, jest nawet bigos z kapusty kiszzonej. Cieszę się, że w mojej „egzotycznej” rodzinie, udało mi się zaszcześcić miłość do Polski. Wiem, że cała moja rodzina jest dumna z tego, że jestem Polakiem. A przede wszystkim ja jestem dumny z tego, że jestem Polakiem, że pochodzę z Podlesia....

* Dominik Bialik, fragment wywiadu pt. „Wywiad z Panem prof. Ryszardem Siwym”, *Miesięcznik Stowarzyszenia Uniczowy*, numer 06/2010.



Jan Raszka i skocznia – zdjęcie pochodzi z 1996 r., gdy Jano był już „tylko” działaczem i trenerem

Pierwszy z Wisły

JERZY MACHURA

W lutym 1956 roku, a więc równo 60 lat temu, w słynnym włoskim ośrodku narciarskim w Dolomitach – Cortinie d’Ampezzo, pierwszy w historii Polak zdobył medal w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich. Był to medal brązowy, a sięgnął po niego zakopiańczyk Franciszek Groń – Gąsienica w kombinacji norweskiej, czyli w rywalizacji wszechstronnej, bo i na skoczni i w biegu na nartach. W tej samej konkurencji wystąpił również inny Polak, pierwszy olimpijczyk z beskidzkiej Wisły – Jan Raszka.

Na wspomnienie o olimpijczyku z Beskidów pora to stosowna także i z tego względu, że odszedł on z tego świata również w lutym, dokładnie 5 lutego 2007 r., mając 78 lat. Przede wszystkim jednak o Janie Raszce wspominam, gdyż to postać nietuzinkowa, a jego życiorys ubarwiony był, w różnych odcieniach, nie tylko sportowymi wydarzeniami.

Z Janem Raszką poznałem się, na – jakżeby inaczej – narciarskim stoku, w latach 90., gdy Jano, bo tak go zwano, już jako działacz i animator, pomagał w organizacji zawodów, czy to narciarskich czy

skibobowych. Poznałem i w jakiś sposób zaprzyjaźniłem, bo Jan posiadał tę przyciągającą moc radości i witalności, ciągle krzepki mimo „szóstego” wtedy krzyżka. A że Jan równie barwnie opowiadał, szybko zrodziła się nie tylko nić sympatii, ale i myśl, by go kiedyś dłużej posłuchać i coś o jego, nie tylko sportowym życiu, napisać. Dla potrzeb „Dziennika Zachodniego” odwiedziłem go zimą 1994 r. i pogawędziłem, jak olimpijczyk z olimpijczykiem (jako dziennikarz, w 1994 r. obsługiwałem Zimowe Igrzyska Olimpijskie w norweskim Lillehammer,

jako pierwszy w dziejach „Dziennika Zachodniego” sprawozdawca olimpijski). Do dziś zostały wspomnienia i odręczne zapiski z tego uroczego grudniowego spotkania w jego ośnieżonej „chałupie”, gdy poza oknami zima urokliwie mroziła, a w jej środku rozgrzewały nas wspólnie oglądane fotografie z lat minionych, lat chwały, ale i lat udręki...

66-letni wtedy gospodarz miał się całkiem krzepko. Humor i dynamiczne, pełne wewrwy ruchy jakby na zamówienie potwierdzające slogan „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Raszka opowiadał chętnie i z emocjami. Urodził się, jak mówił, w góralskiej chałupie pokrytej gontami. Rodzice należeli do ludzi zamożnych, z ziemią i tartakiem. Jaś od najmłodszych lat zdradzał skłonności do śpiewu i ruchu, ale nart nie miał, choć to góry. W domu sprzyjającej atmosfery ku temu nie było – zapracowani rodzice niechętnie odnosili się do sportowych zachcianek swych dzieci. Pewnie sportowa przygoda ominęłaby młodego Jano, gdyby nie kuzyn, który w 1935 r. zabrał go na konkurs skoków o mistrzostwo Polski do Łabajowa. Mogli tam zobaczyć wtedy takich mistrzów jak bracia Maruszowie czy Bronisław Czech. I wtedy młody Raszka zaczął marzyć... O podobnych wyczynach, o sławie...

Pierwszych zjazdów i skoków, podobnie jak i inni góralscy chłopcy, dokonywał na deskach z płotu lub z beczek po kapuście, przywiązanych – w zależności od zamożności – zwykłymi sznurkami lub rzemykami ze świńskiej skóry. Szczęście młodego Raszki było, że w szkole trafił na takiego nauczyciela jak Jerzy Drozd, który uczył go zarówno śpiewu, jak i wf-u, czyli tego, co Janek lubił najbardziej. W 1937 r. Raszka bez zgody rodziców, przynosząc zaświadczenie z podrobionym podpisem ojca, wystartował w szkolnych zawodach i konkurując z dużo starszymi kolegami, odniósł pierwsze zwycięstwo. W nagrodę otrzymał piękny, skórzany pasek, którym potem... ojciec „złoił” mu skórę, gdy dowiedział się o szczegółach. Nie zraziło to Janka, bo skakał i zjeżdżał coraz lepiej. Jeszcze tej samej zimy, na pożyczonych nartach, tak skoczył z terenowej skoczni, że pobił jej rekord i... złamał nogę. Ale wtedy już miłość do dwu desek była na tyle silna, że nawet tak nieszczęsne zdarzenie nie odwróciło go od realizacji marzeń. Któregoś wieczora zuchwały Jano wynosił cichcem z tartaku ojca parę desek, z których sąsiad tworzy dla niego pierwsze prawdziwe narty. Ten sam rok zapisał się w jego rozkwitającym życiu jeszcze jednym pamiętnym wydarzeniem. Ponieważ śpiewał nie gorzej niż skakał, więc gdy prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki przyjechał na wypoczynek do Wisły, nauczyciel właśnie jego wyznaczył na solistę. Ubrany w góralskie portki i brucelik miał zaszczyt, jako dziewięciolatek, przywitać szacownego gościa.

Nowy rozdział w życiu chłopaka z Wisły zaczął się, gdy Beskidami, jak i całą Polską, zawładnęli Niemcy. Wisłę wcielono

do Rzeszy, ojca – jako kierowcę – do Wehrmachtu, a kuzyna – tego, który zaraził Janka bakcylem do sportu – zabrano do Dachau, gdzie zmarł z wycieńczenia. Mimo wojny chłopcom, takim jak Raszka, powodziło się początkowo nieźle. W szkole dyrektorem został Austriak, który narciarstwo traktował jako swoje hobby. Toteż swym podopiecznym stworzył godziwe warunki do uprawiania tej dyscypliny. 11-letni syn Raszków swoimi wyczynami na śniegu szybko zyskał sympatię dyrektora, więc ten przysmykał oczy, gdy działo się to kosztem absencji na innych lekcjach. Bo wiedział, że wtedy Janek trenuje mając „ski” na nogach.

Raszka szybko czynił postępy co dało mu kwalifikacje do startu w Mistrzostwach Rzeszy juniorów w słynnym do dziś ośrodku narciarskim Garmisch-Partenkirchen, gdzie zajął wysokie 6 miejsce w konkursie skoków. A ponieważ również tam rozgrywano mistrzostwa seniorów, wiślak zetknął się z takimi sławami narciarstwa jak Bradl czy Lantschner – medalistami Igrzysk Olimpijskich i mistrzostw świata.

– W Ga-Pa podszedł do mnie słynny Josef Bradl, mistrz świata z FIS 1939 roku w Zakopanem – wspominał Raszka po latach. – I powiedział mi słowa, które utkwiły w pamięci, stając się swoistym kierunkowskazem: „Ładnie skaczesz, jeśli będziesz robił postępy, to daleko zajdziesz”.

Najbliższa przyszłość nie była jednak optymistyczna. Niemcy czując front za plecami stawali się coraz gorsi w stosunku do mieszkańców Wisły. Coraz bardziej nękała ich polska partyzantka, toteż zmogły się represje. W marcu 1945 r. siedemnastu chłopaków – w tym i naszego bohatera – wcielono do niemieckiej armii, do oddziału Strzelców Alpejskich. Przechodzili szkolenie w Beskidach, ale gdy front zbliżał się do Skoczowa i Szczyrku, hitlerowcy w popłochu opuścili Wisłę, a wraz z nimi i oddział Raszki. Już na terenie Czech grupa wiślaków wykorzystała dogodny moment i uciekła. Po dziesięciu dniach, a raczej nocach (bo wędrowano przez góry pod osłoną ciemności) niedoszli Strzelcy Alpejscy wrócili do swoich, głodni, zmęczeni i pełni strachu. Radość nie trwała jednak zbyt długo. Wkrótce Jan Raszka – dezertor z niemieckiej armii został wezwany do Urzędu Miejskiego, gdzie zarządzili już oficerowie radzieccy.

„Jesteś Germańcem i burżujem, twój dziadek był piłsudczykiem i kułakiem. Możesz sobie uprawiać narciarstwo, ale na Sybirze. Tam jest dość śniegu” – usłyszał od oficera NKWD. Jako „Niemiec” przewieziony został do Bielska, potem do Raciborza, skąd transportem kolejowym odbył podróż za Ural, na „największy obóz treningowy w moim życiu – do Swierdłowska (dziś: Jekaterynburg)” – jak z sarkazmem wspominał. – Pracowaliśmy w lesie, budowaliśmy ziemianki w których mieliśmy mieszkać w zimie. Nie wiadomo jak potoczyłyby się dalsze moje losy, gdyby nie niespodziewany przyjazd do Swierdłowska przedsta-

wicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ich interwencja pomogła mi i podobnym mnie wrócić po pół roku do Polski. W grudniu 1945 r., dowieziono nas do Przemyśla, a stamtąd piechotą, czasami tylko korzystając z życzliwości furmanów, przez dwa tygodnie, wędrowałem do domu.

Od „niemieckiej” przeszłości uciec jednak nie było łatwo. Wypominano ją Raszce często, a pamiętano o niej szczególnie wtedy, gdy zanosilo się, że pojedzie na zawody na Zachód Europy. Był „niepewny politycznie” i, jak sam swoją sytuację określił, został „więźniem swojej chałupy”. Jednak w 1947 r. po wygranej na skoczni w Mistrzostwach Czech i Moraw oraz dobrym występie w krajowych mistrzostwach – w kombinacji norweskiej, został zakwalifikowany do grupy przygotowującej się z myślą o występie w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w szwajcarskim kurorcie Saint Moritz – marzenia zaczęły nabierać realnych kształtów.

W roku olimpijskim Raszka składa osiągnięcie olimpijską. Jednak im bliżej wyjazdu do Szwajcarii, tym większe wątpliwości rodzą się w głowach działaczy ustalających skład na igrzyska: czy wysłać starych, zasłużonych narciarzy, którym wojna przeszkodziła w olimpijskim występie, czy lepiej młodych, obiecujących, którzy będą mogli ewentualnie pojechać jeszcze na kolejne igrzyska za cztery lata? Postawiono na tych pierwszych i 19-latek z Wisły musiał obejść się smakiem. Na domiar złego, na krótko przed spodziewanym wyjazdem do Saint Moritz, Raszka złamał nogę na Krokwi i tym samym... ułatwił decyzję decydującemu. Na pocieszenie tamtej zimy pozostała mu satysfakcja, że wybrano go najlepszym w Polsce sportowcem wiejskim. Wraz z zaszczytnym tytułem otrzymał nagrodę w postaci 100 tysięcy złotych, za które urządził sobie łazienkę, co wtedy było rzadkością w góralskich chałupach. Rok ten zapisał się w życiu Jana jeszcze jednym wydarzeniem. Otóż, wspomniany już nauczyciel Drozd namówił go, by śpiewał w wiślańskim zespole regionalnym. I właśnie Raszce przypadła rola solisty, gdy zespół wystąpił w Warszawie 15 grudnia, dla uświetnienia... „ożenku” PPS i PPR.

Mijają kolejne lata i w 1951 r. wiślak znów jest członkiem kadry olimpijskiej i wszystko wskazuje na to, że tym razem pojedzie na olimpiadę – za rok, do Oslo. W tym czasie był już zawodnikiem CWKS Legia Warszawa. Powołanie do wojska otrzymał do stolicy, ale z braku gór, trenował w Zakopanem bądź w rodzinnej Wiśle.

– Czulem, że jestem w wielkiej formie – wspominał po latach. – Wygrywałem prawie wszystkie zawody kwalifikacyjne w kombinacji norweskiej. W konsekwencji otrzymałem upragniony olimpijski uniform i byłem gotowy do odlotu do Norwegii. Wraz w kolegam – Wawrytką i Kulą przez tydzień siedzieliśmy w warszawskim hotelu „Polonia” oczekując wyjazdu i... skończyło się na czekaniu. Nie dane mi by-

ło zobaczyć słynną skocznnię Holmenkollen. Dlaczego? Nigdy mi tego jasno nie wytłumaczono, a gdy próbowałem dochodzić prawdy, słyszałem: „bo jesteś wojskowym”.

Po tej „przygodzie” skłonny był zaakceptować uprawianie sportu. Tylko naciski ze strony oficerów w Ministerstwie Obrony Narodowej sprawiły, że nie rzucił „desek” w ką. A zamiast na olimpiadzie, wystąpił w Akademickich Mistrzostwach Polski sięgając po I miejsce. Wygrał także kombinację w Mistrzostwach Polski, jako pierwszy w historii narciarz z Beskidów, przełamując hegemonię przedstawicieli Tatr.

– W 1953 r. powiało chyba innymi wiadomościami, bo udało mi się wreszcie pojechać na zawody na Zachód, a w 1956 r. z niedowierzaniem przyjąłem nominację na igrzyska w Cortinie d’Ampezzo. Do trzech razy sztuka! To powiedzonko w moim przypadku sprawdziło się. Razem z Kowalskim, Groniem i Karpiem wyjechaliśmy reprezentować Polskę na VII ZIO w kombinacji norweskiej. Zostałem pierwszym w dziejach Wisły olimpijczykiem i bardzo mnie to cieszyło. Niestety, szczyt formy miałem już za sobą, w Cortinie byłem już mocno wypalony psychicznie i zakończyłem start na 32 miejscu. Ale byłem dumny, że mój przyjaciel Franciszek Groń-Gąsienica zdobył pierwszy dla Polski medal olimpijski w historii narciarstwa. A mnie pozostało wierzyć w to, co powiedział kiedyś wskrzesiciel nowożytnych igrzysk olimpijskich, baron de Coubertin, że „najważniejszy” jest udział”.

W swej bogatej karierze sportowej J. Raszka 20 razy startował w mistrzostwach kraju – w skokach, biegach i kombinacji, i nigdy nie skończył rywalizacji poza „szóstką”. Trzy razy był mistrzem kraju, a w swoim ostatnim starcie w MP, mając 36 lat (!), na dystansie 50 km zajął szóste miejsce.

* * *

Pogrzeb Jana Raszki odbył się w kościele ewangelickim w Wiśle i zgromadził wielu jego przyjaciół i „kibiców”. Bo w jego życiu ciągle było gwarno – choć zakończył sportową karierę nadal ze sportem był za „pan brat”. Choć prowadził gospodarstwo rolne, nadal udzielał się jako trener i działacz – nie było imprezy sportowej w Wiśle bez jego uczestnictwa (to on poznał mnie kiedyś z Adamem Małyszem, gdy przyszły „orzeł z Wisły” dopiero rozpoczynał swoją karierę). Choć już nie młody, Jano ciągle żył sportem – jeździł po górach na rowerze, w zimie na ukochanych „deskach”, a także, choć nie był wysoki, dobrze grał w siatkówkę, jeszcze lepiej w tenisa... Ale przede wszystkim Jano znany był ze swej szczerości, autentyczności – mówił co myślał, a że duszę miał radosną – mimo wielu życiowych przeciwności, jego barwna postać przetrwała i trwa w naszych wspomnieniach. Wspomnieniach ludzi, którzy mieli okazję z nim się szczerze pośmiać... A o takich teraz coraz trudniej.



„Silesius” według eurodeputowanego
Marka Plury

Lustro nasze europejskie

WIESŁAW KOSTERSKI

„Silesius” miał mieć swój wernisaż 3 grudnia ubiegłego roku. Na europejskich salonach, w gmachu Parlamentu Europejskiego. Zadebiutował miesiąc później, 7 stycznia tego roku. Na śląskich salonach, w Muzeum Miasta Mysłowice. To obraz Śląska i Ślązaków adresowany do Europejczyków.

Pomysłodawca wystawy, Marek Plura, eurodeputowany, Ślązak uznający Śląsk za swoją piątą stronę świata, od miesiąca nosił się z zamiarem pokazania w Brukseli, jak wielu wybitnych lu-

dzi wydał światu ten nasz niewielki kawałek ziemi. Kiedy ekspozycja była już gotowa, plany pokrzyżowały zamachy terrorystyczne w Paryżu.

Zaraz po nich, dla zapewnienia bezpieczeństwa, wprowadzono na terenie Francji, ale również w Brukseli, stan wyjątkowy. Praca europarlamentu niemal zamarła, tylko posłom i pracownikom PE zezwolono na wejście do budynków parlamentarnych. Belgijski rząd zakazał zgromadzeń publicznych, wstrzymany został ruch turystyczny. Można by rzec,

że pośrednio zamachowcy wystrzeli w stronę wystawy.

Na tyle skutecznie, że ekspozycję skierowaną do gości Parlamentu Europejskiego, bo to oni, Europejczycy, mieli zobaczyć Śląsk, przypomnieć go sobie, zainteresować się jego sprawami, przeniesiono do kraju. Prosto z Brukseli pod dach gościnnego muzeum w Mysłowicach.

– Bardzo dziękuję Mysłowicom, że zgodziły się pokazać wystawę – powie M. Plura podczas otwarcia „Silesiusa”.



Foto: Marcin Gierlach

Pierwsza refleksja: oglądamy obraz wielkiego Śląska, europejskiego regionu, bogatego w osiągnięcia, przestrzeń wytyczoną strzelistymi szczytami wież katedry na Ostrowiu Tumskim we Wrocławiu i charakterystyczną architekturą kamieniczek Nikiszowca. Znanie, bliskie pejzaże. Śląskie, polskie i europejskie razem.

– Każdy znajdzie na tej wystawie coś dla siebie – mówi M. Plura. – Ślązacy tworzyli pierwowzór Unii Europejskiej, tworzyli wspólnotę. Mamy prawo korzystać z tego, co zostawili po sobie na naszej ziemi, w naszych sercach, w naszym stylu życia, w naszej śląskiej mentalności.

„Silesius” jest zindywidualizowanym spojrzeniem na śląskie dziedzictwo, rodzajem syntezy, próbą pokazania, jak znaczący i ważny jest nasz region dla Polski i Europy i jak wielu znakomitych ludzi wyrosło na tym skrawku ziemi. Autorzy wystawy nie mieli łatwego zadania. Głównie z powodu nadmiaru bogactwa.

Jak bowiem wybrać najwybitniejsze postaci z grona świetnych Ślązaków, skoro tylko same ich noty biograficzne zajmują 5 tomów publikacji „Ślązacy od czasów najdawniejszych do współczesności” prof. Joanny Rostropowicz? Jakie przyjąć kryteria, miary, wagi, oceny? Każdy wybór, niezależnie czego dotyczy, ze wszystkimi *za i przeciw*, naznaczony jest skazą subiektywizmu. I „Silesius” nie jest od tego wolny.

Padło więc, co wydaje się dość oczywiste, na śląskich noblistów, arystokra-

cję ziemi, ducha, pracy, świętych śląskich, polityków i sportowców. Sylwetki z różnych dziedzin życia, perły i sól śląskiej ziemi. To galeria wybitnych nazwisk spięta zwięzłą oprawą opisową w języku polskim, angielskim, francuskim i niemieckim.

Nie sposób wymienić wszystkich wielkich. Wśród noblistów jest m.in. pochodzący z Żor Otto Stern, badacz zajmujący się fizyką atomową, urodzony w Chorzowie Kurt Alder, twórca podwalin nowoczesnej chemii organicznej, Reinhard Selten z Wrocławia, autor „dogłębnej analizy teorii gier niezespolowanych”. Tłem do ich portretów są wrocławskie fotogramy z Ratuszem i Ostro-

bów, Ludwika Guttmana, lekarza, inicjatora Igrzysk Paraolimpijskich, Gregora Mendla, odkrywcy dziedziczności.

Arystokrację ziemi reprezentuje m.in. Hans Heinrich XV von Hochberg, książę pszczyński i Franciszek von Winckler, przemysłowiec, współzałożyciel Katowic. Wśród arystokracji ducha jest rzeźbiarz August Kiss z Paprocan, Franz Eckert z Nowej Rudy, twórca hymnu państwowego Japonii i Korei oraz pochodzący ze Lwowa, Ślązak z wyboru, kompozytor Wojciech Kilar.

Skoro arystokracja pracy, to nie mogło zabraknąć przemysłowca Friedricha von Redena, Johna Baidona, twórcy nowo-

„Silesius” jest zindywidualizowanym spojrzeniem na śląskie dziedzictwo, rodzajem syntezy, próbą pokazania, jak znaczący i ważny jest nasz region dla Polski i Europy i jak wielu znakomitych ludzi wyrosło na tym skrawku ziemi.

wem Tumskim, wybrane zapewne dlatego, że spośród kilkunastu laureatów nagrody Nobla pochodzących ze Śląska, kilku związanych było z Uniwersytetem Wrocławskim.

Mamy następnie uczonych m.in. Teodora Kałużę z Opola, matematyka, który współpracował w Albertem Einsteinem, Jana Dzierżonę z Łowkowic, odkrywcy dzieworódtwa wśród pszczoł, Oskara Troplowitza z Gliwic, farmaceuty, wynalazcę kremu Nivea i pasty do zę-

czesnego hutnictwa i Karola Godula, „króla cynku”.

Spośród śląskich świętych wybrano Jadwigę Śląską, żonę Henryka Brodatego, Matkę Ewę z Miechowic, diakonię protestancką z rodu Tiele-Wincklerów oraz Jacka Odrowąża, dominikanina z Kamienia Śląskiego.

Polityków jest raptem dwóch: Wojciech Korfanty z Siemianowic i Jerzy Buzek z Zaolzia, premier rządu RP, przewodniczący Parlamentu Europejskiego



(2009-2012). Oszczędny, jednoznacznie wymowny wybór.

Świat sportu reprezentują, bo jakże inaczej, mistrzowie świata i Europy, medaliści olimpijscy: Jerzy Chromik, wybitny biegacz z Mysłowic, Jerzy Kukuczka, himalaista, zdobywca Korony Himalajów, Adam Małysz, skoczek narciarski z Wisły oraz piłkarz Ernest Wilimowski z Katowic.

– To wystawa wspaniałych ludzi, którzy tworzyli historię Śląska, pokazuje osiągnięcia naszego regionu – ocenia Edward Lasok, prezydent Mysłowic.

Oryginalny w warstwie przekazu charakter wystawy podkreślają dodatkowo, ożywiając galerię portretów, rozwiązania plastyczne Witolda Winiarskiego, łączące technikę elektroniczną, światło i właściwości materiałów. Z tak pomyślaną formą prezentacji współgrają foto-

gramy Arkadiusza Goli oraz obrazy i rzeźby w węglu z kolekcji Stanisława Trefonia z Rudy Śląskiej.

– Śląsk to mini Europa, chcę więc pokazać mini Europę wielkiej Europie – dodaje M. Plura. – Dzięki tej wystawie Europa przypomni sobie o dorobku Śląska. Wychodząc poza obszar dyskusji na temat tożsamości Ślązaków zrozumiałem, że nie musimy się o nic sprzeczać, stawiać granic, że Europa jest wspólnotą otwartą na unikalne kultury, również takie poprzepłatane wieloma elementami, jak ta nasza śląska, zmieniające się, ale jednak zachowujące pewną wspólną tożsamość.

Do Brukseli „Silesius” pojedzie pod koniec czerwca, bogatszy o spostrzeżenia mieszkańców Śląska, którzy zetkną się z wystawą m.in. w Siemianowicach i Chorzowie. Potem będzie ciąg dalszy.

Korzystając z zasady, że każdy eurodeputowany może w ciągu swojej 5-letniej kadencji zorganizować dwie wystawy, M. Plura myśli już o kolejnej ekspozycji. Chciałby ją zrealizować za kilka lat.

Tematem będzie oczywiście Śląsk, tym razem pokazany jako region turystyczny z unikalnym klimatem, miejsce zasobne w zabytki techniki i nowoczesne rozwiązania, które te zabytki napędzają nowym, ciekawym życiem.

Dlaczego chce to robić? Bo, jak mówi, Śląsk jest wciąż postrzegany w sposób stereotypowy, zwłaszcza przez Europejczyków, którzy, o ile dostrzegają nasz region, to raczej jako nagromadzenie problemów ekologicznych niż miejsce warte zainteresowania. I to można zmienić.

Od Redakcji:

Wystawa „Silesiu” przygotowana przez eurodeputowanego Marka Plurę, zaprezentowana w Mysłowicach, a następnie w kilku miastach Śląska, chociaż jej premiera miała odbyć się na salach Parlamentu Europejskiego, prowokuje spreczne opinie i budzi wiele kontrowersji wśród osób ją odwiedzających. Czy nie nadto jest eksponowana niemiecka przeszłość Śląska przy jednostkowych zaledwie postaciach, skromnie reprezentujących jego współczesny obraz i dorobek – chociażby w sferze kultury i sportu. Czy obraz Śląska wykreowany przez Marka Plurę jest obrazem właściwym, prawdziwym czy zafalszowanym? Czekamy na opinie i sygnały od naszych Czytelników.





Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Miejskie sieroty po realnym socjalizmie? (II)

Churchill o żelaznej kurtynie

Niemal dokładnie siedemdziesiąt lat temu – 5 marca 1946 roku – podczas konferencji w Futon, (Missouri, USA), Winston Churchill powiedział: *Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem zapadła żelazna kurtyna dzieląc nasz Kontynent. Poza tą linią pozostały stolice tego, co dawniej było Europą Środkową i Wschodnią. Warszawa, Berlin, Praga, Wiedeń, Budapeszt, Belgrad, Bukareszt i Sofia, wszystkie te miasta i wszyscy ich mieszkańcy leżą w czymś, co trzeba nazwać strefą sowiecką, są one wszystkie poddane, w takiej czy innej formie, wpływowi sowieckiemu, ale także – w wysokiej i rosnącej mierze – kontroli ze strony Moskwy.* Kontrola ta, w sposób oczywisty, przewidywała wpływy polityczne, ekonomiczne, militarne, czy kulturowe, a przede wszystkim przemiany ustrojowe. Ich analizom poświęcono setki tysięcy stron, wszakże wszystkie rzutowały na kształt świata otaczającego i sposób bytowania ludności.

Rugi symboliczne

Dawne miasta kapitalistyczne – *od Szczecina po Triest* – zaczęły funkcjonować według nowych zasad. Nie tylko na płaszczyźnie politycznej. Również na poziomie symbolicznym. I tak zmianie uległy przedwojenne nazwy ulic, placów, mostów... Z przestrzeni wycofano fragmenty małej architektury – pomniki, rzeźby, monumenty

kojarzone z okresem II Rzeczypospolitej, zastępując innymi – *szusznymi figurami* – statuami przywódców, sylwetkami żołnierzy itp. Na ziemiach zachodnich rugowano elementy świadczące o niemieckiej przeszłości, na wschodnich podkreślano łączność z wpływami *Matki Rosji*. Obok rekonstrukcji ideologicznej sfery urbanistyczno-przestrzennej istniejących ośrodków miejskich, wdrożono plan budowy nowych obszarów docelowo określanych mianem miast socjalistycznych. Nie tylko w Polsce oczywiście, bo choć najbardziej znane czytelnikowi są przykłady podkrakowskiej Nowej Huty i śląskich Tychów, pamiętać trzeba, że podobne zespoły powstawały również w Węgrzech, w Rumunii czy Czechosłowacji i NRD. Bliższa ich analiza stanowi znakomity przyczynek do studiów nad totalitarnym charakterem miejskości tamtego okresu.

Miejskie ideologie i socjalistyczni pantokratorzy

Socjologom studia nad miastami w okresie 1945-1989 ułatwia znajomość szczególnej ideologii i doktryny urbanistyczno-architektonicznej, opatrzonej etykietą *socjalistyczną*, a będącą w istocie modyfikacją modernistycznej wizji miasta kapitalistycznego. Dokumentuje ją najpełniej tzw. Karta Ateńska, a zwłaszcza zaś prace wybitnego jej kodyfikatora Le Corbusiera oraz niektóre manifesty Bauhausu czy grupy De Stijl. Karta Ateńska przygotowana została podczas obrad IV Międzynarodowego Kongresu Architektury Nowocześniejszej w roku 1933. Jednocześnie zakwestionowano w niej logikę tworzenia miasta kapitalistycznego pojmowanego jako siedlisko wszelkich niedogodności epoki przemysłowej. Trzeba podkreślić logikę, a nie samo istnienie kapitalizmu. Zakładając *rewolucję miejską* proponowano w istocie rewolucję społeczną, a kluczowe w niej funkcje przypisano *nowym mędrcom* – urbanistom, architektom, planistom. Co więcej to właśnie w tym dokumencie wyeksponowano trojaki funkcje miasta, które gwarantować miało możliwie najlepsze warunki dla zamieszkania (I), wypoczynku i rekreacji (II) oraz zatrudnienia (III). Powodzenie realizacji zależeć miało między innymi od separacji miejskiej strefy przemysłowej od pozostałych dzielnic miasta, szczególnie osiedli mieszkaniowych, pozostających z nią jednak w doskonałym skomunikowaniu.

Reżimy normatywów

Ujednolicenie na poziomie architektonicznym czy unifikacja na płaszczyźnie urbanistycznej, typowe dla manifestów modernistycznych zarówno w Tychach jak i innych, nowych ośrodkach socjalistycznych, przyjęło formę radykalną. Określono nie tylko normaty-

wy mieszkaniowe, powierzchniowe, ludnościowe, ale i parametry modułu, z którego powstawały kolejne kwartały miasta. Arbitralnie przyjęto, że Tychy winny mieć zrazu 100, a później 130 tysięcy mieszkańców, zajmować 800, a później 600 ha przy gęstości zaludnienia 445 osób na 1 ha. W bloku pokój z kuchnią powinien mieć 28 do 39 m², mieszkanie trzy-pokojowe – od 51 do 58 m². Przyjęto również, i grubość prefabrykowanych ścian (20 cm). Z drugiej strony w czasie budowy tzw. kominowca (nigdy zresztą nie zrealizowanego), żuraw wykonać miał 8 ruchów na 100 m³ kubatury, a koszt 1m² mieszkania nie powinien przekroczyć 1 900 ówczesnych złotych złotych. Oczywiście jest, że dziesiątki, setki tych biurokratycznych normatywów były łamane lub omijane.

Naruszone więzi i identyfikacje

Niedoskonałości przestrzeni urbanistyczno-społecznej nie mogły doprowadzić do wytworzenia rzeczywistej więzi społecznej pomiędzy mieszkańcami i miastem. Warto powołać się tu na badania prowadzone na przełomie lat 80. i 90., z których wynikało jednoznacznie, że stopień identyfikacji tyszan z zamieszkiwanym przez nich obszarem miejskim był niski, a nawet bardzo niski. Zaledwie dwóch na stu stwierdziło, że Tychy to mała ojczyzna prywatna czy źródło tożsamości. Aż jedna czwarta mieszkańców deklarowała chęć opuszczenia miasta jeśli tylko pojawiłaby się taka możliwość. Inni podkreślali, że czas zamieszkiwania w Tychach to dla nich jedynie epizod, a samo miasto to miejsce tymczasowe, symbol nieustabilizowania. Te niezbyt optymistyczne konkluzje mogły budzić uzasadnione obawy o przyszłość Tychów. Nie było bowiem wykluczone, że nastąpi jeszcze większa dezintegracja społeczna oraz pogłębienie i tak już znacznie izolacji bloków urbanistycznych i zamieszkujących w nich ludzi.

Miejskie przebudzenie

Jak pisaliśmy już w pierwszej części felietonu, Tychy wybudziły się z koszmarnego snu początku transformacji. Oto nie są już traktowane jako socjalistyczne miasto sypialnia, a raczej jako obszar dobry do mieszkania, pracy i spędzania czasu wolnego. Uwagi o tym jak ośrodek o zadziwiającym palnie, pozbawiony centrum, skonstruowany z nie zapewniających podstawowych potrzeb osiedli, przekształcił się w prężny obszar miejski stanowiąc będzie kanwę dalszej opowieści o mieście (już nie) socjalistycznym.

Felieton został napisany z dr Barbarą Lewicką z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego

POTYKAJĄC SIĘ O STOPNIE

w szopienickiej piwnicy w połowie drogi
z katolickiego kościoła świętej Jadwigi
do Zbawiciela ewangelików
potykając się o wysokie stopnie
weszłam w posiadanie książki za złotówkę

gdyby nie Walenty Roździeński
szlachcic siewierski co opodał kuł żelazo
(dopóki go sąd z Katarzyną Salamonową z włości nie wyrzucił)
i gdyby nie jego poemat *officina ferraria*
nie byłoby antykwariusza w szopienickiej piwnicy

tak sobie myślę że nie byłoby literatury
w połowie drogi między katolikami a ewangelikami
gdyby nie Salamonowa która sąd przekonała w 1596
i gdyby nie Walenty który dopiero po wygnaniu z kuźni
napisał pierwszy poemat śląski

potykając się zrozumiałam że nie byłoby
książek piwnicy i stopni tak blisko
gdyby nie spór Salamonowej z Roździeńskim:
dziedziczki dóbr myśłowickich
z nie dość mściwym lutrem

byłaby *ferraria* albo tylko *huta*?

Wiersz nagrodzony podczas Festiwalu Literatury Niezależnej w Krakowie (2012) oraz opublikowany w kwartalniku literacko-artystycznym „Metafora” w Krakowie (2013) i w piśmie Uniwersytetu Pedagogicznego „Konspekt” w Krakowie (2012).

DIASPORA

dieu, d'yeux – panie jabés.
minerał, z którego ciosają
drobne bożki żrenic. skrzek i piwonie
na tamtych ustach otwartych na deszcz.

więc chłopcy z włóczniami
nad lustrem wody.
igrające planety i żuki na nagiej ścieżce
– wobec nicości.

chityna odbija krajobraz.
hiacynt żegna kochanków.

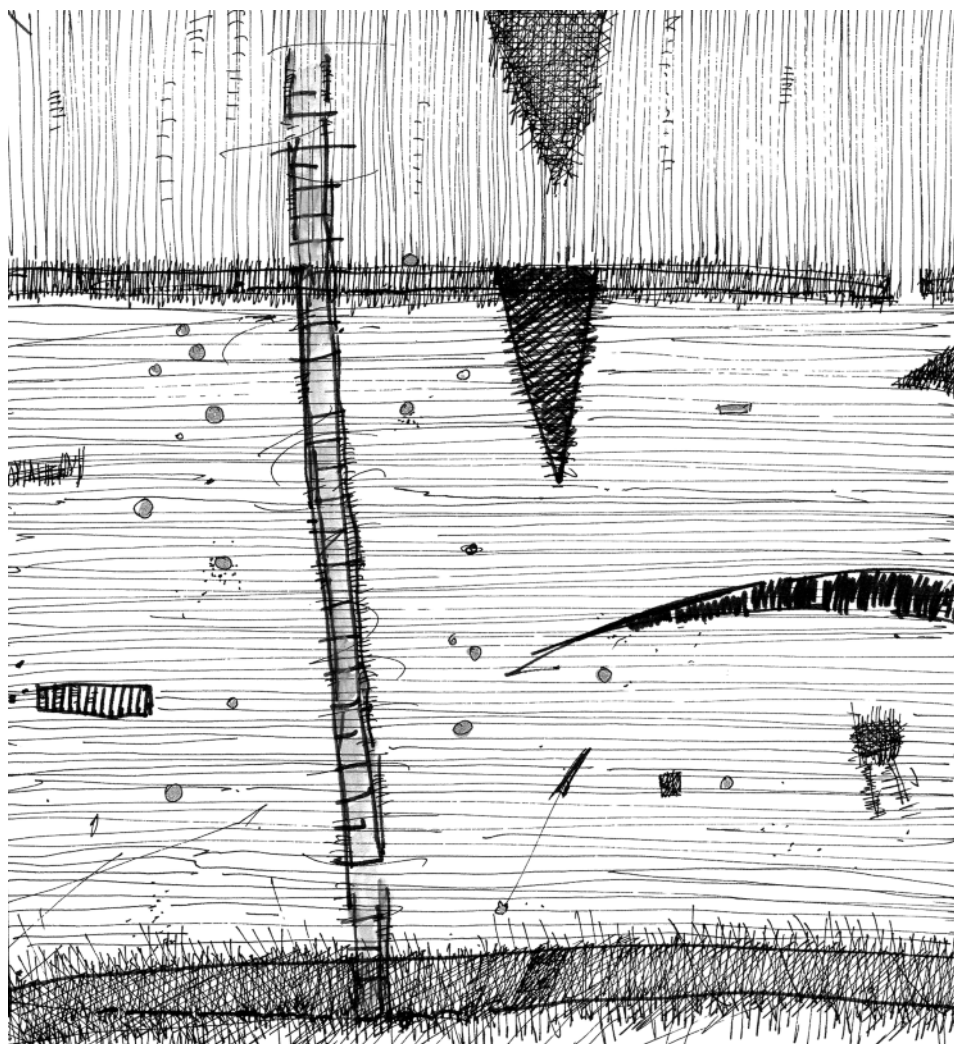
*w żrenicach zwierząt przebitych światłem
toczy się kamyk pory, uchodzi
zagrodom nocy diakon
obuty w sporysz.*

WEJŚCIE OD FRONTU

Eugeniuszowi Dyckiemu

Wejście od frontu
w gniazdo os w twarze z lodu
borok i nieswoja święta
kamień niemowa
wciąż pyta o nas
dom cały w bandażach
sączy przez komórki
w jajo węża w tłuste cienie

Spotkamy się w pierogarni
lub w antykwariacie przy Samotnej
bliżej cieplejszej ściany
będziemy snuć nasze osobne
opowieści o prawdziwym człowieku
bracie



Rys. Adam Dutkiewicz

Ostatnia podróż wielkiej ryby

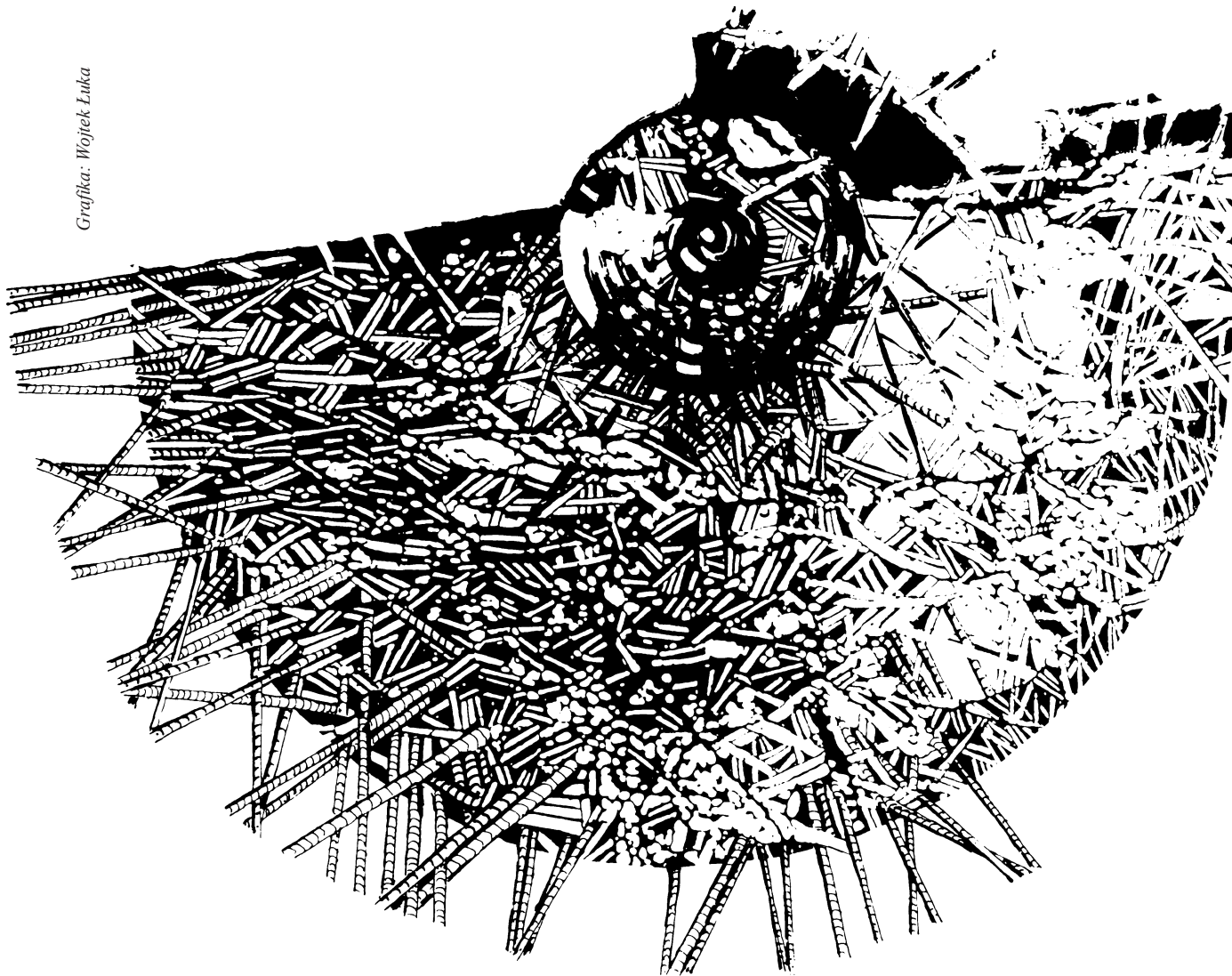
Otworzył okno. Było cicho. Twarz ogarnął mu chłód powietrza i dotyk kropli wody. Do pokoju wpłynęła wielka ryba. Powoli i majestatycznie. Szaro-srebrne cielsko ciągnęło za sobą wodorosty i szlam, z nimi całe rybie życie. Mięсистymi ustami wypuszczała pęcherzyki powietrza, które spadały wolno na podłogę. I ona też opadła powoli. Obserwował ruch jej zmęczonych skrzel, jej idealnie okrągłe oko, które odbijało zwodnicze piękno podwodnych światów. Każde oka mrugnięcie (tak, jej oczy miały powieki) zmieniało ten obraz, każde było tylko jego częścią, sekwencją, innym fragmentem, innym czasem, inną przestrzenią; zamykało w sobie ciepło wód raf koralowych i zimno ciężkich oceanów, lekkość morskiej piany, granatową czern głębiny i wpadający do mórz błękit nieba. Potem oko wielkiej ryby zamknęło wszystkie te światy. Zrobiło się jeszcze bardziej cicho i zatrważająco sennie. I wszystko spowolniało na zawsze.

Cztery żywioły

Przemierzał ogromną, zarośniętą bujnie łąkę tonącą w wysokiej trawie. Ostre żdźbła, poruszane silnym wiatrem, ich nagłym sprzymierzeńcem, raniły mu twarz, cięły zapamiętałe, znaczyły twarz cienkimi kreskami krwawych śladów; odganiał trawę gwałtownymi ruchami, lecz jej tnące ostrza wracały z jeszcze większą zawziętością i siłą. Pocieszeniem było niebo, na które spoglądał co jakiś czas: nieruchomo błękitne, wprawdzie obojętne jego zmaganiom, ale cieplące oczy pełnią koloru i bliskością słońca; śladem lotu ptaka i utajoną obecnością obłoków. Kilka z nich przyczaiło się daleko na północy, raptem nieoczekiwanie pociemniały i dotychczas delikatne rozrosły się, za chwilę zburzyły stałość błękitu, zawładnęły nim i zbite w gromadę ruszyły skłębione bulwiastą szarością, ciemnym, nieprzyjaznym kolorem. Zniżyły pułap i smagnęły pierwszymi kroplami deszczu; za chwilę ich kaskadą. Zmyły mu z twarzy kreski krwi, zastąpiły pot i łzy. Chciał położyć się na ziemi, wśród przycupniętej już trawy, spokorniałej i śliskiej, lecz ziemia stawiała się błotnistą masą, lepką i mało przyjazną. Poczul jej utajone życie, kłęczą roślin, szybko nogi owady i chowające się w niej czerwia. Stał nieporuszony i czekał na czwarty żywioł. Wkrótce z szarej masy wiszącego nad światem nieba wyrwał się zygzakowaty promień i zanim usłyszał towarzyszący mu odgłos: groźny pomruk przechodzący w łoskot wyzwolonej energii, poczul ostre szarpnięcie i płomienny dotyk, który wysuszył wodę na jego ciele, rzucił na nieprzyjazną ziemię i stopił mu serce.

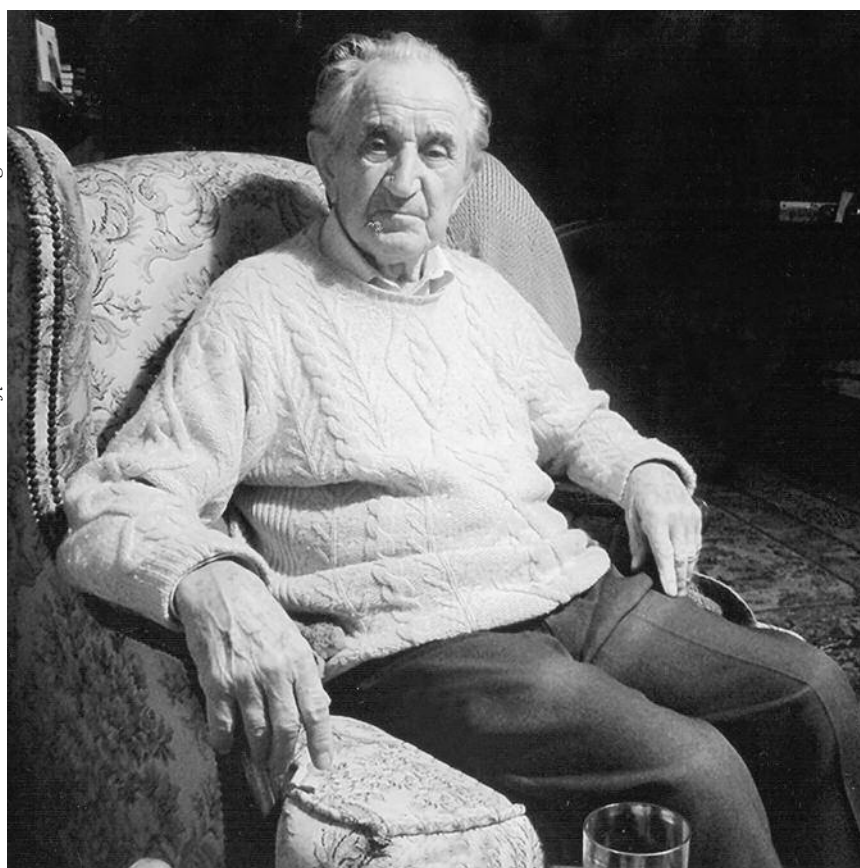
Niespodzianie

Przechodził przez ulicę, kiedy usłyszał ten dźwięk – niepodobny do żadnego ze znanych mu; dziwny, przesywający na wskroś, bolesny i jedyny w swoim rodzaju. Wbił mu się w głowę, utkwiał gdzieś w mózgu, rozlał się ciepłem, osunął nieco niżej, oblepił płuca i żołądek, ścisnął aorty, żyły, nerwy; rozmiękczył nogi, ugiął kolana i wreszcie powalił go na ziemię. Leżał nieruchomo na wznak wypełniony dźwiękiem jasnym i czystym, porażony jego siłą i boleśnie patetycznym pięknem. Ten dźwięk, tkwiący w nim, wypełniający go bez reszty, nie mieścił się w żadnej znanej skali; był poza nią, obok, jawnie ignorujący interwały i frazy, z nonszalancją omijający częstotliwości, fale, zakresy – to wszystko, co pozwala go zazwyczaj określić, ocenić i zmierzyć. Leżał nieruchomo na wznak i wypełniony dźwiękiem, którego nie znał, którego nikt nie znał; patrzył na odległe gwiazdy drgające na poczerwiałym nagle niebie. I wtedy zrozumiał, że słyszy to, co widzi i widzi to, co słyszy. Ziemia mknęła na spotkanie czarnego nieba, czarne niebo spadało na niego i odgłos tego spadania wypełnił świat po brzegi. Słyszał i czuł ziemię jak nigdy przedtem. Zamknął oczy i trwożliwie czekał. Wreszcie dźwięk osłabł i powoli zaczął ze niego wypełzać. Zatrzymane niebo zaczęło szarzeć. Zatrzymana ziemia oddychała z ulgą.



Siedział przy otwartym oknie i próbował przeniknąć ciemnogrnatowy kolor nieba. Wpatrywał się w lekko drgające, jasne punkty dalekich światów. Mrugał do nich ciesząc się z odpowiedzi. Wydawało mu się, że słyszy odległe, rytmiczne pulsowanie; wtapiał się w ciepło letniego wieczoru, chłonał jego utajone życie, zmęczone dniem kolory, sennie już odgłosy i delikatne znaki zapytania. Nagle wszystkie gwiazdy zgasły i zrobiło się ciemno, ściany pokoju oddaliły od siebie – przestraszył się, skulił w sobie, otworzył szeroko oczy, które zapłonęły światłem tych wszystkich nagle zgasłych gwiazd i oświetliły niczym dwa reflektory ogromną przestrzeń rozpościerającą się przed nim. I wtedy zobaczył powietrze – jego drobiny, molekuły, pierwiastki i mikroelementy, strukturę i ruch. Zobaczył ruch szalony, wirujący, gonitwę wszystkich tych cząstek, ich porywający taniec, ich gorączkę. Zobaczył jeden z elementów życia, zobaczył wielki triumf mikrokosmosu. Przestraszony, przestał oddychać. Patrzył jak urzeczone, bowiem wiedział, że nie dane mu będzie doświadczać tego widoku zbyt długo. I nie mylił się. Gdy tylko zachłysnął się powietrzem, jego obraz znikł. Siedział nadal w swoim pokoju – ściany wróciły na swoje miejsce; wróciło okno razem z błyszczącymi gwiazdami, do których znowu mrugał porozumiewawczo. Mnożyły się znaki zapytania i wszystko lekko pulsowało. Odechnął świeżym powietrzem.

Nocą



Piotr Guzy

Literackie światy Piotra Guzgo

MARCELINA JANISZ

W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzgo: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy*. Autor w wieku 93 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznawiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość. Warto w tym kontekście przypomnieć jego twórczość prozatorską, która nie doczekała się szerszych i całościowych badań oraz opracowań.

Proza Guzgo dojrzała i przekształcała się wraz z rzeczywistością, stawała się wielowymiarowa i nieprzeciętna. Problematyka utworów pisarza wyrasta częściowo z jego biografii – doświadczeń wojennych i życia w Polsce w okresie stalinowskim. Jednak to perspektywa emigranta stała się przełomowa w pisarstwie Guzgo, owocując niezależnością sądów i pogłębieniem warstwy refleksyjnej. Pisarz stawia gorzkie diagnozy człowieka i zniewolonej ideologicznie ojczyzny.

Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 roku w miejscowości Zawadzkie na Śląsku Opolskim. Jego ojciec Juliusz Guzy pracował jako urzędnik pocztowy. Przyszły pisarz uczył się w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Księcia Jana Opolskiego oraz w Liceum Pedagogicznym w Tarnowskich Górach. Podczas II wojny światowej przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do wojska polskiego, formowanego przez gen. Władysława Sikorskiego. Po kapitulacji Francji latem 1940 roku znalazł się w Anglii, gdzie dołączył do tworzonej tam polskiej Brygady Pancernej gen. Stanisława Maczka. Służył w Pułku Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej, stacjonującej w Szkocji. W 1944 roku został poważnie ranny w walkach pod Bredą w Holandii. Po rekonwalescencji w angielskim szpitalu postanowił studiować ekonomię oraz nauki polityczne i w 1946 rozpoczął naukę na Uniwersytecie Londyńskim. W Anglii ożenił się z Ishbel Frances Reynolds. W 1949 roku postanowił powrócić do Polski, w rodzinne strony, do Tarnowskich Gór. Pracował w spółdzielni spożywców i kontynuował studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, uzyskując stopień magistra w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych.

W 1952 roku zadebiutował opowiadaniem *Jędraszkowie*, które opublikowane zostało w piśmie „Nowy Świat”. Współpracował także z „Gazetą Poznańską” i „Tygodnikiem Zachodnim”, w którym prowadził przegląd niektórych periodyków angielskich i amerykańskich pod wspólnym tytułem *Na Zachodzie*. W połowie lat 50. XX wieku opublikował w kraju cztery powieści o tematyce kryminalnej, szpiegowskiej i sensacyjnej: *Następny odchodzi 22:25* (1955); *Nocny rzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956)¹ i *Wenus z brązu* (1956). W tym czasie dojrzała w nim decyzja o ponownej emigracji. W roku 1957 zdołał przedostać się z rodziną przez Berlin do Anglii, gdzie zamieszkał w Leicester. Początkowo pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC w Reading, w hrabstwie Berkshire. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Podjął także współpracę z pismami „Kultura”

i „Wiadomości”, w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje. Poza krajem ukazały się jego najbardziej znane powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966) oraz *Stan wyjątkowy* (1968). Oba utwory zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne – za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury”, zaś *Stan wyjątkowy* uhonorowano nagrodą „Wiadomości”. Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.

W 1977 roku Guzy wyjechał do Hiszpanii. Napisał i opublikował jeszcze trzy powieści: *Wielkie nieszczeście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku); *Requiem dla pani Tosi* (1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (1994). Obecnie mieszka w Daimuz i nadal zajmuje się literaturą oraz pisarstwem. W kraju jego opowiadania ukazały się na łamach „Zeszytów Literackich”. W wywiadzie *Musiałem wyjść z szafy trupa i go pogrzebać* z 2000 roku, który ukazał się w miesięczniku „Śląsk” (2000, nr 2), pisarz wspominał o swoich dalszych planach literackich: *W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Literackich” opublikowałem fragment jednego z opowiadań, nad którym teraz pracuję. W poprzednich książkach musiałem z siebie wyrzucić okropności powojennych doświadczeń z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiedzieć o swoich odczuciach. Musiałem wreszcie wyjść z szafy tego trupa i ostatecznie go pogrzebać [...], na szczęście te opowiadania dotyczą innego świata przeżyć.*

Gorącym orędownikiem ponownego odkrycia Piotra Guzgo i odczytania na nowo jego prozy, jest Florian Śmieja, który pragnie znaleźć dla niego godne miejsce w historii literatury polskiej. Jego twórczość już wcześniej zwróciła uwagę znawców literatury emigracyjnej: Marii Danilewicz Zielińskiej, która tak charakteryzowała dwie emigracyjne powieści pisarza: *Obie powieści Guzgo dopełniają się i nieważna jest w nich fabuła, zresztą konsekwentnie obmyślana i przeprowadzona, ale odtworzenie tego, co Broński określił w recenzji książek Guzgo jako „zdyszany belkot” ludzi zaszczytów, przerażonych czy bez ratunku zagubionych w labiryntach „stanu wyjątkowego”* oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który nazwał Guzgo pisarzem *o wielkim talencie*.

Twórczość Guzgo dzieli się na dwa okresy: krajowy i emigracyjny. Debiutował on powieściami o charakterze popularnym; nie mógł w nich jednak pisać o ważnych dla siebie tematach i wyrażać krytycznych poglądów na krajową rzeczywistość. Dopiero emigracja dała mu możliwość rozwinięcia skrzy-

deł. Powieści tam pisane są dojrzalsze, osadzone w konkretnej rzeczywistości. Guzy stworzył bohatera, który zmagając się z własnymi słabościami, rzeczywistością komunizmu, naciskami władzy. Postacie mają pogłębione rysy psychologiczne, a poruszane tematy nawiązują do aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie.

Szczególnie ważny w twórczości Guzgo jest cykl powieści o Polsce lat 50. i 60. XX wieku, który tworzą w zamierzeniu autora utwory: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, *Stan wyjątkowy*, *Requiem dla pani Tosi* i *Zwidy na wysokościach*. Ich bohaterami są emigranci, agenci służby bezpieczeństwa, milicjanci i ubecy – ludzie, na których ciąży przeszłość. Charakteryzuje ich zniewolenie psychiczne i utrata wolności – są trybami w bezwzględnej machinie komunistycznego systemu. Autor uczciwie rozlicza się z przeszłością, ale pisze o niej ironicznie, z karykaturalnym przerysowaniem. Opowieści o PRL-u przeplatają się ze wspomnieniami czasu wojny. Bohaterowie Guzgo są zwykle naznaczeni wojennymi traumami, przeszłość nie jest dla nich okresem zamkniętym i zapomnianym, ale wpływa na teraźniejszość, determinując także życie codzienne.

Taką „podwójną” rzeczywistość pisarz przedstawił w powieści *Stan wyjątkowy*, która opowiada o polskiej rodzinie, starającej się po wojnie ułożyć sobie życie w kraju. Egzotyczny świat PRL-u inspirował wielu pisarzy, czego przykładem są książki Leopolda Tyrmanda *Zły i Dziennik 1954* oraz powieść Stefana Kisielewskiego *Śledztwo*. Na emigracji w krzywym zwierciadle ukazywał działalność agentów Urzędu Bezpieczeństwa Czesław Straszewicz w drugiej części powieści *Turyści z bocianich gniazd*, zatytułowanej *Kociołek na Ziemowita*. *Stan wyjątkowy* Guzgo składa się z czterech części. Ich bohaterami są przedstawiciele kilku pokoleń Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową. Każdy z nich opowiada swoją historię. Pojawia się stara matka, która podczas wojny straciła bliskich i szuka ukochanego syna Jerzego, a także mąż poszukujący zaginionej żony, więźniarki obozu koncentracyjnego. Kolejne części nawiązują do poprzednich – pojawia się zaginiony Jerzy – więziony w okresie stalinowskim, który po październikowej amnestii wychodzi na wolność. Wyjaśnia się wojenna przeszłość zaginionej żony, której tragiczną przeszłość odkrywa córka Wanda.

Narracja powieści ma formę strumienia świadomości – wspomnienia i myśli bohaterów przeplatają się z przeżywaniem przez nich teraźniejszości. Jak w sennym koszmarze nieustannie powracają w nich dramatyczne wojenne zdarzenia: śmierć bliskich i własne cierpienia. Powtarzające się, fragmen-

taryczne obrazy ilustrują stany psychologiczne bohaterów. Autor podkreśla, że o wojnie nie można zapomnieć, ciągle żyje w tych, którzy ją przeżyli, staje się ich integralną częścią, prześladowczym demonom, zakorzenionym głęboko w podświadomości. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1947–1966, czyli obejmuje okres formowania się i umacniania się w Polsce systemu komunistycznego.

Zmagania z wojenną przeszłością – tym razem ze zbrodnią katyńską i jej konsekwencjami dla życia bohaterów – są tematem powieści *Requiem dla pani Tosi*. Tytułowa postać jest wdową po zamordowanym w Katyniu oficerze. Pracuje w Londynie w Ośrodku Badań Spraw Polskich. Jest szantażowana przez komunistycznych agentów, którzy, grożąc skrzywdzeniem jej bliskich, zmuszają ją do współpracy. W powieści w sposób wielostronny podjęty został motyw zdrady (małżeńskiej, bliskich, ojczyzny). Pisarz przekonująco przedstawił stan osaczenia przez agentów, którzy mają się wszelkich sposobów, by pozbawić kobietę wolnej woli, poczucia bezpieczeństwa i zmusić do zachowań, które są sprzeczne z jej etycznymi zasadami i patriotycznym kodeksem.

W powieści *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966) Guzy wnikliwie analizuje metody działania komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Jest to utwór najwyżej ceniony przez krytyków. Kreując środowisko „ubeków”, pisarz posłużył się charakterystyczną stylizacją – używa języka kolokwialnego, pełnego wulgaryzmów, pisze w trybie rozkazującym, który ilustruje niemożność dialogu i nawiązania równoprawnych kontaktów. Stanisław Gawliński określił powieść mianem „emigracyjnych rozrachunków ze stalinizmem po 1956”, podkreślając, że fenomen komunizmu jest w niej analizowany niejako od wewnątrz, ze strony tworzących go aparatczyków, a nie – jak to czyniono wcześniej – z perspektywy ofiar systemu. Także powieść *Zwidy na wysokościach* (Poznań 1994) rozgrywa się w okresie komunizmu i eksponuje skomplikowane relacje pisarzy z ówczesną władzą.

Piotr Guzy, choć pisze na emigracji, zazwyczaj osadza akcję swych utworów w jednym okresie historycznym, w kraju, niekiedy w miejscach mu bliskich i dobrze znanych – w *Zwidach na wysokościach* w Górczynie Tarnowskich, w których nazwie nietrudno rozpoznać anagram Tarnowskich Górach. Korzystając z emigracyjnej swobody, pisze wprost o drażliwych sprawach politycznych powojennej Polski. Z jego utworów wyłania się negatywny obraz komunizmu, który działa przez terror, szantaż, psychiczne i fizyczne zniewolenie, powodując moralny upadek zarówno przedstawicieli ustroju, jak i jego ofiar.



Z Florianem Śmieją (z lewej)

Tytułowy bohater powieści *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, ubek Karol Ostuda to „wzorowy” przedstawiciel komunistycznej władzy; jego groteskowa śmierć demaskuje naturę systemu, traktującego ludzi przedmiotowo, bezwzględnie dążącego do podporządkowania sobie każdego człowieka. Zdaniem Stanisława Gawlińskiego, Guzy pokazuje, że „osłabienie” systemu, które dokonało się w wyniku „odwilży” roku 1956, skrywało jedynie kolejny etap poszerzania komunistycznej władzy, którym było uzyskanie pełnej kontroli nad obywatelami.

Innym tematem, który pasjonuje Piotra Guzega, jest wiwisekcja relacji między kobietami i mężczyznami. Przedstawia je zazwyczaj bardzo pesymistycznie, jako krótkotrwałe związki, oparte wyłącznie na erotycznym pożądaniu. Eksponuje także motyw zdrady i jej destrukcyjnych konsekwencji (np. zabójstw i samobójstw bohaterów). W przedstawionym przez Guzega, skażonym przez zbrodniczą ideologię świecie, w którym relacje międzyludzkie opierają się na strachu, nieufności i kłamstwie, nie ma miejsca na szczęśliwą miłość, czy bezinteresowną przyjaźń. Nikt nie czuje się bezpieczny, ukrywa swoją prawdziwą tożsamość, ponieważ każdy może zdradzić. Polityka władzy komunistycznej jest toksyczna w każdym wymiarze życia.

Piotr Guzy jest także autorem kilku opowiadań, które – jak wspominałam – ukazywały się na łamach „Zeszytów Literackich” (*Będziesz miłował katar swego; Że ona jest, że w ogóle jest; Wstyd; Odwiedziny u duchów i Ostatnia posługa*). Także w krótkich formach prozatorskich pisarz porusza problem zmagania człowieka z demonami „złej” (wojennej i komunistycznej) przeszłości. W opowiadaniach *Ostatnia posługa* i *Odwiedziny u duchów* bohaterami są polscy emigranci, mieszkający

w Hiszpanii, których przypadek stawia przed wyzwaniem zmierzenia się z przeszłością. Bohater *Ostatniej posługi* po wielu latach spotyka człowieka, który, kiedy on był w latach stalinowskich więziony, uwiódł jego żonę i odebrał rodzinę. Budzi się w nim chęć zemsty, postrzega śmierć dawnego kata jako swoiste zadośćuczynienie. W opowiadaniu pojawia się także wątek autotematyczny. Wnuczka bohatera, polonistka i doktorantka zajmująca się literaturą emigracyjną, gorzko ale i szczerze diagnozuje panoramę pisarzy na obczyźnie, która przeważnie koncentruje się na centralnych i znanych nazwiskach: *Literatura emigracyjna. [...] na razie u nas jest tak, że krytycy i badacze zajmują się czterema czy pięcioma nazwiskami, zawsze tymi samymi, reszta leży odlegiem na święte nigdy, a ja chciałabym w mojej pracy dać szerszą panoramę, wydobyć na wierzch innych pisarzy, a jest ich sporo, i włączyć ich w ogólny obraz naszej literatury* (s. 44).

W opowiadaniu *Odwiedziny u duchów* pisarz mierzy się z trudnym problemem polskiego antysemityzmu. Emigrant odwiedza rodzinną wieś i przypomina mu się niechlubny epizod z przeszłości, którego był świadkiem – grabież żydowskiego mienia przez współmieszkańców, w tym także jego ojca. Złe uczynki zostają ukarane; sprawiedliwość wymierza przeznaczenie. Zagrabiony majątek staje się przekleństwem dla mieszkańców wsi i ojca bohatera. W opowiadaniu pisarz podejmuje także problem trudnych relacji między synem i ojcem. We wspomnieniach bohatera, surowy dla rodziny, patriarchalny ojciec, korzy się przed niemieckim żołnierzem, co w oczach syna jest znakiem tchórzostwa, poddania się. Od tego momentu ojciec przestaje być dla niego wzorem.

Literatura staje się również miejscem dokonania osobistego rachunku sumienia. W opowiadaniu *Wstyd* pisarz wspomina dawną, opublikowaną w kraju powieść, *Lot w księżycową noc*, która przypomina opublikowaną przez niego w okresie socrealizmu książkę *Nocny zrzut*. Ma odwagę przyznać się, że publikując ją popełnił błąd: *To była wredna książka, pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelników utwierdzała poczucie beznadziei, nieodwracalności systemu, szkodziła książka, mówiła, że inaczej już nie będzie, tylko się z tym pogodzić* (s. 27). Rysy autobiograficzne ma także bohater opowiadania *Biedna Lilo*, który jest pisarzem-emigrantem, pochodzącym z Tarnowskich Gór. Tytułowa Lilo nosi w sobie bolesną wojenną przeszłość, która z upływem czasu nie zaciera się w pamięci, a powraca z wielką wyrazistością, zaś wehikułem, uruchamiającym proces wspomnienia, mogą być zwykłe zdarzenia, np. widok ognia.

Motyw spowiedzi z życia, wyznania grzechów z przeszłości pojawia się także w opowiadaniu *Będziesz miłował katar swego!* Główny bohater zwierza się przyjacielowi, że po powrocie z emigracji do Polski, został zwerbowany do współpracy przez służbę bezpieczeństwa. Postrzega siebie jako ofiarę reżimu, usprawiedliwia przed samym sobą i przyjacielem. Nie potrafił jednak zerwać współpracy z bezpieką, nie dostrzegał, że kierowała nim także chęć łatwego zysku, a wizja materialnej stabilizacji przesłaniała zło, które wniknęło w jego życie. Wyznanie nie przynosi głównemu bohaterowi ekspiacji, ale, być może, pozwala mu zrozumieć, na czym polegała jego prawdziwa wina. Za swoje niegodne postępowanie zapłacił utratą zaufania przyjaciela i zniszczeniem wieloletniej przyjaźni.

Przedstawione tu uwagi stanowią zaledwie wstęp do szerszego opracowania twórczości Piotra Guzega, który jest autorem o ogromnej woli tworzenia, oferującym czytelnikom dobrą i wartościową prozę. Jej atutami są: wnikliwa wiwisekcja ambiwalentnych zachowań człowieka i słabości jego natury w obliczu konieczności moralnych wyborów, autentyczność w kreowaniu postaci i społeczno-obyczajowo-politycznego tła wydarzeń, uparte powracanie do trudnych dla Polaków tematów stanowiących niejednokrotnie sferę tabu (antysemityzm, komunistyczna działalność), przypomnienie o niechlubnej przeszłości w imię dociekania prawdy i podkreślanie znaczenia uniwersalnych wartości w życiu człowieka.

Autor ma czytelnikom do opowiedzenia jeszcze wiele interesujących historii. Mam nadzieję, że jego twórczość znajdzie godne miejsce w historii literatury polskiej XX wieku. ■

¹ Powieść ta ma adaptację teatralną, zatytułowaną *Prowokacja*.



Alojzy Lysko – uznany śląski pisarz i publicysta. Górnośląski głos, z którego przekazem liczą się wszystkie górnośląskie środowiska – literackie, samorządowe, medialne i polityczne. Jeśli nawet nie zgadzają się z prezentowanym przez niego punktem widzenia, szanują go, bo jest to głos wielu górnośląskich dusz.

* * *

Alojzy Lysko przez swą twórczość i poglądy wyraża bowiem to, co „w duszy gra” tysiącom Górnoślązaków. Jest takim lekarzem górnośląskich dusz, który trafnie, od kilku już dekad, diagnozuje stan ducha śląskiej zbiorowości. Leczy jego traumy. A najlepiej chyba jest to robić poprzez twórczość. Tak właśnie wyzwalając lęki tkwiące w zbiorowej podświadomości. Tym bardziej że Ślązacy – z racji swoich postaw życiowych – są raczej pragmatyczni, a o wszelkich doznanych krzywdach, niesprawiedliwościach starają się zapomnieć, nie rozpamiętując ich. Zresztą, kto lubi mierzyć się z bolesnymi wspomnieniami?

„Istnieje potrzeba, by zrozumieć, umieć przebaczyć i pogodzić się z upiorami trudnej śląskiej przeszłości” – powiedział kiedyś Lysko (www.serwislokalny.com/aktualnosci/410/logos-gornoslaski-czyli-to-c-o-wazne) i to zdanie tłumaczy, dlaczego zajęli się wszystkimi śląskimi traumami – służbą Ślązaków w Wehrmachcie, służbą na frontach pierwszej wojny światowej, Tragedią Górnośląską. By je zrozumieć, pogodzić się z nimi i pokonać.

Alojzemu Lysce było łatwo zostać lekarzem śląskich dusz, bo sam leczył przy okazji swoją traumę – jest przecież wojennym sierotą, tęsknota za nieznanym Ojcem pozostawała i pozostaje ważnym

Refleksje o twórczości Alojzego Lyski

Z Bojszów na Górny Śląsk

GRZEGORZ SZTOLER

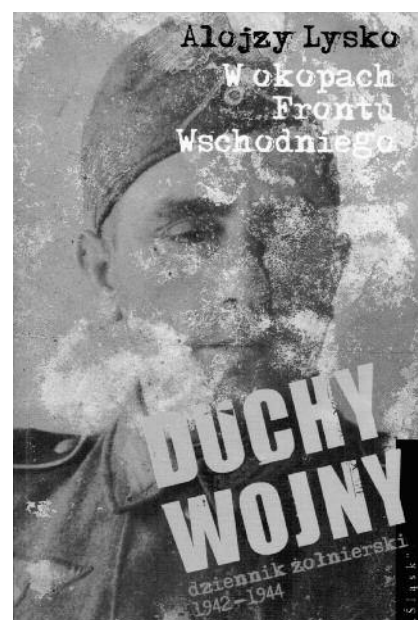
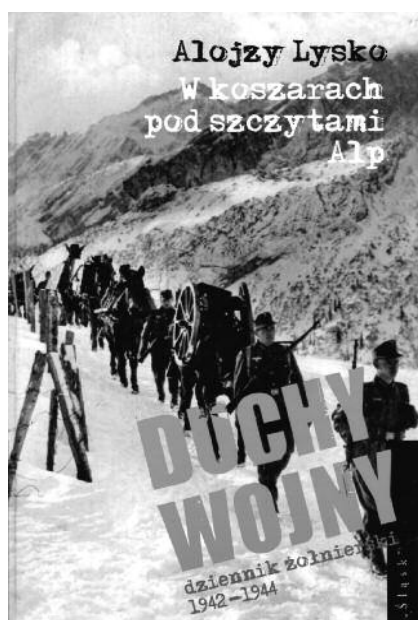
„napędem” jego twórczości. Dzięki tej tęsknocie serca, za nieznanym, ukochanym Ojcem, którego częstkę nosił przeciecz w sobie, powstało dzieło jego życia, „Duchy wojny”, złożone początkowo z czterech, a ostatecznie z pięciu części [choć ich bohater, Alojz Ochman, ginie w czwartej]. Uznane za wyrażające stan górnośląskiej duszy, wyzwalające z nieustającej traumy związanej ze służbą Ślązaków w Wehrmachcie, dzieło weszło w skład górnośląskiego kanonu literackiego.

Napisana w kształtującym się śląskim języku, wyrażająca stan ducha społeczności, lecząc jego traumy z przeszłości, powieść „Duchy wojny” stała się śląską epopeją. Czytając ją każdy człowiek z zewnątrz, nie-Ślązak, ma wgląd w śląską duszę. Perspektywę wojny widzi oczami wplątanych w jej bezwzględny mechanizm ludzi, czuje tę tragedię, ten codzienny mozół przetrwania, kiedy nie

wiadomo jak i kiedy to wszystko się skończy. W tej książce wojna przeraża, jest widziana oczami normalnych, zwykłych ludzi, staje się bestią pożerającą wszystkich i wszystko...

Wielokrotnie miałem okazję rozmawiać z osobami, które przeczytały „Duchy wojny”, a nie są Ślązakami. Przeżywały tę powieść równie intensywnie, jak Ślązacy.

Alojzy Lysko znalazł więc klucz uniwersalny – pisząc o śląskiej traumie, dramatycznym losie śląskiej społeczności, zuniwersalizował ją. Bo właściwie taka społeczność, doświadczana przez los, przez kapryśnych bogów wojny i polityki, może znaleźć się wszędzie, w każdym zakątku Ziemi. Jej los będzie podobny. Tylko czy taka społeczność przetrwa, czy znajdzie w sobie aż taką siłę, by przemóc te wszystkie klęski, przetrwać? Czy znajdzie lekarza, który uleczy, ukoji poranionego ducha tej zbiorowości, tak



jak w przypadku Ślązaków uczynił to Alojzy Lysko – górnośląski demiurg. By wyjaśnić właściwy kontekst tego słowa – demiurg to ktoś obdarzony niesamowitą mocą tworzenia, oddziaływania. Bardziej twórca niż lekarz. W idealistycznej filozofii Platona i późniejszych doktrynach filozoficznych >twórca świata<. A więc niemal równy Bogom. Człowiek o wielkiej mocy twórczej, człowiek obdarzony nieograniczoną mocą tworzenia, niesamowitą charyzmą i wielką wyobraźnią. Takim właśnie jest nasz bohater.

Taka pozycja, publicznego autorytetu – by nie powiedzieć: wyroczni – predestynuje naszego bohatera do zajmowania się sprawami bieżącymi, ważnymi dla śląskiej zbiorowości, stanu jej ducha.

Alojzy Lysko często korzysta z przywileju wypowiadania się w żywotnych śląskich sprawach, prezentowania własnych, niezależnych i dalekosiężnych opinii, analiz, prognoz, by nie rzec – nawiązując do lekarskiej dialektyki – zaleceń korzystnych dla ducha śląskiej zbiorowości. Tak czynił, wielokrotnie zresztą w odniesieniu m.in. do sprawy języka śląskiego, autonomii Górnego Śląska, śląskiej kultu-

ry dla wielu, temacie. Słusznie więc stwierdził redaktor naczelny „Dziennika Zachodniego” Marek Twaróg publikując list Alojzego Lyski w sprawie koncepcji wystawy Muzeum Śląskiego w Katowicach [było to właściwie streszczenie kilkudziesięciostronicowej koncepcji], że tego głosu trzeba wysłuchać, tej opinii nie wolno zlekceważyć – bo jest to głos ważnej śląskiej osobowości, autorytetu, twórcy śląskiej kultury. Szkoda jednak, że uwagi Lyski były mocno spóźnione, pojawiły się na forum publicznym wtedy, gdy realizacja koncepcji wystawy Muzeum była już dawno rozstrzygnięta, tuż przed otwarciem placówki, końcem czerwca 2015 r.

Alojzy Lysko postulował m.in. by osią wystawy stała się postać mitycznej śląskiej Niobe, a nie maszyna parowa, czy gilotyna:

„Dla swojego pomysłu wybrałem XX wiek – epokę w dziejach Śląska nieprawdopodobnej kumulacji tragicznych wydarzeń i nieszczęść, jakie spadły tu na ludzi. Wybrałem kobietę, zrazu młodą, radosną, a potem – u schyłku życia – złamaną bólem, wręcz skamieniałą – prawdziwą Mater Dolorosa Silesiensis, albo – jak w tytule – śląską Niobe jako uosobienie losów tej ziemi.”

Alojzy Lysko znalazł więc klucz uniwersalny – pisząc o śląskiej traumie, dramatycznym losie śląskiej społeczności, zuniwersalizował ją.

ry. Upominał się o prawa i należne Ślązacom jako zbiorowości przywileje. To robił jako publicysta, a jako pisarz miał odwagę – jako pierwszy – upomnieć się o pamięć dla poległych w mundurach Wehrmachtu Ślązaków (książka „To byli nasi ojcowie” z 1999 roku) i zachęcić historyków – co przyznaje m.in. prof. Ryszard Kaczmarek z Uniwersytetu Śląskiego w głośnej swego czasu publikacji „Polacy w Wehrmachcie” – do podjęcia naukowych badań w tym jakże trudnym i co tu ukrywać, dalej kontrowersyjnym

Wcześniej nasz bohater podkreślał, że potrzeba właściwej perspektywy bo-
wiom:

„Górny Śląsk to ziemia pogranicza. Tu kilka nacji, pokolenie za pokoleniem dźwigało rzeczywistość tej krainy. Jeśli już któraś z nacji miałaby być uprzywilejowana, to mogą to być tylko Górnoślązacy z racji swego wielowiekowego trwania w tym miejscu Europy.

To głównie ich dziedzictwo powinno dominować w Muzeum. Podejrzania, uprzedzenia, fobie, kompleksy wobec

go dziedzictwa, które tak rozpalają umysły niektórych, nie mogą wpływać na program przyszłego Muzeum.”

Każdy z nas wie, że Śląsków jest wiele, każdy ma swój, w duszy, w sercu. To najczęściej ziemia rodzinna, która zostawia w nas trwałe i niezapomniane ślady. Jaki jest więc Śląsk Lyski? Jaki jest i gdzie jest? To oczywiście Bojszowy, bojszowski kraik, bojszowska domovina, jak nieraz mówi Lysko, położona w lasach pszczyńskich nad rzekami Gostynią, Korzyńcem i Wisłą, historyczna część ziemi pszczyńskiej, obecnie wchodząca w skład gminy Bojszowy i powiatu bielsko-łódzkiego. Ale śląski świat Lyski, świat jego dzieciństwa mocno się zmienił, to nie są już rolne Bojszowy, z wypasem krów, żniwowaniem, pracą na roli, Bojszowy pełne sadów, ogrodów, śpiewu, muzyki, modlitwy i pracy (stąd zresztą zawołanie bojszowskiej gminy „Concordia et Labor”, „zgoda i praca” – bo to buduje wspólną pomyślność). Mniej już tego, o wiele mniej. Bojszowy się zmieniły, bo wszystko się zmienia, biegnie, nowocześnieje... Bojszowy wydłgały – nadal jest tu zielono, piękne są ogrody, lecz o wiele, wiele mniej jest rolnictwa i rolników, związanej z nimi obrzędowości, choć dalej jest to silna strona bojszowskiej duszy. Bojszowy się rozrosły i rozbudowały. Powstało tu sporo willi ludzi z aglomeracji, często zamożnych. Oni tworzą teraz nowe oblicze Bojszów – ale czy ta kultura, którą reprezentuje także Alojzy Lysko, kultura śląska, rodzima, stanie się dla nich atrakcyjna? Czy „nowi” zintegrują się ze śląską społecznością?

We wstępie do publikacji „Echa pszczyńskiego lasu”, książce o „radościach i boleściach ludzi stąd” Alojzy Lysko tak opisuje umiłowaną, bliską mu ziemię pszczyńską:

„Ziemia pszczyńska. Przybytnych pytom, czy kiejś zaglondali w te strony? Jeśli nity, to jim chca pedzieć, że to cudny

kroj, godny obejrzyj. Pełno tu zielonych pól, zofcanych lasów, stawów i stawisk, dobrych dróg, wesołych szkół i pięknych kościołów. A jak się tu swojsko nazywają te zakątki! Josiyniec, Grabysz, Rosochacz, Bociniec, Cmok, Słepioty, Byrzyk, Czerniny, Jamnice...

A wiewa tu życie bez cały rok! Ptactwa wiewaśpiywo na wiosna, zboże jak fałuje bez lato, zwierzyzny po lasach wiewa-przemko: mocarne żubry, dostojne jełynie, królewskie fazany. U nos nawet orły majom gniozda.

A jak się dobrze majom u nos stromy! Rubedymbiska, kudłate brzimy, miodne lipy. U nos ta żodyn rynki niy dźwignie na stare drzewo. Bez toż momy takie wiewe jak Miedźna, Wola, Cwiklice, Mokre, kaj ludzie żyjomse choćby w parku.

A jak się przyroda piyknie zdobi na osieczonych łonkach! Nic ino się wybrać pod Korzyniec, abo nad Wisła. Wiewa tam kwiecie roztolicznego, zieli, pachnieł wszelakich! Całe bukiety!”

Jest to przepiękny opis, tylko osoba czujająca ten zakątek Śląska, będąca jego nieodłączną częścią mogła oddać piórem, słowem jego urok. Widać (dosłownie w wyobraźni, czytając ten opis), że ziemia pszczyńska w odczuciu naszego bohatera skrzy się nieskazitelną zieleńią, dziewiczą przyrodą, miłością i szacunkiem dla wszelkiego żyjącego stworzenia – przepelniona jest franciszkańskim ideałem życia, szacunku dla każdej bożej istoty, która jest radością tej ziemi i jej mieszkańców, pszczyńskich Ślązaków. Jest więc ziemia pszczyńska miejscem przyjaznym do życia, nie tylko dla autochtonów, ale każdego, kto zechce docenić jej uroki – nieprzemijające piękno. Tak, ziemia pszczyńska jest zielona, pełno tu pól i lasów. Jest też błękitna, bo pełno tu rzek, rzeczek, potoków, kanałów, stawów, jezior czy potężnych zbiorników retencyjnych jak ten w Łące na rzece Pszczynce, czy w Goczałkowicach na rzece Wiśle. Istne „Boże strony”, jak zatytułował Lysko jedną ze swoich książek poświęconą krajanom.

„Może gdzieś na świecie są jeszcze inne miejsca, które ludzie nazywają Boże strony – pisze Lysko we wstępie. – Może. Lecz rdzenni Górnoślązacy na ogół wiedzą, że to wioski gdzieś pod Pszczyną, że to południowo-wschodni kraiczek Górnego Śląska przylegający do linii Wisły – zakątek, gdzie w pięknym krajobrazie i do końca jeszcze niezniszczonym środowisku żyją ludzie pobożni, mocno trzymający się tradycji i wierńi uświęconym wartościom.”

Tak, w przepięknym, pszczyńskim kraju, takiej śląskiej arkadii mieszkać mogą tylko piękni ludzie – piękni duchem, postawą, szlachetn, robotni...

Troska o zachowanie śląszczyzny, troska o jej piękno to część postannictwa Lyski, nieodłączna część jego twórczości.

Opisuje więc Lysko przymioty swoich pszczyńskich krajanów, pisze o nich wspaniale, niebiańsko wręcz, chwali, że są robotni i zaradni:

„Ajacy piykni ludzie tu żyjom! My kożdymu przajymy i otwiyromy mu dźwiryżiszyroko. My som robotni, żodnej roboty sieniy wstydzimy i niybojymy. Przijdzie orać zymia – umiymy to, przijdzie wynigiel kopać pod zymiom – umiymy, żelazo topić i przerobiać – umiymy. My wszystko poradzymy zrobić. I bez toż tynkroj zagospodarowany. Utrzymany w porzondku i czystości.”

A tam gdzie ludzie są dobrzy, mają czyste serca, słyhać muzykę, bo jak mówi poeta, tylko ludzie o czystych sercach, szczerych intencjach śpiewają. Czytamy więc u Lyski, że ci Ślązacy z pszczyńskiego są rozśpiewani i weseli:

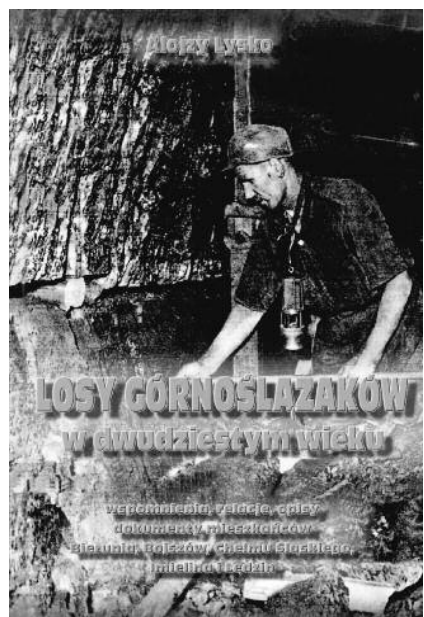
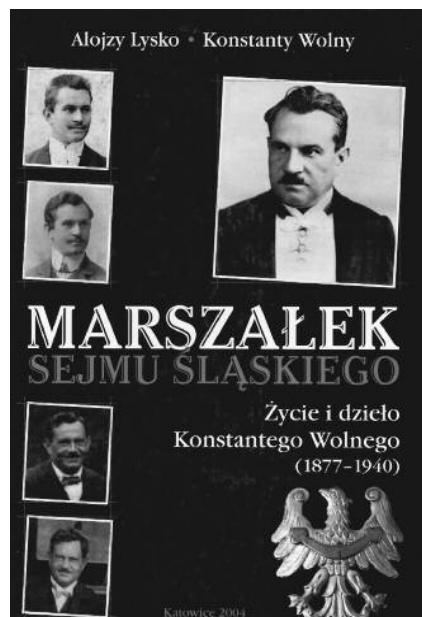
„Ajaki tyn norod pszczyński ucieszny! U nos aże dudni od muzyki i śpiywu, jak się te weseliska odprawio. Kolorowo jest i głośno, jak przijdzie odpust, abo żniwne... Tego naszego kraiczka kludzi się rok w rok dużo ludzi z daleka. Tak siejim tu podobo, że jedni zaroz chcą się tu budować i miyszkac! Dejmy na to,

w Bojszowach. Niyh się budujom, żodynziejim stawiać niyzabranio, niych miyszkajom – miejsca u nos dość. Bele by ino piyknota natury i ta zgoda miyndzy ludziami dalej tu były”.

Sielskie to miejsce ten Lyskowy Śląsk, sielankowe życie tu mają ci Ślązacy, a na dodatek są tolerancyjni, otwarci... Nic dziwnego, że tak wielu przybywszy spoza Śląska pragnie się tu osiedlać. To zresztą nic nowego, zawsze, od średniowiecza przybywali do nas i Niemcy, i Żydzi, i Morawianie, i Czesi, i Polacy, i Węgrzy. Śląsk był zawsze gościnny, zawsze był miejscem schronienia (vide choćby lwowianie, którzy znaleźli dru-

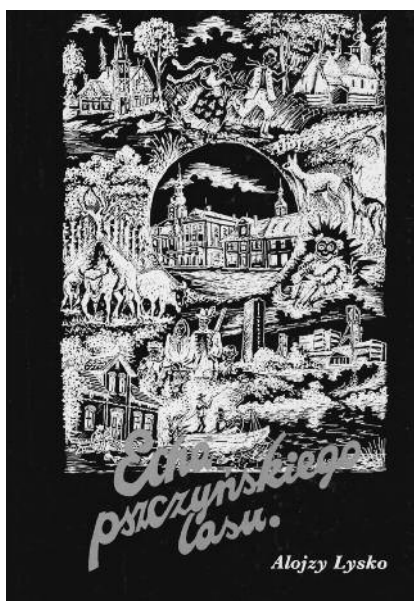
gą ojczyznę w Gliwicach i Bytomiu, tworząc silną wspólnotę). Widać, że Lysko idealizuje to miejsce i żyjących w nim ludzi, ale czyni to... z miłości, z tęsknoty za tym, co mija. Nieuchronnie. Bo przecież wielu bohaterów jego książek już nie ma, przemineli. Tak jak wszystko co piękne i ulotne, Śląsk stworzony z opowieści przekazanych Lysce przez przeszłe pokolenia, przeminie, choć nie całkiem. Ostatnie ta część, która została utrwalona, przełana na papier.

Na pięknej ziemi pszczyńskiej, w Bojszowach, żyją piękni ludzie, którzy posługują się pięknym językiem. Przecież język ludzi o złotych sercach musi zachwycać, musi zostać zachowany – bo jest piękny i niepowtarzalny, tak samo jak ludzie nim się posługujący. Troska o zachowanie śląszczyzny, troska o jej piękno to część posłannictwa Lyski, nieodłączna część jego twórczości. Dostrzec można ewolucję postawy twórczej – o ile w pierwszych publikacjach dominują literacka polszczyzna przeplatana śląskimi zwrotami, stylizacjami gwarowymi,



o tyle w kolejnych, począwszy w zasadzie od „Duchów i duszków bojszowskich” śląszczyzna zaczyna dominować w twórczości Alojzego Lyski. Rzec charakterystyczna – jeszcze w wydanych w 1996 roku „Echach pszczyńskiego lasu”, w których zgromadzono takie pszczyńskie „bery i bojki” dominuje literacka polszczyzna, z niewielkimi wtrąceniami dialogowymi po śląsku, przez co wszystkie te ludowe opowieści, podania straciły swój urok. Wydane rok później „Klechdy pszczyńskie” są już napisane jedną pszczyńską gwarą, którą czyta się z niesamowitą przyjemnością.

Lysko udowodnił wszem i wobec, że po śląsku wychodzą doskonale nie tylko regionalne bery i bojki, ale trudniejsze, dramatyczniejsze tematy – jak ludzkie losy, losy bojszowian w dwóch ostatnich wojnach światowych, co czynił m.in. na łamach lokalnej prasy. Lysko wprowadził śląszczyznę na literackie salony. Sprawił, że jego ziomkowie przestali się wstydzić używania mowy, o której przez lata słyszeli w szkołach i urzędach, że jest gorsza. A przez to, że ich język, piękny język miał być „gorszy”, czuli się niedowartościowani. Lysko przywrócił (nie tylko pszczyńskim) Ślązakom świadomość piękna ich własnego języka m.in. przez działalność literacką, publicystyczną, przez owacyjnie przyjmowane występy



rowo Czytelnika. Jest to w zasadzie pierwsza tak wielka publikacja, o takiej randze [bo wliczona w literacki kanon] tworzona konsekwentnie po śląsku.

Troska o zapomniany już po części rodzimy język jest trwale obecna w działalności Lyski. Jej wyrazem jest pojawiająca się od dłuższego czasu, mniej czy bardziej systematycznie, rubryka w gminnym miesięczniku „Nasza Rod-

kolenie Lyski doświadczyło właśnie takiej „tresury”. Śląska pamięć zbiorowa przechowała, że i takie prześladowania Ślązaków były wcześniej, jak pisze Lysko, nawet w Polsce przedwojennej. Bolesne musiało to być szczególnie dla powstańców, wszak oni walczyli o przyłączenie Śląska do Polski, a w szkołach tępiono, jak ich dzieci posługiwały się śląszczyzną. Wmawianie Ślązakom, że ich język jest czymś gorszym, wstydliwym w komunikacji publicznej, zaowocował ciężkim do zwalczenia faktem, regułą – niemal większość PRL-owskich roczników postawiona przed mikrofonem, w przestrzeni publicznej, przechodzi „z automatu” na język wyuczony, literacki. Naturalna skłonność do komunikowania się gwarą, śląskim automatycznie się blokuje, „wylacza”. Na szczęście trend obecnie jest odwrotny i coraz więcej osób, zwłaszcza młodych, chce i umie używać śląszczyzny publicznie – z drugiej strony śląszczyzna staje się modna, a i same urzędy zachęcają, czy też ułatwiają możliwość komunikowania się w śląskim [akcja „Tu się godo po ślonsku”]. Postawa Lyski, który przecież sam przechodził polskojęzyczną edukację, doznawał wszystkich tych zakazów na własnej skórze jest symptomatyczna. Lysko zanurzając się w śląskim folklorze, rodzimej tradycji, kulturze, odreagował to, co zostało mu po części narzucone, odreagował i odrodził się jako śląski twórca, twórca śląskojęzyczny i na wskroś śląski. I został przewodnikiem dla wielu, którzy podążają podobną ścieżką twórczej ewolucji zadając sobie pytanie – czy warto i czy można tworzyć po śląsku i dla Ślązaków? Lysko już na to odpowiedział:

„Tyn jynzyk zachował sie w pamiynki naszych ôjców. Bezto żwto szanuje swoja ślōnsko ojczyzna, teroz z tej pamiynki wyciōngo tyn nojwiynkszy skarb, jakim sōm stare słowa i pogodki”.

Bogactwo śląszczyzny Lysko podkreśla nieustannie, przy każdej okazji – wystąpien publicznych, twórczości, publicystyki... Jak to trafnie ujął w „Klechdach pszczyńskich”, gwara je lepszio:

„– Padajom, że gwara to jest tako gorzso mowa. O, jobych nie pedziol! Czasym gwarom lepij rzecz wytuplikujesz, niż godkom mądroków”.

Czasy ograniczeń na szczęście minęły. Zdaniem naszego bohatera teraz już NIC i NIKT Ślązakom nie przeszkadza, nie przeszkodzi w skutecznym dbaniu o swój język. Język zachowany po domach powinien wyjść w przestrzeń publiczną, między ludzi, w komunikację, media, literaturę – tam jest jego szansa na zaistnienie i upowszechnienie. I to się właśnie dzieje. Wiele środowisk i twórców robi to niezależnie od siebie. W tym jest siła. Bo jest to autentyczne i jest to odpowiedź na zapotrzebowanie społeczne. Tak, Ślązacy chcą mówić, pisać, czytać i śpiewać po śląsku. I mają do tego święte prawo.

Lysko uważa, że jego tworzenie w śląszczyźnie wynika z szacunku dla siebie i jego krajanów, z potrzeby tworze-

„Jeśli umrze język, to umrze bezpowrotnie unikalny świat naszej śląskiej Ojczyzny. Dlaczego piszę po śląsku? Piszę, aby ten świat ratować. Ratuj i ty! Nie pozwól mu zagiąć.”

zespołu „Bojszowianie”, który prowadził w latach 90. ubiegłego wieku, przez ludowe pieśni, widowiska – rozbudził ciekawość i dumę Ślązaków z Bojszów, a potem całej ziemi pszczyńskiej, a potem jeszcze wzniecił ten żar śląskości na całym Górnym Śląsku. Więcej – zachwycił ludzi spoza Śląska, pokazał – choćby na festiwalach folklorystycznych w kraju i zagranicą, że mamy swoją kulturę, kulturę ludową, śląską, swojską, prostą, piękną, żywą, rześką... piyknom. Zaimponował góralom – „Bojszowianie” stali się stałymi bywalcami Tygodni Kultury Beskidzkiej. Występowali także na festiwalach w Kazimierzu Dolnym, Bukowinie Tatrzańskiej, Tarnogrodzie, gdzie zachwycali śląskim folklorem i zdobywali nagrody. Zachowywały się zarejestrowane programy telewizyjne, a także radiowe z udziałem „Bojszowian”. Zespół stał się wizytówką gminy Bojszowy i powstałego w 2002 roku powiatu bieruńsko-lędzkiego (od 1999 roku funkcjonował pod nazwą powiat tyski ziemski).

Ukoronowaniem trendu przywracania godności śląszczyźnie są właśnie „Duchy wojny”, poświęcone tragicznym losom Ślązaków zaciągniętym do Wehrmachtu. Każdy z pięciu tomów w całości napisany jest w śląszczyźnie, co prawda w jej „lżejszej” odmianie, biorąc pod uwagę mniej wyrobionego gwa-

nia” poświęcona językowi przodków, zatytułowana: Uczymy się pisać i czytać po śląsku. Powiedzenia, przysłowia, przemyślenia naszego bohatera, przysłówki (wszak Lysko rozmiłowany jest w folklorze) – można tu znaleźć wszystko. Nawet przemyślenia dotyczące śląszczyzny:

„Mōndroki godajōm – stwierdza w tekście „Młodzi niech pomedykujōm” – że ślōnskigo jynzyka ni ma, ino jest trzynościęgodek. I że szkoda bydzie tych godek, jak tyn jynzyk stworzymy. To jest psinoprowda! Jynzyka ślōnskigo niy trzeja stworzać, bo ōn od wiek wieka w naszych ludziach był! Ino niy mogli my w nim pisać, bo zawdy jakiś pastyr zstoł nad nami z nohajōm”.

Jakie to „pastyrze” były wyjaśnia Lysko nieco dalej:

„Śmioleś coś po ślōnsku napisać za Bismarka, śmioleś jakiś pismo urzyndowe napisać, po naszymu za Grażyńskiego, abo coś bōnknōnc po ślōnsku za Hitlera, abo coś głōsniy pedzić po naszymu za komun... Zarozcie tresowali. Musioleś godać i pisać tak, jak te pastyrze chciały. Tōż kiedy tyn jynzyk miol być w użyciu? W szkole – niy! W urzyndzie – niy! W sklepie – niy! Tela co w doma.”

Pamięć zbiorowa Ślązaków zawiera te przykre, bolesne wspomnienia, kiedy próbowano, nieraz skutecznie, w szkołach, urzędach, zwalczać ich język. Po-

nia Logosu, poczucia budowania śląskiej wspólnoty:

„...piszę, bo teksty po śląsku są dla mnie prawdziwsze, mają w sobie coś z Logosu Górnośląskiego, nad którym ubolewał Stefan Szymutko, że Go nie mamy, dlatego – my, Górnoślązacy – nie słyszymy siebie, nie widzimy, czasem nie szanujemy i dlatego nie stanowimy zwartej wspólnoty. Ponadto – piszę coraz częściej po śląsku, bo słowa, zdania, frazy śląskie rodzą się we mnie bez większego trudu. I z jeszcze jednego powodu posługuję się śląskim. Mając ugruntowane przekonanie, że język jest fundamentem tożsamości, pragnę równouprawnić ten język, pokazać, że może być znakomitym narzędziem nie tylko komunikacji, ale twórczości.”

I jeszcze jeden Lyskowy apel, bliski również autorowi tych refleksji:

„Jeśli zależy nam na zachowaniu świata śląskiego, musimy usilnie zabiegać, aby zachować język śląski, trudzić się nad nim (kto to dziś robi?), pielęgnować go (chwała licznym konkursom gwar śląskich), rozwijać, upowszechniać (dlaczego nie ma edukacji regionalnej?). Jeśli umrze język, to umrze bezpowrotnie unikalny świat naszej śląskiej Ojczyzny. Dlaczego piszę po śląsku? Piszę, aby ten świat ratować. Ratuj i ty! Nie pozwól mu zagać.”

* * *

Dokumentowanie śląskich losów zaprowadziło Lyskę do tematu pierwszej wojny światowej, czego efektem była wystawa dokumentująca losy bojszowian i mieszkańców ziemi pszczyńskiej otwarta w 2014 roku w Bojszowach, w tamtejszym gimnazjum, w stulecie wybuchu wojny światowej. Ze zgromadzonych materiałów powstała kolejna, ważna dla zbiorowej pamięci Ślązaków albumowa publikacja, która właśnie w styczniu tego roku ujrzała światło dzienne. Nosi tytuł „To byli nasi dziadkowie – w stulecie Wielkiej Wojny 1914-1918”.

Książką „Losy Górnoślązaków w dwudziestym wieku” Lysko poszerzył poruszaną do tej pory tematykę dramatycznych śląskich losów w okresie ostatnich stu lat o ważny rozdział Tragedii Górnośląskiej. Udokumentował, z pomocą zespołu współpracowników m. in. powojenne dzieje Ślązaków (z terenu macierzystych Bojszów, sąsiedniego Bierunia, Chelmu Śląskiego, Imielina i Łędzin), których stalinowski totalitaryzm chciał zetrzeć na proch w obozach niewolniczej pracy. Poznajemy ich wstrząsające wspomnienia – dla tych ludzi koniec drugiej wojny światowej oznaczał dopiero początek gehenny. Niektórzy z nich znaleźli się w samym piekle sowieckiego gulagu, w kopalniach Donbasu (na terenach Ukrainy). Publikację otwiera wspomniny wstęp Stanisława Bieniasza o „Losach Górnoślązaków w dwudziestym wieku” (stąd tytuł publikacji). Poplątane śląskie losy trzeba rozsupływać, bo jak argumentuje Lysko przyta-



czając słowa historyka, prof. Dariusza Gawina:

„w imię prawdy i w celu leczenia samych siebie – trzeba odsłaniać przeszłość. Fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu”.

Jak się szacuje, na Wschód do ciężkich robót wywieziono nawet 90 tysięcy Ślązaków. Powrócił co szósty.

Jednak – co może być pewnym zaskoczeniem – samego tematu Tragedii Górnośląskiej Lysko w Bojszowach nie zamierza rozwijać – nie ukrywa, że wspomnienia o tych czasach są zbyt trudne i zbyt bolesne dla żyjących jeszcze świadków, rodzin ofiar, ich samych i niego (zagadnienie to ciąży mu nawet bardziej niż służba Ślązaków w Wehrmachcie). Lysko poprzestaje na wspieraniu inicjatyw, służeniu radą, doświadcze-

niem pisarskim i redaktorskim osobom, które w sąsiednich gminach zbierają materiały dokumentujące losy Ślązaków. Jako przykład niech służy publikacja pt. „Ożywieni przez miłość i pamięć”, która ujrzała światło dzienne pod koniec 2015 roku. Ofiary wojny z Nowego Bierunia, Bijasowic, Czarnuchowic, Ścierni, Jajost. Znajdziemy w niej życiorysy nowobierunińskich mieszkańców poległych w ostatniej wojnie niezależnie, czy byli cywilami, czy też żołnierzami, niezależnie w jakiej formacji walczyli i jak zginęli. Są tu zarówno żołnierze polscy polegli w kampanii wrześniowej w 1939 roku, polegli w mundurach Wehrmachtu, zamęczeni więźniowie obozów koncentracyjnych, czy żołnierze Polskich Sił Zbrojnych. Całość dopełnia 20 relacji świadków, które ilustrują klimat ówczesnych czasów. W publikacji zgromadzono w sumie 500 biogramów. Jej re-

daktorem i spiritus movens jest oczywiście Alojzy Lysko. Trzeba odnotować również, że Lysko bierze aktywny udział – na ile mu sił i zdrowia starcza – we wszelkich spotkaniach, dyskusjach, odczytach, wystąpieniach poświęconych zarówno tematyce służby Ślązaków w Wehrmachcie, jak i służby w armii kajzerowskiej, czy tematyce Tragedii Górnośląskiej. Nie unika publicznych wystąpień, spontanicznych, a te często wywierają nawet silniejszy wpływ niż jego książki, artykuły, bowiem przez niezwykle charyzmę i dar przekazywania emocji, ma on niesamowitą, wręcz hipnotyczną zdolność wykładania swoich racji i porywania słuchaczy. Niewątpliwym oratorskim talentem Lyski sprawi, że jego głos brzmi jeszcze donośniej niż brzmiałby tylko, gdyby tylko rozlegał się przez stronicę książek.

Prawdą jest więc, że nasz bohater inspirował i inspirował wielu, młodych i starych, kobiety i mężczyzn, Ślązaków i nie-S Ślązaków – z korzyścią dla wszystkich mieszkańców tego Heimatu. A pisząc o tragicznych śląskich losach w dwudziestym stuleciu przyczynił się wydatnie do ukształtowania i utrwalenia ducha śląskiej wspólnoty – bo przecież te problemy, rozterki które występują w Bojszowach są typowe dla każdej śląskiej społeczności. Bojszowy są więc takim mikrokosmosem, małym Śląskiem, w którym odbija się ten większy, Górny Śląsk. Widząc Bojszowy, widzimy jakby cały Górny Śląsk, dotykając problemów tej społeczności, dotykamy problemów całej śląskiej społeczności – i chodzi mi głównie o sprawy zaszłe, historyczne. Przyszłość jest jeszcze niewiadomą, wielką niewiadomą, nie wiemy co przyniesie, co nam zgotuje. Za wcześniej na prognozy.

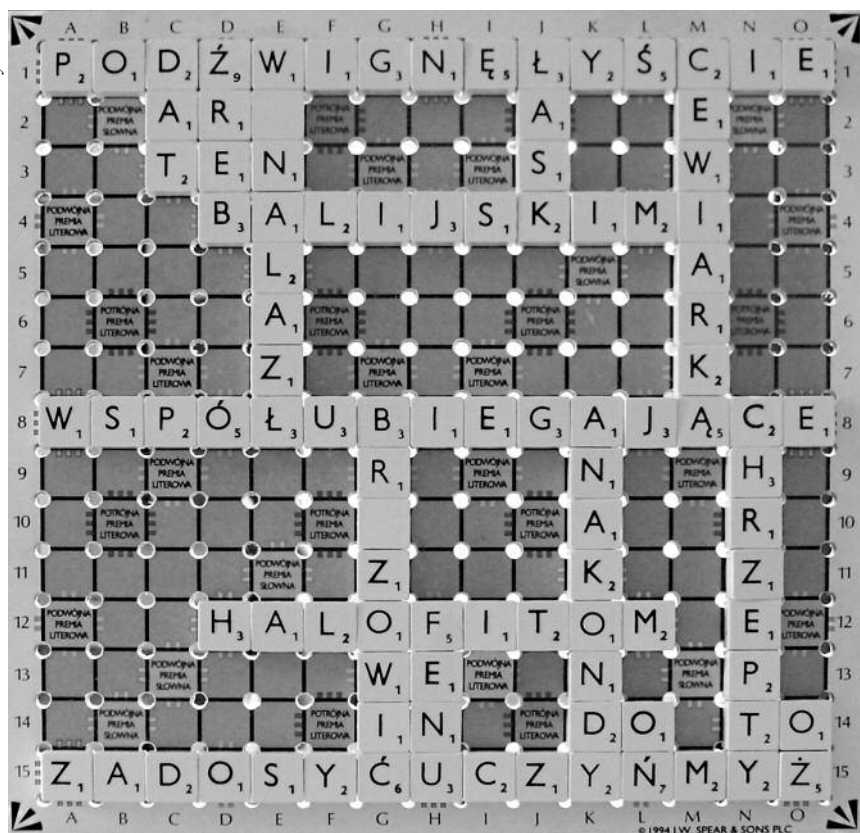
A pisząc o tragicznych śląskich losach w dwudziestym stuleciu przyczynił się wydatnie do ukształtowania i utrwalenia ducha śląskiej wspólnoty – bo przecież te problemy, rozterki które występują w Bojszowach są typowe dla każdej śląskiej społeczności. Bojszowy są więc takim mikrokosmosem, małym Śląskiem, w którym odbija się ten większy, Górny Śląsk.

A skoro Bojszowy są wzorcem, odzwierciedleniem Śląska, jakby ciałem wzorcowym i ideałem zarazem, to czy stworzone tu publikacje wpływają jakoś na resztę regionu? Odpowiedź wydaje się oczywista – śledząc losy naszego bohatera, jego życiową drogę – z Bojszów na cały Górny Śląsk, stwierdzić należy, że jego książki, a zwłaszcza „Duchy wojny” wpłynęły na rozbudzenie śląskości i poczucia wspólnoty Ślązaków (choćby świadomość wspólnych, podobnych wszędzie na Śląsku wojennych losów). A to już jest rola literatury, ważne posłannictwo – tworzenie ducha wspólnoty. ■

(Tekst ten jest skróconą wersją wystąpienia pt. „Postrzeganie Śląska i Ślązaków przez pryzmat twórczości Alojzego Lyski” wygłoszonego 15 października 2015 roku na konferencji „Śląski literacki w XX i XXI wieku” na Zamku w Toszku)

ABC o rzadkich wyrazach w powieściach i w krzyżówkach

Fot. Jerzy Luter



Abecadło

JERZY PASZEK

Lucynie,
za 50 lat wspólnej drogi
i – lektur – romansów

Językoznawcy stwierdzają, że podstawowy zasób polszczyzny ogranicza się do 8.000 słów, a przeciętny absolwent studiów wyższych powinien znać 20.000 (słownictwo czynne) lub nawet 25.000 (słownictwo bierne) wyrazów (*Wielki słownik poprawnej polszczyzny PWN* pod redakcją Andrzeja Markowskiego, Warszawa 2004, s. 1668-1669). Wcześniejsza edycja tegoż podręcznika (*Słownik poprawnej polszczyzny PWN* pod redakcją Witolda Doroszewskiego, Warszawa 1976, s. 702) nie była tak optymistyczna w ocenie bogactwa językowego rodaków, gdyż napisano tam, że „słownictwo czynne przeciętnego Polaka-inteligenta obejmuje kilka

tysięcy wyrazów, słownictwo zaś bierne – kilkanaście tysięcy”. Ale to wszystko i tak brzmi dosyć przyzwoicie i łaskawie (dla posługujących się polszczyzną), gdy przypomnę, iż Charles Kay Ogden wydał w roku 1930 podręcznik *Basic English*, w którym angielszczyznę skomasował i skompromował do 850 najniezbędniejszych w codziennym życiu haseł (nb. Ogden przetłumaczył fragment *Finnegans Wake* Jamesa Joyce’a – zatytułowany *Anna Livia Plurabelle* – na tak właśnie uproszczony język).

Prawda o wymiarach statystycznych zasobów naszego języka jest oszałamiająca, by nie rzec modnie: porażająca. Polszczyzna w ciągu 1000 lat trwania naszego państwa i na całym jego obszarze (gwary, dialekty, narzecza) zgromadziła ponad 1.000.000 jednostek hasłowych, których oczywiście nie zna nawet najdłużej ją studiujący języ-

koznawca (nb. angielszczyzna – w całym okresie swego rozwoju i z zasięgiem globalnym – podobno ma ponad 3.000.000 analogicznych haseł!).

Można zrobić eksperyment, w którym zbadamy nasze kompetencje leksykalne. Wychodząc od „materiału doświadczonego”, zawartego w *Wielkim słowniku ortograficznym PWN* pod redakcją Edwarda Polańskiego (Warszawa 2006), spróbujmy przeczytać uważnie stronie 1 i 384: wśród haseł na literę „a” nawet 75% wyrazów może sprawić kłopot inteligentowi, podczas gdy hasła na „ł” są łatwiejsze do wyjaśnienia, bo tylko kilka z nich (łabuniec, ładuga, łągiew, łagun) – jako profesjonalizmy żeglarskie lub archaizmy (łagiew – ‘bukłak’) zmuszą nas do przeszukiwania dobrej encyklopedii. Tajemnica zbyt trudnych wyrazów na pierwszą literę alfabetu (np. abaka, abakan, abakus, abandon, abazja, abba, abug, abderyta, abdomen, abdukcja, aberroskop, abietyna, abiogeneza, abisal, abitella, abituryna, abiudycja, ablacja, ablativus, ablucja) polega na tym, że są to bez wyjątku wyrazy obce, podczas gdy na literę „ł” (z wyjątkiem haseł wymienionych poprzednio) na stronie 384 leksykonu Polańskiego nie ma kłopotliwych słówek. W tym miejscu warto przypomnieć, że Franciszek Ślaski w swoim *Słowniku etymologicznym języka polskiego* (Kraków 1952-1956, s. 23-24) wymienia tylko 12 haseł na literę „a”: a, aby, ach!, aczkolwiek, aha!, aj!, albo, albowiem, ale, ani, anioł, aż. Inaczej podchodzi do tej kwestii Andrzej Bańkowski, który w *Etymologicznym słowniku języka polskiego* (Warszawa 2000) poświęca 22 stronie pierwszej literze alfabetu, pisząc m.in. o takich słowach, jak: abażur, abdykować, abecadło (po staropolsku: obiecadło), abonament, aborcja, absolutnie, absorbować, abstynent, absurd, adamaszek, adekwatny, adept, adiunkt itp., itd.

Mogę więc przyjąć, że wyrazem rzadkim będzie słowo, które nie mieści się w podstawowym zasobie leksyki polskiego inteligenta. W słowniku frekwencyjnym polszczyzny byłoby to hasło, mieszczące się w przedziale 25.001-100.000 (by pozostać przy wymiarach dykcjonarza Polańskiego, zawierającego co prawda 140.000 haseł, ale około 40.000 z nich reprezentuje nazwy własne). Chcę się też podzielić moim doświadczeniem leksykograficznym: w skrypcie *M-szał słówek* (Katowice 2005) opublikowałem *Słownik trudniejszych wyrazów* (s. 217-303), objaśniający 4.000 pięcioliterowców z całości, liczącej około 24.000 słów, mających tylko 5 liter. Spotkałem się później z pretensjami, że wiele haseł pomiąłem. Chyba potwierdziła się teza, iż rozumiemy niewielką część zasobów polszczyzny: dezyderaty o umieszczeniu dodatkowych haseł (np. admin, amica, blant, dunst, egzyn, kitri, knysz, mangi, ohele, posta, putni, turył, wójci, ziele) pochodziły wszak z ust profesjonalistów, którzy powinni

znać na wrywki nieobjaśnione przeze mnie słówka! Nawiasem dodam, że ten skrypt o nakładzie 800 egzemplarzy w końcu został przeceniony z 30 złotych do jednej złotówki, a i tak dużą część wydania musiałem wykupić przed wysłaniem tej książki na makulaturę.

Beletrystyka

Badając od wielu lat twórczość Stefana Żeromskiego, dochodzę do wniosku, że *Popioły* (w moim wydaniu krytycznym trzy tomy powieści napoleońskiej liczą ponad 800 stron) mogą mieć około 230.000 wyrazów, przy czym zapewne blisko 30.000 z nich formuje odrębne hasła leksykograficzne. Językoznawcy mówią wprost, że te trzy woluminy wyróżniają się zadziwiająco bogatą polszczyzną, a w Poznaniu pod kierunkiem Władysława Kuraszkiewicza opracowano z tego względu słownik frekwencyjny leksyki *Popiołów*.

Żeromski był admiratorem 6 foliałów *Słownika języka polskiego* Samuela Bogumiła Lindego, wydawanego w latach 1807-1814. Mam w swojej bibliotece przepisany przez Zbigniewa Golińskiego rękopis brulionów *Popiołów*, więc mogę naocznie przekonać się, jak wyglądały studia pisarza nad skarbami starej polszczyzny, utrwalonymi przez Lindego. W dwutomowej edycji – w serii „Biblioteki Narodowej” – omawianej powieści mamy o 200 stron więcej niż w wydaniu krytycznym, bo dużo miejsca poświęcono tu w petiowych przypisach na wyjaśnienia takich wyrazów, jak: rsiok, zuchelek, splawa, gozł, połanka, gołoborze, przycieś, janczary (‘dzwonki przy końskiej uprzęży’), miąższy, ozwora, króbkki, pluder, debrejskie liście, pawęż, famulus, seremno, egzaktor, homagium, berajter, infanteria itp. (piszę o tym w eseju: *Trzy incipity ep(o)eiczne. Kraszewski – Żeromski – Gohubiew*, „LiteRacje” 2012, nr 3).

Wedle Vladimira Nabokova, miłośnika *Uliksa* Joyce’a, powieść Irlandczyka ma ponad 260.000 słów (dokładnie: 264.834), a jej zasób leksykalny liczy około 30.000 wyrazów (V. Nabokov, *Wskłady o literaturze*, przełożył Zbigniew Batko, Warszawa 2000, s. 365). Nie są to liczby zbyt dalekie od przypuszczalnych (badań poznańskich, dotyczących frekwencji słów w *Popiołach*, nie ogłoszono) rozmiarów tekstu i różnorodności leksyki powieści o Rafale Olbromskim! Z bogactwem języka *Uliksa* wiążą się dwie anegdoty. W pierwszej z nich pojawia się Leonard Neuger, który, nim wyemigrował do Szwecji, przekonywał kolegów z Katowic, że nie może przekroczyć w lekturze pierwszej stronicy grubego tomiszcza, bo jako pacyfista nie wie, co to jest – w przekładzie Macieja Słomczyńskiego - działobitnia na wieży obronnej nad Zatoką Dublińską (Batko termin wojskowy oryginału – „gunrest” – tłumaczy jako

tajemniczą „barbetę”; czytelnicy angielscy też nie znają słowa użytego przez Joyce’a, które oznacza pionową podpórkę na okrągłej podstawie, ułatwiającą celowanie z muszkietu czy hakownicy).

Druga anegdota dotyczy sztuczek pisarskich Joyce’a, do których zaliczają się m.in. muzyczne leitmotywy. Jedną z takich persewerujących fraz jest pytanie Molly (Marion) Bloom o sens słowa metempsychoza. Nie potrafi nawet przeczytać tego obcego wyrazu, więc mówi do męża niewyraźnie, gdyż on pyta: „Mnie tam co?” (J. Joyce, *Ulikses*, przełożył M. Słomczyński, Kraków 1997, s. 63). Okazuje się w dalszych fragmentach tekstu, że „Nazwała to mnie tam psy chodzą, zanim nie powiedziałam jej o wędrownie dusz” (*Ulikses*, s. 152; na s. 64 mamy też prześmiewczy czasownik Bloom: „metempsychodzić”). W oryginale pojawia się tak samo zrzeczny kalambur: „Met him pikehoses, she called it” (J. Joyce, *Ulysses*, Harmondsworth 1968, s. 153). Warto dodać, po skolajonowaniu tekstu angielskiego i polskiego, że Bloom naprawdę nie mówi „metempsychodzić” – jak chce Słomczyński – lecz poprawnie, czyli „metempsychosis” (*Ulysses*, s. 66). Tłumacz tak zachwyił się swoim konceptem, że wkłada go w miejsca, w których autor pominął naigrawanie się męża z ignorancji żony! Oczywiście w innych miejscach, gdzie czytamy: „Mrs Marion met him pike hoses” (*Ulysses*, s. 268), tłumacz powinien powrócić do udanego kalamburu (*Ulikses*, s. 267: „Pani Marion mnie tam psy chodzą”). Na tej samej stronicy zauważyłem dowcipnie określenie „doremifajka”, przebijające oryginalną frazę „chord pipe” (*Ulysses*, s. 267). By zakończyć sławnymi w kręgach badaczy sztuki translatologii słowami Tadeusza Rachwała: „przekład lepszy od oryginału!”.

Uważam, że recepcja *Popiołów* i *Uliksa* jest podobna, bo w obu powieściach czytelnik styka się z olśniewającym bogactwem słownictwa Polaka i Irlandczyka (wersja dla znawców!) lub zderza z twardym murem, złożonym ze słówek-cegiełek, które zdecydowanie nie należą do podstawowego i powszechnie znanego magazynu wyrobów cegłopodobnych (wersja dla opornych odbiorców). Wiem, iż nawet polscy lingwiści (myślę nie o poetach!) nie zauważają takich rzadkich wyrazów Żeromskiego, jak obar (zapach sosny) bądź poobiedzie (pisane łącznie oznacza sjęstę!), a piszą o zapachach w dorobku młodopolanina (zob. B. Bartnicka, *Świat doznań zmysłowych (węch, smak, dotyk)*, Kraków 2007, seria „Słownictwo Pism Stefana Żeromskiego”). Joyce nie używa tytu archaizmów co Żeromski (choć inicjalny „gunrest” jest znakomitą przykładem możliwości stylizacji i nawiązywania w powieści do dawnych czasów, a szczególnie do Szekspira), ale wprowadza odbiorcę w zakłopotanie swoimi grammi słów; w rozdziale o re-

dakcji gazety pojawia się 96 różnych figur retorycznych.

Kalambury z *Uliksa* zagościły na dobre i rozpanoszyły się niemiłosiernie (dla cierpiącego, choć ciepłego czytelnika) w powieści-poemacie *Finnegans Wake* (1939), przetłumaczonej ostatnio na język polski przez Krzysztofa Bartnickiego (*Finneganów tren*, Kraków 2012), który przetransponował dubliński slang i argot na śląszczyznę (piszę o tym w eseju „*Mszasakrada*”). Jak dziennikarze (s)potykali się z „*Finneganów trenem*”? w tomie zbiorowym *Transdyscyplinarność badań nad komunikacją medialną* pod redakcją Małgorzaty Kity i Magdaleny Ślaskiej, Katowice 2013).

Finnegans Wake ma w każdym poważnym i poprawnym wydaniu 628 stron, na których autor zmieścił ponad 50.000 różnych wyrazów, a w tym 10 słów 100-literowych, sygnalizujących grzmoty piorunów. Niektórzy badacze (np. Petr Skrabanek w artykule *Night Joyce of a Thousand Tiers*, dostępnym w Internecie) sądzą, że neologizmy Joyce’a opierają się na morfemach pochodzących z 77 języków! Oczywiście, niemożliwe jest, by dokładnie co do joty udało się odtworzyć w innym języku semantykę tych superkalamburów – jak je nazywa Nabokov. Chodzi o to, że niektóre wyrażenia i frazy mają po kilka (a są takie, które lśnią wachlarzem 8 desygnatów i aluzji) znaczeń, co jest nieprzekładalne. Czytając na dwie ręce oryginał i translację Bartnickiego niekiedy miewamy złudzenie, iż spod mglistego woalu harmonijnie zestrojonych wyrazów prześwitują zarysy i cichutko wybrzmiewają głosy, przypominające nam coś znanego z dookólnej rzeczywistości.

Crosswords

Angielska nazwa krzyżówki dookreśla, że w tej zabawie dochodzi do skrzyżowania wyrazów i do nakładania się liter jednego słowa na litery innego leksemu. Niekiedy, w najtrudniejszych kompozycjach, które nazywa się kwadratami magicznymi, nie ma ani jednego czarnego pola, oznaczającego granice pomiędzy odgadniętymi hasłami. Najśłynniejszym arcymagicznym kwadratem jest krzyżówka o strukturze palindromu:

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S

w której użyto łaciny na tyle niezwyklej, że trudno odgadnąć, o co w tej tajemniczej wypowiedzi może chodzić. Niektórzy (anonimowi internauci) chcą, by ta stara sentencja miała sens: „Siew-

ca Arepo z trudem wstrzymuje koła” bądź też: „Siewca przy swym wozie kieruje pracami”. Julian Tuwim w słynnym „panopticum” *Pegaz dęba* twierdził, że nie można wytłumaczyć bezdyskusyjnie tej antycznej zagadki.

Z młodości pamiętam rekordowy polski kwadrat magiczny, ułożony przez Stanisława Sobolewskiego (pseudonim Esse), a opublikowany w katowickim czasopiśmie „Szaradziści” pewnie jeszcze przed rokiem 1960. Oto rewelacyjna, moim zdaniem, kompozycja, składająca się z oktetu 8-literowych hasel:

K U B A T U R A
U K A L E G O N
B A B I M O S T
A L I G A T O R
T E M A T O W A
U G O T O W A N
R O S O W A T O
A N T R A N O L

Cztery wyrazy mają obce pochodzenie (KUBATURA, UKALEGON, ALIGATOR, ANTRANOL), a i tak w dwu wypadkach okazują się dość rzadkimi słowami: Ukalegon jest w eposie Homera przedstawicielem trojańskiej starszyny, antranol zaś to nazwa leku (anthranol), składającego się z kryształków rozpuszczalnych w organizmie (jak podpowiadają obcojęzyczne tezaury). Pozostałe wyrazy posiadają polskie korzenie: BABIMOST jest nazwą miasta w województwie lubuskim; hasło UGOTOWAN uznaję za archaiczną formę imiesłowu „ugotowany”; TEMATOWA to przymiotnik, mogący dziś być zastępowany przez epitet „tematyczna”; ROSOWATO jest zapewne neologizmem Essego o semantyce zbliżonej do przysłowka „rosisto”, znanego Lindemu; a może Esse myślał o frazach niemieckich: „rosowato-lila” czy „rosowato-violet”? Językoznawcy twierdzą, iż budowa rdzeni wyrazów słowiańskich nie pozwala na regularności charakterystyczne dla słów KUBATURA czy ALIGATOR. Stąd podziw dla Essego za jego próbę nawiązania do światowych rekordów.

Z takim „światowym” (w kilku sensach) kwadratem magicznym mamy do czynienia, gdy wpatrujemy się w dekadencją dekadę 10-literowców, ułożoną przez Jaffa Granta w 1985 roku (korzystam z książki Krzysztofa Oleszczyka *Encyklopedia rozrywek umysłowych*, Konstancin-Jeziorna 2007, s. 254):

A P O L I T I C A L
P R O E M E T I N E
O O T S P R I N G S
L E S T U N N E L S
I M P U T I E R E N

T E R N I T R A T E
I T I N E R A T E S
C I N E R A T O R S
A N G L E T E R R E
L E S S N E S S E S

Bezspornymi słowami angielskimi są tu: APOLITICAL, CINERATORS (krematoria), ITINERATES (od: wędrować), LESSNESSES (niższości). IMPUTIEREN to czasownik niemiecki, a ANGLETERRE i LESTUNNELS (pisane rozłącznie: LES TUNNELS) są rzeczownikami francuskimi. PROEMETINE to lek na wymioty (emetyna plus przedrostek pro-); TERNITRATE (inaczej: TRINITATE) jest terminem chemicznym (azotan bizmutu); OOTSPRINGS jest pewnie graficznym wariantem OUTSPRINGS. Z tego rodzaju wywodów wypływa wniosek, że im wymyślniejsza krzyżówka, tym częściej jej autor wyszukuje bardzo rzadkie słowa!

Tak jest i z krzyżówkami układanymi na planszach przez skrablistów. Podam anegdotę, związaną z analizą posunięć najlepszych graczy. Dwaj z nich, zapisując ruch po ruchu swe partie (a obaj osiągnęli niebotyczny wynik: ponad 500 punktów przypadło na każdego), dyskutowali, dlaczego jeden z nich nie zagrał rzadkiego słowa PRZETAİN. Odpowiadający rzekł, że brał pod uwagę tę formę rzeczownika PRZETAİNA (sens: ‘miejsce na śniegu, lodzie, gdzie śnieg albo lód stopniał do samej ziemi, a utrzymuje się dookoła’; podaję za 11 tomem – suplementowym – *Słownika języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego), ale nie wyzyskał jej ze względów strategicznych. Jeżdżąc na przedwiośni w samochodach synów, z pewną zarozumiałością tłumaczę im nierówności na drodze właśnie zjawiskiem o nazwie PRZETAİNA!

Od roku 2011 układałem kompozycje skrablowe, które są lepsze od rekordu Polski z roku 2006, autorstwa Marka Redy (wynałazł cenny 15-literowiec ZADOSYĆCUCZYNYMYŻ, obecny tylko w dawnej edycji *Słownika poprawnej polszczyzny*), a wynoszącego 3.973 punkty. Najpierw przekroczyłem barierę 4.000 punktów, o czym poinformowałem czytelników „Gazety Uniwersyteckiej UŚ” (2012, nr 5) w tekście pt. *Dzięki barbórkom*. Potem przez 2 lata dążyłem do przeskoczenia 4.100 punktów, co było tematem eseju *Siedem pojedynków ze skradającym się krabem w „Śląskich Studiach Polonistycznych”* (2013, nr 1). W roku 2014 przekroczyłem 4.100, bo uzyskałem 4.111 punktów, o czym wspominałem w „Śląsku” (2015, nr 4), a Marek Piechota potwierdził tenże rekord („Śląsk” 2015, nr 8).

30 marca 2015 roku ułożyłem krzyżówkę, której wartość punktowa dobiła do 4.146 punktów. Nie będę ukrywał, iż decydujące okazało się wtedy wyszukanie słowa CHRZEPT (wedle Lindego jest to ‘międzyłopatec’, a w ka-

szubszczyźnie ‘plecy’ i ‘grzbiet’), tuż po eliminacji środkowego 15-literowca WSPÓLPRACUJĄCEJ na rzecz mającego tylko jedną literę „p” (potrzebną w CHRZEPTACH) imiesłowu WSPÓLUBIEGAJĄCE. Podaję kolejność 26 ruchów, które zaczynam od pola H7 (rezygnuję w wyliczeniu ze słowa „punkty”): 1. BIEGAJĄ (90), 2. CHRZEPT/BIEGAJĄC (97), 3. TO (3), 4. MY/CHRZEPTY (18), 5. WSPÓLUBIEGAJĄCE (410), 6. ANAKONDY (72), 7. DO (3), 8. CZY (5), 9. BR[A]ZOWIĆ (66), 10. SYĆ (9), 11. HALOFITOM (142), 12. FE/WE (8), 13. FEN/IN (9), 14. ZADOSYĆCUCZYNYMYŻ/FENU/OŃ/OŻ (1355), 15. W[Y]NALAZŁ (70), 16. AR[Y] (2), 17. EN/RE (4), 18. OD/DA (6), 19. TEN/DAT (18), 20. AL (3), 21. WIG (5), 22. BALIJSKIM/REB (136), 23. CEWIARKA/BALIJSKIMI (99), 24. CI (3), 25. ŁASK (9), 26. PODZWIGNĘŁYŚCIE/ŻREB (1504). Planszę z tą krzyżówką można ujrzyć w Internecie: <http://pokazywarka.pl/roznosci-iciekawostki/>:

Uważam, iż wiele tu jest rzadkich wyrazów, począwszy od 2-literowych (AL, IN, OŻ), poprzez 3-literowe (REB, WIG), 4-literowe (FENU, ŻREB), aż po 8-literowe (CEWIARKA) i 9-literowe (HALOFITOM). AL jest dopełniaczem liczby mnogiej od ALA, czyli oddziału jazdy Rzymian; IN to inna wersja ortograficzna chińskiego – JIN, YIN; OŻ to wykrzyknik OŻEŻ, jak tłumaczy *Słownik Polańskiego*; REB – to żydowskie określenie grzesznościowe; WIG – to członek angielskiej partii politycznej; FENU jest dopełniaczem liczby pojedynczej rzeczownika FEN, czyli wiatru górskiego; ŻREB jest dawnym oznaczeniem działki, uprawianej przez jedną rodzinę; CEWIARKA jest pracownicą zakładu przetwarzającego przędzę. HALOFITY (‘słonorośla’) można tu zastąpić tak samo „drogocennymi” HELOFITAMI (‘roślinami błotnymi’), jednocześnie przekształcając środkowy 15-literowiec z formy mnogiej na pojedynczą (WSPÓLUBIEGAJĄCE na WSPÓLUBIEGAJĄCA).

Na zakończenie prezentuję przerobiony przeze mnie (zamiast MONOGINIA daję MONOGİNIE) 3-literowy kwadrat magiczny Essego, nie bez kozery (patrz: dedykacja) wychwalający MONOGAMIĘ:

M O N
O G I
N I E

MON to dopełniacz liczby mnogiej od rzeczownika MONA (małpa z rodziny koczokodanów), OGI jest wachlarzem japońskim, zwanym też SENSU; objaśnianie partykuły przeczącej NIE oczywiście nie ma sensu!

z **JERZYM KĘDZIORĄ**, światowej sławy artystą-rzeźbiarzem z Częstochowy, autorem słynnych rzeźb balansujących rozmawia ELŻBIETA PISARCZYK

Zdjęcia: Bartłomiej Kędziora



Wpisując w wyszukiwarce internetowej nazwisko Jerzego Kędziory, ukazuje się mnóstwo informacji o coraz to nowych sukcesach, działaniach i dokonaniach w różnych stronach świata. Przeglądając stronę: Jerzy Kędziora Balancing sculpture, wcale to nie musi dziwić. Szczególnie rzeźby balansujące, firmowy wyróżnik artysty, robi niesamowite wrażenie. Z innych jeszcze źródeł: artykułów, katalogów, albumów, rozmów z animatorami kultury jawi się on jako heros plastyki o szczególnej osobowości.

Obywatel świata z Częstochowy

– Właśnie wraca pan z Florydy z nagrodą. Mógłby pan zdradzić sekret dotyczący tego wydarzenia...?

– A o którą nagrodę pani pyta? Pobyt na Florydzie zaowocował kilkoma. Jedną z sympatyczniejszych było proklamowanie *Dnia 27 lutego*, moim dniem w Miami. Jeśli o tę chodzi (to jeśli precyzyjnie mi tłumaczono), w lau-

dacji podkreślano oryginalność mojej sztuki i to, że wprost rzucała się w oczy, na co większych imprezach na Florydzie. Nie bez znaczenia, a może nawet decydującym był fakt, że sztuka ta zrodziła się w trakcie zmian ustrojowych w naszym kraju i mocno w te zmiany się angażowała.

– A inne, choćby krótko?

– Byłem laureatem kilku, konkretnie czterech konkursów na rzeźby dla miast na Florydzie. W konkursie w Lakeland odebrałem dwa laury: jury i publiczności, co w tej imprezie, organizowanej od kilkunastu lat, zdarzyło się po raz pierwszy. Polonia amerykańska nadała mi swoje najwyższe odznaczenie, Złoty Medal, który raz do roku,

na specjalnym balu węża wybrancom wyszukiwanym według specjalnych kryteriów. Za takie wyróżnienia, wprost nagrody uważać należy, zaproszenia na specjalnych warunkach, na poważne, o światowej skali i renomie imprezy od Nowego Jorku po San Diego, albo łamiąc kolejki wyczekujących zorganizowanie dużych, indywidualnych wystaw w muzeach tej miary co Ann Norton w West Palm Beach i MoCA w Nord Miami.

– Od początku, będąc jeszcze studentem Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, był pan artystą „niepokornym” stając w opozycji do promowanych przez uczelnię kanonów artystycznych. Skąd czerpał pan inspiracje?

– Nie przeceniamy tej niepokorności. Nie nadużywamy tego określenia. Postawa taka wynikała bardziej z chęci łatwiejszego przebrnięcia przez program studiów, załatwienia go niejako „lewą ręką”. Potrzebowałem więcej czasu na inne działania w kulturze studenckiej, w dużej części pozauczelniowej, stąd wiele pomysłów na rozwiązywanie stawianych przez prowadzących problemów, a mniej dociekań nad ich ostatecznymi rozwiązaniami. Taki tryb bardziej konceptualnego traktowania plastyki w owym czasie, na naszej uczelni, moim wydziale nie był praktykowany. W pracowni mojego profesora, zwolennika rzeźby ciężkiej, kamiennej, zsyntetyzowanej o lapidarnym modelunku, idee które ja bym mógł realizować w takim kanonie zawłaszczyli już moi starsi koledzy, obecnie wybitni twórcy, choćby Staszek Radwański czy Majka Kuczyńska. Aby jakoś zaistnieć czyniłem próby wywracania tych wartości. Rozwahałem formy lżejsze, bardziej rozgadane, z obcymi wtrąceniami.

– Przemiany społeczno-polityczne lat 80. i 90. związane z protestami, których był pan świadkiem jako student, znalazły odzwierciedlenie w pana twórczości?

– Jako student uczestniczyłem w wydarzeniach '68 i 70 roku na Wybrzeżu i mocno zapadły mi one w świadomość, wprost wrosły w naturę. Dlatego wydarzenia i sytuacja z lat 80. i 90. szukały ujścia w mojej twórczości z tak dużą intensywnością. Życie społeczeństwa było czynnikiem ważniejszym, większą podniętą i wyzwaniem dla działań artystycznych niż wyzwania prowokowane przez kreatorów życia artystycznego. Człowiek rozbity, zagubiony, niepewny, okaleczony, z nadwagłą kondycją był ważnym punktem odniesienia, wartym pochylenia się nad nim. Należało mu się bliżej i uważniej przyjrzeć. Odnotować go. Jego problemy. Skomentować jego postawę.

– W tworzeniu których rzeźb wyrażenia te znalazły odzwierciedlenie?

– Zdarzyło się to w wielu cyklach, często w całych seriach dzieł i nie tylko w rzeźbach. Były w nich m. in. *Pęknięty głos, Fałszywi prorocy, Wieszaki dla, Uniformy dowódcze, Tablice do nauki historii, Uwikłani, Z odciągami, Ryśunki nitką*. Z większych jednostkowych, kamiennych to chociażby *Calun Polski, Oswobodzona*. Znaczące były również *Wyznanie, Drogowskaz, Wskazówka*. To pierwsze wygrało najważniejszy, papieski konkurs rzeźbiarski artystycznego podziemia. W tym czasie liczyły się nie tylko same dzieła, ale ich konteksty wystawiennicze, akcje, działania i to było ich siłą i znaczeniem. Akrobaci z krzesłem przed ratuszem, czy balansjerka przed Urzędem Miejskim miały swoją wymowę, obrosły anegdotami.

– Powiedział pan kiedyś: *Uważam się za kreatora i pewnego rodzaju „niewolnika idei”, którą muszę zrealizować. Co to za idea?*

– Nie pamiętam kiedy i w kontekście jakich działań to powiedziałem, ale dotyczy to raczej mojego podejścia do tworzenia sztuki, kolejnego dzieła, projektu czy obiektu artystycznego niż do kolejnej, konkretnej idei, którą realizowałem. Chodziłoby raczej o to, że jako twórca, jestem bliżej zdyscyplinowanego projektanta, z dopracowanym pomysłem, niż nastawionego na romantyczne, częściej oderwane od rzeczywistości działania malarskie czy rzeźbiarskie, rozgrywane artystyczną materią artysty.

– Pana rzeźby znalazły się na prestiżowych wystawach m.in. w Miami, Abu Dhabi, Madrycie, Berlinie, Londynie, Dubaju czy na Florydzie. To wielkie wyróżnienie...

– Rzeczywiście. Moje rzeźby uczestniczyły w wielu znaczących imprezach w różnych zakątkach świata. Były we wszystkich tych miejscach, które pani wymienia i w wielu jeszcze innych. Wielokrotnie same z siebie stanowiły prestiżowe wydarzenia (tak określały to media, krytycy), tworząc duże ekspozycje w ważnych, znaczących publicznych przestrzeniach i szczególnym czasie. W Dubaju moje wystawy (były dwie), eksponowane były w DIFC (rządowym centrum finansowym). To duży symboliczny, kompleks urbanistyczny tego miasta. W Emiratach porównywalny z hotelem-żaglem i najwyższym budynkiem świata. Jego założenie urbanistyczne tworzyło bardzo atrakcyjny, otwarty salon wystawienniczy dla moich balansjerów. Załuki ekspozycyjne ułożone były na różnych wysokościach. Tworzyły je tarasy i ciągi piesze z pięknymi posadzkami, trawnikowymi dywanami i lustrami akwenów. Okolone były szklanymi elewacjami wzbogacanymi układami wodnych kaskad i cieków, detalami z kamiennych, drewnianych i innych

szlachetnych budowlanych materiałów. Całości dopełniała egzotyczna roślinność i niepowtarzalna iluminacja obiektów architektonicznych i urbanistycznych. Rzeźby miały swój złoisty kolor doświetleń. Pierwsza wystawa towarzyszyła Światowemu Tygodniowi Biznesu i Kultury oraz najważniejszej w tamtym czasie imprezie artystycznej Wschodu – Art Dubai. Szejk zaryzykował pokazanie postaci ludzkiej w otwartej przestrzeni, co było wydarzeniem bez precedensu w tamtej strefie kulturowej, wielce szanującej i przestrzegającej wytycznych koranu, który takich przedstawień nie dopuszcza. Podobno decydowały wielkie wartości etyczne rzeźb i nieprawdopodobne, trudne do pojęcia ich cechy grawitacyjno-konstrukcyjne, a takie walory w Dubaju liczą się szczególnie. To tak dla przykładu.

– Największy stały zbiór rzeźb balansujących posiada Fundacja Sztuki przy berlińskich Klinikach Czerwonego Krzyża. Dlaczego właśnie Berlin?

– Tak się miłe i ciekawie złożyło. Wystawa tych rzeźb uświetniała finalizowanie przekształcania w zjednoczonym Berlinie dwóch systemów ratownictwa medycznego w jeden ogólny. Wystawa bardzo się podobała a dodatkowo ordynatorzy niektórych klinik i ich pacjenci wyczuli w nich pozytywną energię i dalsze jeszcze wartości terapeutyczne. Przy tym przeszły one dodatkowy test – wielkie tornado, które wyrwało kilka drzew, wyłamało wiele konarów na i wokół promenady wystawienniczej, ale żadnego z tych, do których zamocowane były liny unoszące rzeźby. Nie stanowią one już, te rzeźby, stałego zbioru, ale rozproszyły się po Berlinie i usadowiły przy różnych obiektach służby zdrowia.

– Rzeźby „balansujące” podbijają świat. A gdzie w Polsce możemy je oglądać?

– Pojedyncze utwory można zobaczyć między innymi w Sopotcie, Katowicach, Częstochowie, Kamyku, Bydgoszczy, Busku,... Większy zbiór zafundował sobie jurajski Olsztyn, gdzie powstała aleja takich rzeźb a w centrum miasteczka dodatkowo wabią do niej jeszcze dwa inne, niewieście dzieła. Pewne zestawy „balansowe” są do obejrzenia w parkach Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku i Centrum Kongresowego Krakowa-Dworze w Tomaszowicach. Bywają również w Poczesnej Galerii Rzeźby, przed moim studium w Poczesnej.

– Jako częstochowianin nie zapomina pan o rodzinnym mieście... (np. wystawa w 2012 r. w parkach podjasnogórskich czy na placu Biegańskiego).

– Częstochowa to rzeźb balansujących i mój matecznik. Tu większość ich powstała i tu miały swoje premierowe pokazy: indywidualne, w większych zesta-





wach i w dużych indywidualnych ekspozycjach. Żeby było jasne. Wystawy tych utworów w klasztorze jasnogórskim nie było. Były prezentowane w parkach podjasnogórskich na zboczu Jasnej Góry. W klasztorze wystawiałem się z innymi pracami przy innych okazjach.

– **Częstochowski Urząd Miasta zdecydował, żeby uhonorować swojego**

słynnego rodaka i stworzyć „Teatr Przestrzenny Rzeźb Jerzego Kędziory”. Podobą się panu ten pomysł?

– Tak, oczywiście, bardzo mi się podobają pomysły, aby w przestrzeniach publicznych pokazywane były moje rzeźby. Szczególnie atrakcyjne są zamówienia na większe zbiory utworów połączonych dodatkowo pewnym kluczem ide-

owym, dla precyzyjnie wybranego miejsca i profesjonalnie traktowane. Takim może stać się ten Teatr na Rynku Starego Miasta. Jest to dla mnie miłe wyróżnienie i szczególny honor. Mogę się zastanawiać czy podołam wyzwaniu współziomków, bo generalnie czuję ich sympatię. W świecie wiele miast szczydzi się swoimi twórcami. To wzbogaca ich



koloryt, pokazuje bogactwo kulturowe. Bywa, że wybieramy się specjalnie do pewnych miejsc, aby zobaczyć dorobek swego ulubieńca...

– **Ostatnio, balansowanie weszło nawet do rozwiązań pomnikowych...**

– Rzeczywiście. W ostatnio realizowanym pomniku Louisa Armstronga przed Filharmonią Częstochowską, mi-

mo dość klasycznego założenia: cokół i figura, ta ostatnia balansuje. No może dyga, porusza się. Zleceńodawcy, Stowarzyszenie Jazzu Tradycyjnego nie widzieli, nie chcieli tam innego rozwiązania. Ale już wcześniej, niektóre z rzeźb przeszły na takie pozycje. Bydgoski „Idący nad Brdą”, który jest symbolem wejścia tego miasta do Unii

Europejskiej, przez jego społeczność wpisywany jest w szranki pomnikowe.

– **Jest pan laureatem wielu znaczących nagród, wyróżnień i uhonorowań... nawet typu Honorowy Obywatel Miami....**

– Faktycznie uzbierało się tego trochę. Kiedyś powiedziałem, że jak się drwa rąbie to wióry lecą, czasem nawet lukrowane. Tak, to miły, czasem wprost zawstydzający mnie, onieśmielający sposób wyrażania uznania dla pracy, którą wykonuję, dla prezentowanej postawy. Oczywiście należy rozróżnić pewne kategorie tych uhonorowań. Jedne to są nagrody otrzymywane w ramach konkursowych zmagających i wydarzeń i te są zgodne z regulaminem takich imprez a inne uznaniowe, często miłe i bardzo zaskakujące, jak chociażby ten Honorowy Obywatel Miami.

– **Komentatorzy pana twórczości zgodnie podkreślają „osobną jakość” w odniesieniu do rzeźb balansujących: że rewolucja ... czwarty wymiar ... niesamowita energetyczność ... że zaskakujące... a jak pan postrzega to zjawisko, ten fragment pana twórczości?**

– O szczegóły tych wypowiedzi należało by pytać samych komentatorów. Ja nie podejrzewałem zabiegu z balansowaniem, że robi tyle szumu i zamieszania wokół siebie, ale oczywiście czułem, że robię coś wyjątkowego. Wydaje mi się, że w dalszym ciągu jestem jedynym w świecie rzeźbiarzem, który wyniósł klasyczną rzeźbę w „prze-stworza” i ustawił jednym punktem na zupełnie nowym, chybotliwym postumencie jakim np. jest lina. Teraz, po dwóch dekadach tworzenia tych utworów, poddawaniu ich publicznej ocenie, moja wiedza o tym jak są postrzegane jest pełniejsza, obszerniejsza i byłoby nierozsądnym nie przyjmować niektórych ich określeń, dopowiedzeń i doopowiedzeń.

– **Które z tych określeń wydały się panu najbardziej zaskakujące, trafne, warte utrwalenia?**

– Wiele z nich. I chociaż w różnym stopniu je akceptuję, czy się z nimi zgadzam, to przecież wystawiając je pod publiczny osąd, musiałem się liczyć z zewnętrzną krytyką i osądem. Jeszcze do niedawna, do czasu wyjazdu za wielką wodę, powiedziałbym, że jest mi głupio, nieswojo, nie zasługuję... bo znacznie częściej spotykam się z uznaniem i określeniami pozytywnymi a nawet bardzo pozytywnymi i ustawiającymi moje dokonania na najwyższej półce współczesnej plastyki. I dobrze, i miło, że tak jest, chociaż konstruktywną krytykę bardziej sobie cenię, ale tej tutaj zdradzać nie będę. Zatem po amerykańsku. – Nie będę odrzucał a wprost przeciwnie, czasem wprost arealnie, w pewnych kontekstach będę potwierdzał, że wprowadzam czwarty wymiar,



Pracownia Jerzego Kędzióra w Poczesnej

że znalazłem prawdziwy, naturalny i w rytmie natury ruch postaci, którego od kilku tysiącleci poszukiwali rzeźbiarze dla swoich twórców, że spełniam marzenia wielu o możliwości oderwania się od ziemi, że w najprostszy sposób wyrażam stan zawieszenia między dwoma przeciwległymi stanami egzystencji... można by je mnożyć. Ale może jeszcze jedno, które przychodzi mi na myśl, a właściwie apel, że do historii sztuki należałoby wprowadzić rozdział, albo chociaż akapit – *rzeźba balansująca*. I z tym nie będę walczył, nie będę się przeciwstawiał takim zabiegom (*uśmiech*).

– O pana twórczości, jej aspektach można by przedstawić kilka równie cie-

kawych opowieści. W 2015 roku ukazał się piękny, nagradzany album autorstwa Elżbiety Siwik *„Jerzy Kędziór na krawędzi imaginacji”* i mimo że jest to niezwykle interesująca opowieść o rzeźbach balansujących, to przeglądając kalendarium i katalog pana dorobku wydaje się, że bardzo mało pana znamy, my częstochowianie, a mieszkańcy Śląska jeszcze mniej.

– Proszę poznawać, przybliżać. Jestem do dyspozycji. Jeśli nie osobiście, to może przez fundację Art & balance, którą powołaliśmy z dziećmi i której jednym z celów jest utrwalanie mojego dorobku i promowanie go.

– Jest pan również pomysłodawcą i projektantem rzeźb wróżebnych

„Polskich postaci legendarnych i prehistorycznych”.

– ... i kilku jeszcze innych cykli artystycznych...

– Jakich?

– Na przykład *Portretu Polaka Czasów Transformacji*, *Orszaku Flory*, *Dalekowschodnich Wojów* – to niektóre z tych, z którymi można było, czy w dalszym ciągu tworzy się, większe, często o międzynarodowej, międzykontynentalnej skali działania i akcje; *Wielka Prezydentka Symultana*, *Budowanie Gniazd*, *Zaklinanie przestrzeni*, *Łowienie Gwiazd*...

– Wśród wielu nagród i wyróżnień ma pan w swoim zbiorze tzw. nagrody „śląskie”, m.in. Nagrodę artystyczną Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury (2010), nagrodę honorową „Marka-Śląskie” (2014)...

– Tak. Na Śląsku otrzymałem wiele nagród w lokalnych konkursach plastycznych z Katowic, Chorzowa, Zabrze, Jastrzębia,... Ponadto swoimi laureatami uhonorował mnie Marszałek Województwa. Mam odznakę Zasłużonego dla Województwa, Nagrodę Karola Miarki, a jeśli pod Śląsk podciągnąć nasz region to jeszcze szereg nagród z tego terenu. Tu też mam kilka nagród za rozwiązania pomnikowe z konkursowych szranków.

– Dziękuję za rozmowę.

Częstochowski Urząd Miasta zdecydował, żeby stworzyć dla prac artysty „Teatr Przestrzenny Rzeźb Jerzego Kędziory”. Ma on powstać na Starym Rynku. Dlaczego? Można przyczyn znaleźć wiele – mówi Elżbieta Ideczak-Łydzba, pełnomocnik Prezydenta Miasta ds. Estetyki Miasta. – Pierwsza i najważniejsza to inicjatywa radnych naszego miasta, którzy od dawna zabiegali, aby tak znaczącego artystę, który odnosi sukcesy w świecie uhonorować. Uznali, że warto znaleźć miejsce, które będzie przyciągać mieszkańców miasta i turystów. Chodzi o to, aby na niedużym obszarze umieścić wszystkie jego rzeźby, aby się nimi nasycić, nacieszyć. Uznaliśmy, że Stary Rynek po rewitalizacji będzie idealnym miejscem na taką ekspozycję. Przeprowadziliśmy konkurs. Można powiedzieć, że miał on wymiar międzynarodowy, ponieważ zwycięzca Michał Bernasik, w czasie trwania konkursu mieszkał w Niemczech. Czas rozpoczęcia realizacji projektu przewidziany jest na rok 2017/2018. Teatr Rzeźb ma być teatrem przestrzennym, w większości pod gołym niebem. Chcemy, aby dzięki pracom, pochodzącego z Częstochowy wybitnego artysty stał się atrakcją turystyczną miasta.

Jerzy Kędziora

Rzeźby balansujące



Zdjęcia: Bartłomiej Kędziora





Cisza Przemijania



Zamyślenie



Jej Wysokość – Dekadencja



50 Magiczny ogród

Grzegorz Bialik

malarstwo



51 Magiczny zakątek

Artysta – malarz Grzegorz Bialik (ur. 1957 r.) dzieciństwo spędził na Śląsku, wśród malowniczych pól i lasów, ale i w krajobrazie z widokiem na kopalnię Boże Dary w Kostuchnie. Pokoleniowo związany jest z Podlesiem (dzielnica Katowic).

Malarstwem interesował się od najmłodszych lat. Służbowe oddelegowanie ojca artysty do pracy w Moskwie spowodowało, że przez prawie pięć lat uczęszczał tam do szkoły. Pobyt w Moskwie pozwolił mu zapoznać się z dziełami prezentowanymi w tamtejszych muzeach i galeriach.

Po powrocie rodziny do kraju rozpoczął naukę w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach. Szkołę ukończył w 1978 roku i rozpoczął studia z rysunku i malarstwa na Wydziale Grafiki w katowickiej filii Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. Studiował w pracowni Jerzego Dudy-Gracza, a następnie Jacka Rykały. Uprawia malarstwo sztalugowe farbami olejnymi na płótnie.

Dużym wsparciem w pracy artystycznej jest żona Aleksandra, która nie tylko jest jego pierwszym odbiorcą, ale także pozwalała mu do wielu obrazów.

Jego twórczość, mimo różnej tematyki, jest formułowana w konwencji realizmu symboliczno-metaforycznego. Przenoszone na płótna inspiracje obrazują indywidualny i subiektywny sposób postrzegania otaczającej rzeczywistości. Doskonale łączy bogactwo metafor i symboli z filozoficznym przekazem. *Realizuję wyłącznie malarstwo sztalugowe – mówi artysta – malując obrazy olejne w konwencji realistycznej o charakterze symboliczno-metaforycznym. Chcę przekazać w ten sposób splot wszelkich nastrojów, uczuć i przemyśleń oraz określonych klimatów, które stanowią – razem wzięte – świadectwo mojej duchowej egzystencji.* Ważną rolę w obrazach artysty pełni wpływający czas, klepsydry czy zegary przypominają o jego nieustannym upływie.

Źródłem inspiracji poszukuje w duchowej kontemplacji oraz w świecie wewnętrznych odczuć i refleksji. Nawiązuje też do prac dawnych mistrzów – klasyków, zachowując jednak własny styl i odrębność. Jego artystycznym autorytetem jest Rembrandt, który zachwyca malarza wspnianiem warsztatem i głębokim światłocieniem.

Motywy nadrzednym dla Grzegorza Bialika jest ludzka egzystencja, klimaty tęsknoty, nostalgii, zaduma. Swoją tożsamość artystyczną w każdym kolejnym obrazie wyraża za pomocą środków symboliczno-metaforycznych. Obrazy są kreacjami myśli i uczuć artysty, które stanowią świadectwo jego duchowej egzystencji. Pejzaże pełne nastroju olśniewają bogactwem detali i dostarczają estetycznych doznań. Każdy obraz kreuje w wyobraźni i w zgodzie z ustaloną wizją przenosi na płótno.

Jego malarstwo zachwyca nie tylko głębią przekazu, ale również niezwykłą precyzją wykonania detali, nastrojowym światłocieniem oraz barwami idealnie współgrającymi w płaszczyźnie obrazu. Jego dzieła poruszają niezwykłą estetyką.

Pracę nad obrazem rozpoczyna od nałożenia na płótno kilku warstw gruntu, metodą „na krzyż”. Po wyschnięciu podobrazia artysta wygładza powierzchnię



Grzegorz Bialik w swojej pracowni, (2015)

Mistyczny świat Grzegorza Bialika

STEFAN GIERLOTKA

drobnym papierem ściernym. Nie stosuje gruntów barwnych. Na podmalówce zaznacza najważniejsze elementy obrazu. Nie tworzy szkiców przygotowawczych ani projektów kompozycji obrazu. Stosuje zasadę: od ogółu do szczegółu. Podczas przygotowania podmalówki określa sposób rozmieszczenia światła i cieni tworząc nastroj. Na tym etapie decyduje o sile ekspresji obrazu. Podmalówkę wykonuje cienką warstwą farby. Zagęszczoną artysta wykorzystuje w późniejszych etapach pracy dla pogłębienia efektu silnej ekspresji. Farbę nakłada wyłącznie pędzłami,

głównie płaskimi, okrągłe stosuje tylko do precyzyjnego wykończenia detali.

Obrazy Grzegorza Bialika znajdują się w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. Wiele z nich, o tematyce sakralnej, ozdabia kościoły i kaplice. Można je zobaczyć m.in. w kościele M.B. Częstochowskiej w Katowicach-Podlesiu, w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Brzezinach Śląskich (dzielnica Piekary Śląskich), w Domu św. Anny (u Sióstr Służebniczek) w Katowicach-Panewnikach czy w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznym im. E. Bojanowskiego w Warszawie.

Wystawy indywidualne: Instytut Kultury Polskiej, Londyn, Anglia (1985); Galeria Związku Polskich Malarzy i Grafików, Centrum Kultury – Galeria Biblioteki Śląskiej (Katowice 1989); Galeria Miejskiego Domu Kultury, Mikołów (1992); Galeria Zapiecek, Warszawa, Łódzki Dom Kultury. Ośrodek Usług Kulturalnych, Łódź (1999); Dom Kultury „Południe”, Katowice-Zarzecze (2003); The Downey Gallery, Santa Fe, New Mexico, USA (2005); Galeria Sztuki Współczesnej, Kołobrzeg (2007); Dom Kultury „Południe”, Katowice-Podlesie (2011).

Wystawy zbiorowe: Wystawa zbiorowa podyplomowa, BWA, Katowice (1983); Międzynarodowa wystawa zbiorowa, Sainte-Genevieve-des-Bois pod Paryżem, Francja (1992); (zestaw obrazów wyróżniony nagrodą miasta Sainte-Genevieve-des-Bois); Wystawa zbiorowa pt.: „Pracownia prof. Jacka Rykały”, BWA, Katowice (1999); Wystawa zbiorowa dzieł ofiarowanych na rzecz Stowarzyszenia „Nasza Częstochowa” w muzeum w Częstochowie (2000); Wystawa zbiorowa dzieł ofiarowanych na rzecz Stowarzyszenia „Nasza Częstochowa” w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku, USA oraz udział w aukcji ofiarowanych prac; Międzynarodowa wystawa zbiorowa „ART-21”, Las Vegas, Newada USA; Międzynarodowa wystawa zbiorowa „International Art. Expo”, San Francisco, Kalifornia, USA (2000); Wystawa zbiorowa pt.: „Duda-Gracz i Uczniowie (1976-1982)”, Muzeum Śląskie, Katowice (2001); Wystawa zbiorowa pt.: „Duda-Gracz i Uczniowie (1976-1982)”, Pałac Poznańskich, Łódź (2001); Wystawa zbiorowa pt.: „Jestem”, BWA, Katowice (2006); Wystawa zbiorowa polskiego malarstwa współczesnego pt.: „100 + 1 Pięknych Obrazów”, Galeria „DAP” Związku Polskich Artystów Plastyków, Warszawa (2011).



Shlomo Mintz po koncercie w Filharmonii Śląskiej, styczeń 2016 rok

Miasto gorące w środku

– Spotykamy się z okazji koncertu w Filharmonii Śląskiej, gdzie zagrał pan między innymi pierwszy koncert skrzypcowy Niccolò Paganiniego. Ten sam, który wykonywał pan jako młody człowiek wraz z Zubinem Mehtą. Czy to dla pana szczególna kompozycja?

– Paganini to zawsze Paganini... kompozytor o szczególnym życiorysie, którego nie trzeba nikomu przedstawiać, znany bardzo szerokiej publiczności. Zarazem był bardzo tajemniczą postacią, która wzbogaciła grę na skrzypcach, wprowadziła nowe techniki gry. Pierwszy koncert skrzypcowy to bardzo klasyczna kompozycja, takie skrzypcowe *belcanto*, prawdziwy kamień milowy dla skrzypków i słuchaczy. Dla publiczności Paganini pozostawał zagadkową osobowością, której technika gry opierała się na niewiarygodnych wprost piruetach i zadziwiała słu-

chających. Zarazem pozostawała wokół niego owa aura tajemniczości, odmówiono mu pochówku, podejrzewano go nawet o konszachty z diabłem. Dwieście lat później wciąż bardzo go cenimy. Jeśli popatrzymy z czysto muzycznego punktu widzenia, to jego kompozycje to bardzo radosna muzyka, która niesie wiele pozytywnych emocji. Trzeba także pamiętać, że Paganini był popularny wśród kompozytorów: Franciszek Liszt czy Johannes Brahms adaptowali jego twórczość do własnej muzyki. Podsumowując, dla mnie to prawdziwa radość być w Katowicach i grać właśnie ten koncert.

– Oprócz Zubina Mehty współpracował pan lub studiował z wieloma wybitnymi skrzypkami, między innymi z Ilo-ną Feher, która reprezentowała tak zwaną europejską szkołę skrzypcową. Czym się charakteryzowała?

– Myślę, że było to po prostu połączenie niemieckiej tradycji, w której uczyła się Feher z tradycją francuską i belgijską. Jej nauczycielem był bowiem Jenő Hubay, który studiował z kolei u Heri Vieuxtempa, reprezentującego belgijską szkołę skrzypcową. Myślę, że to połączenie możemy nazywać europejską szkołą skrzypcową, to po prostu połączenie tych stylów gry, odmiennych z drugiej strony np. od tradycji rosyjskiej.

– A dzisiaj możemy mówić o europejskiej szkole gry na skrzypcach?

– Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, ponieważ wiele tradycji się połączyło i wymieszało. W czasach mojej młodości, gdy uczyłem się grać i ćwiczyłem Paganiniego, miałem wielkie szczęście poznawania i mieszania różnych stylów. Moja rodzina pochodziła z Rosji. Ja sam urodziłem się w Moskwie, zatem początkowo uczyłem się w tradycji rosyjskiej. Ilo-



z wielkich kompozytorów, gdyby odkrył nasz nowoczesny sposób, co najmniej by go przemyślał. Jeśli ktoś w odpowiedzialny sposób podchodzi do praktyki historycznej, no to *chapeau-bas*, ale nie może to być wyłączone podejście do muzyki.

– Czasem trudność polega na tym, że nie mamy zbyt wielu źródeł historycznych, mówiących nam jak dane instrumenty historyczne wyglądały.

– Oczywiście. Czasami brakuje nam informacji, mamy tylko rysunki, obrazy, wiemy jedynie jak wyglądały instrumenty, jakie miały wymiary, znamy ich stronę wizualną...

– Chciałem zapytać o ważną sferę Pana działalności, jaką jest projekt *Violins of hope* (skrzypce nadziei). O co chodzi w tej inicjatywie?

– *Violins of hope* to bardzo emocjonalny projekt, w którym chodzi o historię instrumentów, należących do kolekcjonerów zabitych podczas drugiej wojny światowej. Nie tylko Żydów, wszystkich, którzy odeszli, ale ich instrumenty przetrwały i głoszą prawdę. Jestem jednym z założycieli tego projektu i mogę zaświadczyć, że nieraz spotkaliśmy się z dużym oporem ludzi, którzy nie chcą mówić o przeszłości. Także tu, w Polsce, ludzie nie chcą często dzielić się tymi historiami. A w Polsce jest wiele nie odkrytych instrumentów... pewnie ludzie ciągle przeżywają traumę wojny. Być może również dzięki temu wywiadowi będę mógł im uświadomić, jak bardzo ważne jest, żeby te instrumenty zostały odkryte, ale zaznaczam bardzo wyraźnie, że nie chodzi o ich własność, ale o opowiedzenie prawdy. Bo to, co możemy najlepiej zrobić w obecnych czasach i na czym możemy skorzysta najbardziej, to poznać historię. A ona powie przyszłym pokoleniom, czego nie nale-

ży robić. Nigdy więcej. Trzeba również pamiętać, że nie można tylko tkwić w przeszłości, trzeba iść do przodu i uczyć nowe pokolenia naprawienia błędów. To projekt mówiący bardziej o przyszłości niż przeszłości. O tym, czego nie robić. Zapraszam do kontaktu i do odkrywania historii skrzypiec. Podkreślam jeszcze raz: nie chodzi o zwrot instrumentów, ale o prawdę. Czasami odkrywamy bardzo ważne i trudne historie, na przykład czternastoletniego chłopca, którego rodzice zostali zabici, on również zginął, a jego skrzypce miały zostać rozebrane na deski, ale przetrwały i zaświadczyły prawdę o tych wydarzeniach. Takie historie ludzkość czasem woli ukrywać, a nie powinna. Powinniśmy być na tyle otwarci, żeby wyciągnąć wnioski i nigdy nie powtórzyć takich historii. I to jest najważniejsze zadanie *violins of hope* – uczenie nowych pokoleń.

– Nie sposób nie spytać o to, jak się pan czuje w Katowicach – od grudnia 2015 roku noszących tytuł Kreatywnego Miasta Muzyki UNESCO.

– Katowice przeżywają pewien rodzaj renesansu. Odczuwam go, jest bowiem kilka miast na świecie, które odżywają, wykazują dużą aktywność w sferze kultury i dobrze jest je poznawać. Najważniejsze jest to, że ludzie zwracają uwagę na kulturę. Poza tym, moja rodzina ze strony ojca, wywodząca się z Białegostoku, przybyła do Katowic, i było to dla nich ważne miasto. Nie wiem co się z nimi później stało, poza tym, że trafili do obozu koncentracyjnego i ślad po nich zaginął. Na zakończenie powiem jeszcze, że jest to miasto zimne, w sensie temperatury za oknem, ale bardzo gorące w środku... (śmiech)

– Dziękuję bardzo za rozmowę.

do USA, gdzie spotkałem jeszcze inne style gry. Bardzo wcześnie poznałem różne szkoły. To był ten czas, gdy wszystkie tradycje się wymieszały. Dzisiaj nie ma już takiej czystości gry w danym stylu, jak niegdyś. Ale dla mnie to wielka korzyść.

– A historyczna szkoła? Mam na myśli, np. wykonawstwo na instrumentach z epoki.

– Mam co do tego mieszane uczucia... To bardzo dobrze sięgać głębiej, może to być bardzo pouczające, wiedzieć jakie rzeczywiście instrumenty dawniej były do dyspozycji, a wykonywano na nich przecież doskonałą muzykę. Ale patrzenie tylko w ten sposób jest według mnie błędne. Jeśli bym miał sposobność spotkania Bacha czy Vivaldiego, zaoferowałbym im różne instrumenty i zadałbym jedno pytanie: który z nich by zaakceptowali. Niestety, takiej możliwości nie mamy... Ten obszar pozostaje zatem w cieniu. Osobiście daję tylko 50 procent kredytu zaufania praktyce historycznej... Z drugiej strony trzeba jednak pamiętać, że ci, którzy to robią, wykonują bardzo ważną robotę. Ważna jest jednak również analiza, czy dany efekt jest tym, czego oczekiwał kompozytor. Myślę, że każdy



Shlomo Mintz – urodzony w 1957 roku w Moskwie, izraelski wirtuoz skrzypiec i altówki oraz dyrygent. Studiował m.in. u Ilony Feher oraz Isaaca Sterna. Współpracował m.in. z Zubinem Mehtą oraz Dorothy DeLay, koncertował z czołowymi orkiestrami w Europie, Stanach Zjednoczonych oraz Azji. Jest jednym z inicjatorów projektu *Violins of Hope* – dokumentującego historie instrumentów należących do ofiar Holocaustu.

Nie ma morza w Bagdadzie!?

(cz. II)

WITOLD TURANT

Kalifat bagdadzki, o którym była mowa w poprzednim odcinku, to tylko przykład. Koniec innych ośrodków wysokiej arabskiej kultury był tylko kwestią czasu. Podboje mongolskie, tureckie oraz rosnące wpływy fundamentalistycznych kierunków islamskiej teologii doprowadziły nie tylko do stagnacji, ale także, o czym już tu wspomniano, wręcz upadku wielu gałęzi nauki niegdyś kwitnących i dających solidny fundament rozwoju cywilizacji na Bliskim Wschodzie. Talibowie niszczący bezcenne pomniki dawnych cywilizacji na terenie Afganistanu są w prostej linii duchowymi spadkobiercami tych odłamów, które odrzucały tolerancję i wszystko to, co nie wywodzi się bezpośrednio z Koranu, interpretowanego przez nie w dość szczególny sposób. Jak się wydaje, państwo islamskie ISIS stanowi kumulację tych wszystkich tendencji, włącznie ze zbrodniczą pogardą dla innowierców, a także dla ludzkiego życia, w tym współwyznawców. Wciąż jeszcze trudno określić cele tego państwa, bo kalifat Europa, póki co, nie wydaje się jednak realny.

Tymczasem na Zachodzie wynaleziono druk, który zmienił w radykalny sposób zachodnią duchowość i przyczynił się walcie do powrotu do łask rozumu. Książki drukowane przenosiły myśli i idee w zawrotnym tempie, a stosunkowo niska cena publikacji czyniła je dostępnymi dla coraz szerszego ogółu. Na Wschodzie, jakby postępując w myśl zasady „na złość mamie odmrozę sobie uszy” nie całkiem narodzone jeszcze drukarstwo wyjęto spod prawa. Koran mógł być jedynie kaligrafowany, co niewątpliwie podnosiło jego walor estetyczny, natomiast znacznie ograniczało krąg odbiorców, a komentarze najchętniej przekazywano ustnie. Próby wydrukowania świętej księgi karano w państwie tureckim śmiercią. Później zakazano w ogóle drukowania czegokolwiek. Wyobraźmy sobie dziś

jakich kraj odłączony całkowicie od Internetu. Lub jazdę samochodem na zaciągniętym hamulcu.

Być może, jak chce Niall Fergusson, właśnie wynalazek druku i przyspieszenie, jakie spowodował w rozwoju cywilizacji zachodniej stanowiły punkt, w którym nasze drogi się ostatecznie rozeszły. Pozwalając sobie na pewną ogólniejszą dygresję, można wysunąć tezę za anglosaskimi historykami, iż wiele cywilizacji miało swoją szansę, by zdominować resztę świata, ale właśnie te wspomniane wcześniej, z pozoru drugo czy nawet trzeciorzędne wydarzenia sprawiły, iż niejako tę szansę przespały, jak np. cywilizacja Chin. Nie znaczy to jednak, że druga czy kolejna szansa się nie pojawi. Tyle że współcześnie mamy do czynienia ze zjawiskiem globalizacji, która sprawia, iż nie są te cywilizacje względem siebie tak hermetyczne. Z pewnością do tych czynników „rozszczelniających” należą nowoczesne media i techniki przenoszenia informacji, tym bardziej że jak chce Marshall McLuhan, przekaznik staje się przekazem. Takim przekazywaniem zmieniającym się w magiczny sposób w przekaz jest także broń i związane z nią technologie, z których chętniej niż z innych zdobyczy cywilizacji Zachodu korzystają mniej technicyzowane cywilizacje. Na razie w obu dziedzinach mamy przewagę, ale Bóg raczy wiedzieć jak długo jeszcze ona się utrzyma. Chiny i Indie depczą nam po piętach, a świat arabski, najbogatszy z nich, ale i najbardziej nieracjonalny, już w niektórych regionach zaczyna stawać do konkurencji.

Przed kilku laty zaciekały mnie dwie wiadomości dotyczące właśnie świata arabskiego: informacja o rozdzieleniu polskich sióstr syamskich w saudyjskim szpitalu oraz ta dotycząca oferty złożonej Polsce przez saudyjskich władców w sprawie tłumaczenia pamiętników Wacława Rzewuskiego z francuskiego na arabski. Taj'al-Fahr

zamieścił w nich bowiem spory kawał historii arabskich plemion. Świadczy to o rozbudzeniu świadomości znaczenia słowa, świadomości przeszłości w określaniu tożsamości narodu. Arabowie oczywiście kiedyś taką świadomość mieli, jak o tym przekonują pisma ich średniowiecznych myślicieli. Jednak na długie stulecia zapomnieli o niej, zdając się głównie na świat legend opowiadanych przy ogniskach.

Do postaci Wacława Rzewuskiego jeszcze w tym szkicu powrócimy.

Skoro wymiana staje się faktem, należałoby może zapytać, czy tyle samo dajemy, ile bierzemy, bo że bierzemy także coś od tych cywilizacji nie ulega wątpliwości. Zanim jednak spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, warto przyrzeć się dalszemu rozwojowi wydarzeń na styku, czyli w basenie Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie.

Import-eksport, jak zawsze

Wydawałoby się, że po odkryciu Ameryki, kiedy Europa ruszyła na Zachód i na Południe, i po absolutnym ustaleniu, iż istnieje alternatywna droga do Indii, rejon ten musiał stracić na znaczeniu, a przenikanie się kultury islamu i chrześcijaństwa powinno albo całkowicie ustać, albo zupełnie stracić swoją rangę, tym bardziej że o ropie naftowej i gazie nikt jeszcze nie słyszał i surowce te dla tamto czesnego świata po prostu nie istniały. A jednak tak się nie stało. Dlaczego? Z kilku przyczyn, tak ekonomicznych jak i kulturowych.

Przed wszystkim wymiana handlowa trwała niemal od zawsze i to bez względu na okoliczności, o co zgłaszało pretensje pod adresem m.in. Wenecjan jak i Genuńczyków. Wspomniane już tu tkaniny z Mosulu i Gazy cieszyły się wielkim uznaniem i stanowiły zbyt duże i pewne źródło dochodu, by można z niego rezygnować dla jakiegś tam awantury w rodzaju wypraw krzyżowych czy walki z piractwem. W końcu piractwo było z punktu widzenia wielu nadmorskich miast zajęciem jak każde inne, dającym spore dochody, a te awantury rozpętywane przez papieżstwo, północnych monarchów i wojowniczo nastawione rycerstwo, jeśli spojrzeć na to pod właściwym kątem, także stawały się źródłem nie byle jakich profitów, bo obie wojujące strony chętnie korzystały z usług doświadczonych żeglarzy. Żeglarze ci wozili nie tylko rycerstwo, ale także europejski motłoch, chętny do wzbogacenia się kosztem sąraczeńskich domostw. A na morzu, jak to na morzu, nigdy nie miało się pewności do jakiego portu statek zawinie i w czyich rękach aktualnie znajduje się ten port. Bywało, że zamiast oglądać i odbierać

bogactwa z tysiąca i jednej nocy ludzie ci ładowali na targu niewolników. Zwłaszcza kobiety były towarem poszukiwanym przez haremy i bliskowschodnie zamtuzy. Podczas tzw. dziecięcej krucjaty podaż młodych ludzi płci obojga dzięki piratom i nieuczciwym żeglarzom stała się tak duża, że ceny na rynkach żywego towaru spadały na łeb i na szyję.

Tak więc ani krucjaty, ani pomniejsze wojny nie psuły interesu obrotowym Italczykom, którzy wytrwale i z determinacją budowali potęgę swoich miast. W tym obrocie wszelkim towarem był jednak jeszcze jeden, który lukratywnością bił na głowę wszystkie pozostałe. Nie był wytworem bliskowschodnim, ale przez długi czas jedynie tamtędy można było go z Chin sprowadzać. Mam tu na myśli jedwab, który był i jest oznaką zamożności i symbolem luksusu. 100% Pure Silk – taka metka na towarze rekompensowała wszelkie niebezpieczeństwa i niewygodę podróży. Wiedział coś o tym Wenecjanin Marco Polo, a po nim nadeszli inni. Szlak Jedwabny funkcjonował do XVII wieku i także pełnił rolę nośnika informacji.

Innymi towarami, które przyciągały Europejczyków na Bliski Wschód były przyprawy, pachnidła i legendy. Lewant nie był producentem ani przypraw, ani pachnidła. Był bardzo ważnym pośrednikiem. Natomiast legendy powstawały właśnie tam. Ot, choćby „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. Ich główni bohaterowie, jak narratorka Shah'Razzad czy mityczny władca Shah'Rajar doczekali się honorowego miejsca na etykietach irackiego piwa, a Sindbad stał się ucieleśnieniem ryzykanckich żeglarskich wypraw. Pamiętam figurę faceta w marynarskim mundurze u wejścia do portu w Umm Qasr, którego, nie mogąc rozszyfrować jego tożsamości, nazywaliśmy właśnie Sindbadem. Dodam, że Umm Qasr leży w pobliżu Basry, portu macierzystego legendarnego żeglarza. Gorzej było z Ali Babą, ponieważ w europejskiej tradycji postać ta funkcjonuje jako sympatyczny cwaniak, który przechrzcił czterdziestu opryszków, natomiast za nazwanie np. handlarza na arabskim suku Ali Babą można nieźle oberwać. W tamtejszej tradycji jest to symbol skrajnej nieuczciwości. Ot, takie przesunięcie znaczeniowe w drodze przez kontynenty i kultury. Natomiast Harun Al.-Rasheed był postacią z krwi i kości, jednym z władców Bagdadu, posiadającym ponoć takie przymioty, że jego legenda przerosła zapewne ze sporym naddatkiem rzeczywistość. Europejska kultura także zna podobne przypadki: król Artur czy Ryszard Lwie Serce. Zwłaszcza legenda księdza Jana zdaje się łączyć wschodnią wyobraźnię z potrzebami zachodniej duchowości.

Prezbiter Jan, władca mitycznego królestwa na Wschodzie miał, jak wierzą, przybyć z pomocą krzyżowcom i ostatecznie wyzwolić Jerozolimę spod panowania muzułmanów. Były czasy, kiedy postać ta zyskiwała na realności, a było i tak, że odsyłano ją zdecydowanie do świata legend. Dziś historycy uważają, że mogło być coś na rzeczy, a wśród kandydatów na to stanowisko jest m.in. nestoriański chan Mongołów oraz jeden z władców Ujgurii (dziś w granicach Chin). W każdym razie prawdziwy czy legendarny, władca ten krzyżowców nie wspomógł i los chrześcijańskiej Jerozolimy się dopełnił. Miasto z czasem stało się przedmiotem i poniekąd ofiarą sporu różnych ugrupowań muzułmańskich, a pod panowaniem tureckim w połowie XIX. w. miało status małej podupadłej mieściny. Jego rozkwit i powrót do dawnego znaczenia to sprawa dość szeroko potraktowanej współczesności.

Pozostawmy teraz obdarzonych niezmiennymi przymiotami władców, latające dywany, i gadające ryby oraz dzinny wyglądające ze źle zakorkowanych butelek i zajmijmy się na powrót historią. Mamy już XVII-XVIII wiek. Na Morzu Śródziemnym pojawia się brytyjska flota, by chronić szlaki handlowe tamtejszych kupców, którzy mimo uczęszczanych już szlaków morskich wokół Afryki nie wycofują się z interesów w tym rejonie świata, konkurując z odwiecznym adwersarzem, Francuzami. Na tej arenie pojawia się także nowy gracz. To Rosja, która obrała sobie za cel złamanie tureckiej potęgi i w pierwszym rzędzie uczynienia z Morza Czarnego mare nostrum, a w dalszej kolejności wypłynięcie z tego basenu w szeroki świat. Niezamarzające porty – to marzenie towarzyszyć będzie ekspansji rosyjskiej od czasów co najmniej Piotra I aż do dnia dzisiejszego i doprowadzi ją do klęski w Afganistanie. Brytyjczycy nie zamierzają ustępować pola i na przemian z Francuzami (a bywało, że i jednocześnie) wdziczą się do tureckiego imperium. Epoka napoleońska to czasy ostrego konfliktu, którego punkt ciężkości przenosił się w różne punkty na mapie świata. Jednym z nich był Egipt. O ile Napoleon śmiało poczynił sobie na lądzie, to na morzu natrafił na godnego siebie przeciwnika w osobie Lorda Nelsona. Wiemy jak bolesne baty dostała francuska flota pod Abukirem. Efektem tych arabskich awantur Małego Kaprała jest m.in. słynny obelisk na Placu Zgody. Brytyjczycy natomiast zapelniali swoje muzeaabytkami wszystkich możliwych epok reprezentowanych na azjatyckiej i północnoafrykańskiej ziemi.

W Europie wyobraźnią zbiorową rządził już w tych czasach Romantyzm, którego atrybutami były rzeczy niezwy-

kle, z pogranicza rzeczywistości i ułud, a także egzotyka ze swoją odmiennością i tajemniczością. Mnożyły się opowieści o magach ze Wschodu i arystokratkach, prawdziwych i fałszywych, dając pożywkę wtedy i w czasach późniejszych różnym teoriom o tajnych sprzysiężeniach i spiskach, z których jedne miały na celu zbawienie świata, inne przeciwnie, jego zniewolenie lub zgubę. Swoją drogą interesujące, jak bardzo niektóre z nich okazały się żywotne. Przywoływano hasło „Lux ex Oriente” i tworzone łoże masonskie najróżniejszych rytu. Następnie typ istniejącym stowarzyszeniom przypisywano cechy tak nieprawdopodobne, że przyklejenie masonom etykiety ojców rewolucji francuskiej było jak przysłowiowa bułka z masłem. Poszukiwano wiedzy tajemnej i jej depozytariuszy, a jej korzeni upatrywano w zapomnianych ideach Hermesa Trismegistosa, trochę boga, trochę człowieka, który ponoć żył trzykrotnie na Bliskim Wschodzie, osiągając niebywały poziom wiedzy z wszelkich możliwych dziedzin. Dziś jest to pożywka dla twórczości zdesperowanych autorów, poszukujących nośnych tematów, oraz wydawnictw pragnących z wielokrotności swoje obroty.

Wielką popularnością cieszyły się także wątki orientalne w literaturze tego okresu, przedstawione w dość szczególny sposób. Nawet najwybitniejsi oświeceniowi filozofowie nie stronili od powierzania głównych ról w swych przypowieściach osobom przybyłym ze wschodu, kupcom, księżom etc., do Europy i dziwiącym się oczywistym bzdurem, jakie obserwowali w społeczeństwie, które już wtedy zaczęło się najwyższym stopniem rozwoju. Takie utopie pojawiały się tu i ówdzie w europejskiej literaturze właściwie przez cały XIX wiek. Myślę, że gdyby któryś z tych wymyślonych oświeceniowych czy romantycznych bohaterów znalazł się w naszych czasach, także miałby niemało powodów do zdumienia i rozmyślań. Oczywiście te postaci nie miały, poza miejscem domniemanego pochodzenia, nic wspólnego z Orientem ani z tamtejszą mentalnością. Były po prostu *porte paroles* autorów, którzy poszukiwali najszybszego sposobu wrócenia uwagi na nonsensy zachodniej cywilizacji, a idąc w ślady Jakuba Rousseau uważali, że w ten sposób można upostaciwić brak skażenia już wtedy widocznymi mankamentami zachodniego świata.

Orient i Romantyzm

Byli jednak poeci głęboko zafascynowani mistyką Wschodu, a do najwybitniejszych z nich należał niewątpli-

wie Johann Wolfgang Goethe. Efektem tych zainteresowań jest zbiór liryków „Dywan Zachodu i Wschodu”. Wyraźne ślady takich fascynacji znajdujemy także u Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, czego dowody zazwyczaj przedstawia nam się jeszcze w szkole podstawowej. Odbycie podróży w tamte rejony należało w pierwszej połowie XIX w. do repertuaru obowiązkowego człowieka wykształconego, a tym bardziej artysty. I jeden i drugi poeta poświęcił sporo uwagi znanej nam już postaci Wacława Rzewuskiego. Taj'al-Fahr (Farys w wersji spolszczonej), pod takim bowiem imieniem znany jest on w świecie arabskim, był postacią nadzwyczaj malowniczą i tajemniczą. Wywędrował na Wschód w poszukiwaniu koni o nadzwyczajnych właściwościach i kilku monarchom europejskim dostarczył stada arabsów i zapoczątkował ich hodowlę w Polsce; dlatego też informacje o nim łatwiej znaleźć w mediach poświęconych koniowi niż literaturze. Podczas podróży po terenie m.in. dzisiejszej Arabii Saudyjskiej ten handlarz końmi na skalę międzynarodową, posiadający także bardzo arystokratyczne parantele, do tego stopnia zainteresował się życiem i obyczajami tamtejszych ludów, iż opuszczał Wschód jako honorowy szęjk trzynastu arabskich plemion i posiadać tytułu emira, że o sporym majątku nie wspomnę. Ponoć w rodzinnym Sawranii (Podole) po powrocie z Arabii żył na modłę wschodnią, co wielu miało mu za złe. Zapewne pomiędzy plotki można włożyć niepotwierdzony przekaz o jego sawrańskim haremie. Prawdą natomiast jest to, iż przyjaźnił się z Tymką Padurą (autorem śpiewanych do dziś „Sokołów”) i może uchodzić za patrona rzeczników zbliżenia polsko-ukraińskiego – nazywano go nawet „Ataman Biełaja Boroda”. Zaginął w tajemniczych okolicznościach podczas Powstania Listopadowego, kiedy wspomógł powstańców wystawiając własnym sumptem spory oddział kozaków. Jego wkład w europejską orientalistykę, którą zainteresował go wuj, wybitny podróżnik i znawca wschodnich kultur, Jan Potocki, jest nie do przecenienia. Mówiąc prawdę, postać ta zasługuje na odrębne opracowanie i trzeba mieć nadzieję, że dzieło takie kiedyś powstanie. Jego wiedzę o Arabach i ich sposobie życia można chyba porównać jedynie z doświadczeniem T.E. Lawrence'a, Lawrence'a z Arabii. To, co ich dodatkowo łączy, to zejście z tego świata w stosunkowo młodym wieku, owiane mgłą tajemnicy i niedopowiedzeń.

Innym Polakiem, któremu Orient sporo zawdzięcza był Sadyk Pasza Michał Czajkowski, były powstaniec listopadowy w służbie tureckiej. Czajkowski spędził w Turcji ponad

dwadzieścia lat i dał się poznać m.in. jako utalentowany dowódca wojskowy. Był jednym z inicjatorów założenia polskiej wsi Adampol, w której potomkowie powstańców emigrantów mieszkają do dziś. Wolne chwile wypełniał powieściopisarstwem. Został po sobie spory dorobek, który pozwala go uważać za prekursora twórczości Henryka Sienkiewicza. W 1872 roku zakończył służbę i po uzyskaniu amnestii carskiej powrócił do kraju. Jeszcze w Turcji popełnił błąd panslawizmu i w popowstaniowym życiu umysłowym Polaków nie odegrał już żadnej roli. W 1880 roku zakończył życie samobójczym strzałem. Oprócz powieści historycznych pozostawił po sobie pamiętniki i wspomnienia, które sporo nam mówią o otomańskim imperium.

Druga połowa XIX wieku przynosi nowe, jak to się dziś chętnie mówi, otwarcie w stosunkach Europa-Orient. Punktem zwrotnym stało się niewątpliwie otwarcie Kanału Sueskiego. Ogromne to jak na owe czasy przedsięwzięcie miało swój wymiar polityczny i ekonomiczny, jako że było elementem nieustannej konkurencji angielsko-francuskiej w tym regionie, ale także i cywilizacyjno-kulturowy. Dla wielu Europejczyków, którzy teraz mogli sobie pozwolić na podróż na Wschód, ten region stał się czymś w rodzaju orientalnej tancerki zrzucającej podczas intrygującego występu kolejną zasłonę. Jak się jednak przekonamy, kilka tych zasłon pozostało do dziś.

Gdyby porównać budowę Kanału Sueskiego do meczu tenisa, to pierwszego seta zdecydowanie wygrali Francuzi, ponieważ wbrew głędzeniu Anglików, że to przedsięwzięcie niewykonalne, a następnie, że całkiem nie rentowne, ukończyli budowę i statki popłynęły do Indii krótszą o kilka tysięcy kilometrów drogą. Drugiego seta natomiast wygrali Anglicy. A było to tak: premier rządu Jej Królewskiej Mości, Benjamin Disraeli w wolnych chwilach pisywał sentymentalne powieści i zastanawiano się, czy to przystoi brytyjskiemu premierowi. Jednak w polityce sentymentom nie ulegał. W stosownym momencie, w 1882 roku wykupił akcje Kanału i oddał budowlą ta stała się kolejną perłą brytyjskiej korony, w znaczący sposób ułatwiając komunikowanie się z Indiami. Później okazało się, iż strategiczne znaczenie kanału rosło. Wracając jednak do tenisa, to Turcja i świat arabski, zamiast odgrywać rolę arbitrow czy uczestników, odgrywali jedynie rolę publiczności. Miało się to dopiero zmienić po drugiej wojnie światowej, ale także nie od razu. Pierwsza wojna światowa pokazała, jak dalekowzroczną inwestycją stał się

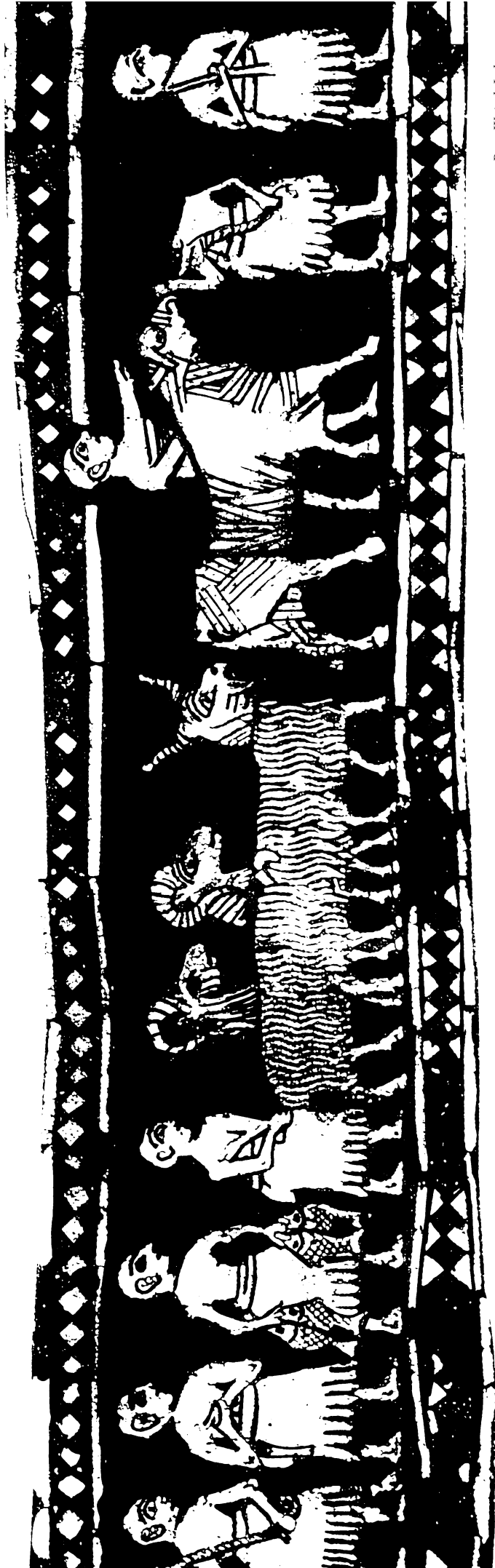
Kanał. Do tego czasu okoliczni Beduinowie mogli sobie siadywać na jego brzegach i obserwować przepływające statki. Sytuację zmieniło opowiadanie się Turcji po stronie państw centralnych.

Warto może zauważyć, że gdyby nie Kanał Sueski, nie byłoby klasycznej pozycji dla młodzieży płci obojga w literaturze polskiej. Henryk Sienkiewicz, jak wielu jego poprzedników, odbył podróż na Bliski Wschód i był pod wrażeniem zarówno pustynnych krajobrazów, jak i tego cudu ówczesnej myśli technicznej w dziedzinie budownictwa. Taki był impuls do napisania „W pustyni i w puszczy”. Nie należy także zapominać, iż było to w niedługim czasie po poważnej konfrontacji islamu z chrześcijaństwem, jakim było powstanie Mahdiego. Mahdyści oczywiście przegrali, ale Zachód przekonał się, iż islam potrafi mobilizować arabskie, czy w ogóle muzułmańskie masy do walki o swoją tożsamość, rozumianą w taki czy inny sposób i nie wolno tego lekceważyć. Nawet jeśli ma się po swojej stronie wynalazek Sir Hiram Maxima, czyli szybkozładowy karabin, dziesiątkujący szeregi przeciwnika. Kontrowersyjnym bohaterem tej sudańskiej epopei jest generał George Gordon. Człowiek uważający się za wcielenie wszelkich cnót angielskiego gentlemana, a ponadto za rycerza chrześcijaństwa, dowodzący niewystarczającymi dla stłumienia rebelii siłami, oblężony w Chartumie poniósł śmierć trochę na własne życzenie, gdyż Mahdi proponował mu kapitulację na w miarę rozsądnych warunkach, odrzuciwszy propozycję proroka. Niektórzy biografowie twierdzą, że generał owładnięty był manią własnej męczennictwa za wiarę. Jego śmierć była jednak silnym bodźcem dla Parlamentu do uchwały nakazującej lordowi Kitchenerowi przeprowadzenie karnej ekspedycji na czele znacznie bardziej licznego korpusu.

Powyższa dygresja, oddalająca nas nieco od spraw ściśle bliskowschodnich ma dwa uzasadnienia: wydarzenia w Sudanie przykuły uwagę europejskich społeczeństw i pokazały, iż kraje będące koloniami czy też protektoratami bywają nie tylko sceną akcji popularnych powieści. Można się było przekonać, iż żyją tam zorganizowane społeczności, które mają swoje dążenia i potrzeby i prędzej czy później będzie trzeba się z tym faktem liczyć. Jeśli Zachód chce nadal czerpać z zasobów Wschodu, a już wkrótce, gdy odkryte zostaną złoża ropy naftowej i gazu, będzie z czego, to trzeba przynajmniej zapytać, a najlepiej wynegocjować jakieś rozsądne warunki. Przesłanie to powinno już wtedy dotrzeć przede wszystkim do polityków, ale jak pokazał rozwój wydarzeń, nie

do wszystkich dotarło. Drugim uzasadnieniem jest pojawienie się tych rejonów w polskiej świadomości zbiorowej, dzięki Sienkiewiczowi właśnie. Można tej powieści dla młodzieży wiele zarzucić, podobnie jak i wielu innym w dorobku pisarza, ale nic nie zmienia faktu, iż wielu naszych znakomitych podróżników i uczonych, a było wśród nich kilku wybitnych orientalistów i archeologów, jak np. prof. Michałowski zaczynało od młodzieńczych fascynacji przygodami Stasia i Nel. Nie lekceważmy tego.

Młodzieńcze fascynacje prowadzą czasem na wyżyny. Jednak na tych wyżynach nie zawsze musi nam się podobać. Tak było w przypadku człowieka, który zmienił i ukształtował współczesną historię Bliskiego Wschodu, działając czasem zgodnie z zaleceniami swojego rządu, a czasem im wbrew. Najpierw jednak musi wybuchnąć Pierwsza Wojna Światowa, zmieniając niekiedy zapomniane przez Boga i ludzi miejsca na tej Ziemi w punkty o strategicznym znaczeniu. Zastosowanie nowoczesnych środków technicznych na ogromną skalę spowodowało również ogromne zapotrzebowanie na surowce, których znaczenie było dotychczas drugorzędne. Inna rzecz, że regiony występowania tych surowców były wówczas jeszcze mało znane. Ciekawe, jak nasz obecna wiedza w tej dziedzinie wpłynęła by na przebieg Wielkiej Wojny i rozmieszczenie głównych jej teatrów. Kto wie, czy ciężar głównych działań nie przesunąłby się właśnie w rejon Bliskiego Wschodu. W 1914 roku nafciarze mieli już jakieś pojęcie głównie o zasobach ropy zlokalizowanych raczej na terenie Egiptu, a Standard Oil prowadził wstępne rozpoznanie na terenie Palestyny. Odkrycia w Iraku i dzisiejszej Arabii Saudyjskiej były dopiero melodią przyszłości. Niezbyt odległej, to fakt, ale w 1914 tak właśnie to wyglądało. Standard Oil był firmą amerykańską, a co za tym idzie własnością obywateli państwa neutralnego, tak więc Turcy nie czynili przeszkód poszukiwaczom, w każdym razie nie ponad biurokratyczne i korupcyjne, nomen omen, standardy tego państwa. Tym bardziej że jak się okazało, ta naftowa korporacja z neutralnego wówczas państwa zaopatrywała także Niemcy. Sytuacja zmieniła się dopiero w 1917 roku, wraz z przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny po stronie Ententy. W okresie 1914-1918 ograniczono się do zapewnienia sobie w lepszych czasach praw do poszukiwań oraz do eksploatacji złóż już odkrytych oraz domniemanych. Wkrótce miało się okazać, jak trafna była to decyzja.



Rys: Wojtek Łuka

Dawniej, by się rozerwać, można było pójść do kinematografu, na Chaplina, Harolda Loyd'a, Bustera Keatona lub Oliwiera i Hardego albo usiąść i rechotać przy czytaniu zabawnych tekstów i oglądaniu rysunków w pierwszych pismach humorystycznych.

Już pod koniec dziewiętnastego wieku ukazywała się „Mucha” pisemko prezentujące głównie satyrę obyczajową, na poziomie życia rodzinnego, i społecznego.

Później w młodej Polsce – krakowskie kolorowe „Wróble na Dachy”, (których rocznik mam na półce), był nasz śląski „Kocynder” – Ligonia i jeszcze parę innych w kraju...

Istniała także satyra w peerelu: w Poznaniu „Kaktus” w Łodzi „Karuzela” a w Katowicach odrodził się „Kocynder”.

Kiedy w 1957 naczelnym był Jurek Moskał, to i ja z tym pismem współpracowałem, odkrywając przy okazji, że dwutygodnik ten był agorą satyryczną połowy grafików katowickich.

Znajdowałem tam rysunki: Danuty Knosały, Zygmunta Lisa, Ryszarda Twardocha, Eugeniusza Rzeżuchy, Andrzeja Czczot, Ryszarda Osadcze-go, Franciszka Wyleżucha i wielu innych.

Ale pismo się skończyło, domyślać się można dlaczego....

Anegdoty

HENRYK BZDOK



Na rynku, jak i w innych „bratnich krajach” wzorem radzieckiego „Krokodila” miało być – jedno pismo na jeden barak naszego obozu, tak w sam raz, nie więcej, bo za wiele śmiechu szkodzi.

No to były: w DDR „Eulenspiegel”, w Czechosłowacji „Dikobraz”, w Jugosławii „Octen” a u nas ostały się „Szpilki”, ze swym chyba najlepszym okresem za KTT.

Pismo stało się poważne nie przestając być zabawnym i dociekliwym, tropiono rzeczywiste absurdalności naszej ludowej rzeczywistości a dowcipy o teściowej i samotnej wyspie przeniesiono do kosza.

Rozdawano coroczne nagrody „Złotej Szpilki”, którą każdy z nas zdobył choć nie w tym samym kolorze metalu.

Robiło nas tam wielu z Katowic, to miasto miało szczęście do karykaturzystów.

Choć rysowaliśmy i publikowaliśmy dla niemieckiego „Pardonu”, angielskiego „Puncha” to jednak było nam tego miejsca za mało, chciałoby się mieć więcej pism.

Andrzej Czczot posiał myśl robienia dodatku do „Szpilek”.

Powstał kwartet: Andrzej Czczot, Jerzy Duda-Gracz, Tomek Jura i podpisany.

Wkładki czterostronicowe miały odrębne tytuły takie jak „mgr”, „dr”, „inż”.... było ich parę, każda w innym temacie sugerowanym przez tytuł..

Ich tworzenie bywało interesującym pretekstem do bycia z sobą, we wspólnym temacie i wydawało się, że wszystkich nas to bawi...

... a jednak któregoś dnia, Jurek odbierając swoje grafiki, które mu fotograficznie przetwarzałem z jego olejnych obrazów rzekł:

Dziękuję, ale nie będę tego dalej robił... widząc moje zdziwienie dodał – uzyskałem to, co chciałem, moje rysunki z moim nazwiskiem, zostały opublikowane w wielotysięcznym nakładzie, to mi wystarcza...

I wtedy zrozumiałem, że autopromocja może występować także w tak mało poważnej dziedzinie jak humor – satyra...



*W muzeach
nie wszystkie
ekspozycje
można zawsze
oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych
łamach.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.*



Foto. Piotr Sobaniński

Szesnastowieczny kościółek z Syryni przeniesiony do Parku Kościuszki. Zabytek, którym opiekuje się Muzeum Historii Katowic. Jest to jednak nadal świątynia konsekrowana, w której młodzi chętnie biorą ślub. Dziś to zdjęcie nabiera charakteru szczególnego, bo być może ze względu na ocieplenie klimatu zimą w mieście będzie można zobaczyć już tylko na muzealnej fotografii.

Dyrekcja teatru Wielkiej Opery i Baletu w Mińsku wpadła na pomysł, by zaprosić na swoje doroczne, szóste już Międzynarodowe Bożonarodzeniowe Forum Operowe grupę krytyków muzycznych z krajów ościennych. Mielśmy oglądać spektakle, dyskutować o stanie opery na Białorusi i w naszych krajach, a na koniec zrobić „coś”, by zachęcić swoich muzyków do częstszych wypraw do grodu nad Swisłoczą. Co niniejszym z entuzjazmem czynię, bo w mińskiej operze dzieje się naprawdę dużo dobrego. Sam teatr, działający od kilku lat pod sprawnym kierownictwem Władimira Gridiuszki, nie jest może jeszcze instytucją o randze światowej, ale wykazuje – jak się to mówi – wartościowe tendencje rozwojowe. Trzon repertuaru to żelazna klasyka operowa i baletowa – idzie o to, by przyciągnąć dużą, stałą publiczność.

Podstawowym magnesem jest muzyka, mniejszą uwagę zwraca się na stronę widowiskową spektakli, a „opera reżyserska” jest zdecydowanie nie w modzie. Na VI Forum Operowe złożyło się pięć wieczorów, z tego trzy operowe. Obejrzelśmy dwa nowe spektakle, które miały premiery w roku 2015 (*Carską narzeczoną* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa i *Carmen* Bizeta) oraz wyciągniętego z teatralnego lamusa, nieco odświeżonego *Eugeniusza Oniegina*. Poza operami zorganizowano dwie gale wokalne. Z oper podobają mi się najbardziej spektakle rosyjskie: pastelowo-szarawy, statyczny *Oniegin*, wyreżyserowany przez Walerija Sziszowa według standardów opery realistycznej z połowy XX wieku, zyskał barwy dzięki udziałowi zaproszonych młodych solistów z Teatru Wielkiego w Moskwie. Bohaterem wieczoru był śpiewający partię Leńskiego nasz młodziutki prawie-rodak ze Lwowa Bogdan Volkov, dysponujący nie tylko pięknym lirycznym głosem, ale i wielkimi zdolnościami scenicznymi. Spektaklem dyrygował stały dyrygent mińskiej opery Wiktor Płoskina.

Reżyser *Carmen* Galina Galkovskaya starała się wspólnie ze scenografem (w tej roli – Polka pracująca w Kopenhadze Anna Kontek) nasycić spektakl hiszpańskim kolorytem i temperamentem. Pojawiły się więc bajecznie kolorowe kostiumy, zadbane o atrakcyjną choreografię, starano się uruchomić drugi i trzeci plan sceny, zlecając statystom różne zajęcia pasujące do klimatu opery. Niezbyt udanym eksperymentem było zatrudnienie gościnnego dyrygenta: Francuz Philippe Mestres o mało nie rozłożył spektaklu na łopatki, mając trudności ze skoordynowaniem tego, co działo się na scenie, z pracą orkiestry.

Bez przeszkód przebiegło przedstawienie *Carskiej narzeczonej* (dyrygent – Andrey Galanov) – w tym przypadku stale współpracujący z mińską operą reżyser Mikhail Pandzhavidze pokusił się o parę jakże aktualnych „udziwnień”, wprowadzając do scenicznej narracji nieco bardzo dyskretnego erotyzmu oraz ak-



Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Opera za miedzą

centy polityczne (motyw władzy, zilstrowany pantonimią licznej grupy „oprzyrncików” plus ogólnie lubiane w mińskim teatrze akcenty prawosławne); stworzony przez niego spektakl charakteryzował się dobrym tempem i bogactwem szczegółów; jedynie ważna scena ukazania się cara Iwana Groźnego została zmarnowana – widz miał trudności z rozpoznaniem władcy wśród tłumu towarzyszących mu bojarów...

Poza Forum obejrzałam też wyreżyserowane przez Pandzhavidze i prowadzone przez Wiktora Płoskinę *Pajace*. I w tym przypadku reżyser starał się nadążyć z duchem czasu, wykorzystując obecną w utworze ideę „teatru w teatrze” jako pretekst do łamania konwencji. Na scenie pojawiły się zatem współczesne postacie (dziennikarze, ochroniarze) i rekwizyty (m.in. stojaki z ubraniami w roli scenicznych barier), reżyser wystrzył też wymowę finału, doprowadzając do tego, że przy ostatnich dźwiękach muzyki scenę zalegało aż pięć trupów.

Pozostałe wieczory Forum wypełnił wieczór pieśni i arii włoskich (dyrygował stale zatrudniony w mińskiej operze młody dyrygent Iwan Kostiachin) oraz – zamykający imprezę galowy koncert „Nowe głosy opery światowej”, na którym, oprócz gości z Europy i Ameryki, usłyszeliśmy laureatów II Międzynarodowego Konkursu Wokalnego, który odbył się w tygodniu poprzedzającym Forum i był jego integralną częścią. Konkurs, do którego przystąpiło ponad 250 uczestników, pochodzących w większości z Rosji, byłych republik radzieckich i krajów Dalekiego Wschodu (na palcach można było nieestety policzyć uczestników z Zachodniej Europy, a z Polski nie było nikogo), był niezwykle ciekawy. Przebiegał w trzech

częściach. Program każdej z nich był dowolny, podobnie jak w warszawskim konkursie chopinowskim. W pierwszym i drugim etapie należało zaśpiewać z akompaniamentem fortepianu arię operową, finaliści wykonywali z orkiestrą wybraną scenę z opery. Pomysłowość uczestników nie była zbyt wielka, po kilkanaście razy słuchaliśmy zatem jednych i tych samych utworów – królowała opera włoska i rosyjska, jedynie nieliczni zdobywali się na zaśpiewanie Haendla albo któregoś z kompozytorów XX wieku (jeden raz zabrzmiała aria Roxany z *Króla Rogera* Szymanowskiego, ktoś ośmielił się też zaprezentować fragment *Wozzecka* Berga). Tym śpiewakom, którzy doszli do drugiego etapu (w liczbie 30, z tego większość Rosjan), można śmiało prorokować światowe kariery: piękne głosy (jakże by inaczej – tego w Rosji nigdy nie brakowało), ale także świetna szkoła wokalna (zwłaszcza u osób wykształconych w obu stolicach: Moskwie i Petersburgu), umiejętność różnicowania stylów wykonawczych, i – last but not least – dobra prezencja. Do finału wybrano 10 osób; wygrała zdecydowana faworytka Rosjanka Nadieżda Pawłowa, wśród laureatów znalazła się także świetna Barnochon Ismatullayeva z Uzbekistanu oraz pochodzący ze Lwowa Michaił Małafij, którego można spotkać i w Polsce, jednak na razie jedynie w roli uczestnika kursów wokalnych.

Ogólne wrażenie, jakie pozostało mi po pobycie w mińskim teatrze, to wrażenie porządku, stabilności i względnego dobrobytu. Teatr jest wizytówką Republiki, a jego pracownicy czują się chyba wyróżnieni. Na razie nie dorobiono się wybitnych sił solistycznych (i na Białoruś dotarła plaga emigracji muzyków do lepszych, bogatszych ośrodków, głównie do Petersburga), za to są porządne zespoły, zwłaszcza spory chór, prowadzony przez Ninę Łomanowicz, i balet – liczący ponad 100 osób i oczywiście stanowiący jedną z największych atrakcji narodowej sceny. Balety stanowią więcej niż połowę repertuaru. Wykonuje się nie tylko rosyjskie i europejskie pozycje klasyczne, ale i nowe dzieła, pisane na zamówienie przez artystów Białorusi (najnowsza premiera – *Mały księż* Jewgienija Głebowa).

W teatrze działa też scena kameralna, na której odbywa się sporo koncertów. Byłam na znakomitym wieczorze pieśni rosyjskich wykonanych przez solistę opery barytona Ilię Silczukowa z towarzyszeniem pianistki Tatiany Starczenko. Oprócz nieśmiertelnych romansów Czajkowskiego i Rachmaninowa artyści wykonali cykl pieśni G. Swiridowa, napisanych we wczesnych latach 50. XX wieku, należących w sposób oczywisty do nurtu „ojczyźnianego” i w sposób zupełnie już nie oczywisty prowokujących do zadania sobie pytania, czy odrzucanie przez nas tej tradycji nie jest przypadkiem „wylewaniem dziecka razem z kąpielą”?



Czy na matecznik spadnie topór?

JOLANTA KARMAŃSKA

Jest tylko jeden w Europie. Las naturalny. Nikt go nie sadił, nie przebudowywał. Kształtował się sam po przejściu lodowca. W przestrzeni od wybrzeży Atlantyku po Ural. Jest inny niż las gospodarczy. Po swoim się zmienia. W rytm własnych, najdoskonalszych scenariuszy natury. Dlatego jest silniejszy.

Ten las to Puszcza Białowieża, jedyny leśny matecznik Starego Kontynentu, ocalały mocą drzemających w niej niemal pierwotnych mechanizmów samooodtworzenia się. Czy chcemy jej zaszkodzić?

Po 20 latach walki obrońców przyrody o trwanie puszczy w naturalnym i nie naruszalnym przez człowieka środowisku, znów zawisł nad nią urzędniczy topór. Na podpis ministra środowiska czeka decyzja o kilkukrotnym zwiększeniu cięć jej drzewostanów, zaatakowanych przez kornika. Niezrozumiała. Bo martwe drzewo w puszczy to nie wyrok, to życie!

Puszcza Białowieża o powierzchni ponad 150,5 tys. hektarów po polskiej i białoruskiej stronie w ciągu ostatnich 300 lat zmniejszyła się prawie o połowę. Większa jej część, około 59 proc. leży w granicach Białorusi. Jest w całości Parkiem Narodowym. Chronionym w sposób ścisły na 40 procentach powierzchni. Wraz z najcenniejszymi fragmentami lasów dziewiczych, z 200. letnimi drzewostanami i kilkusetletnimi ich okazami.

W polskiej, mniejszej, części Puszczy Białowieżskiej ochroną ścisłą objęty jest powiększony dwukrotnie w 1996 roku do 10,5 tys.

hektarów Białowieżski Park Narodowy. Rozrzucone po puszczańskim terenie naturalne siedliska leśne chronione są w rezerwach. Fragmentów puszczy z jej ptasimi ostojami strzeże nie tylko nasze prawo, ale i Europejska sieć Natura 2000. W sumie puszcza jest objęta ścisłą ochroną tylko na jednej trzeciej swojej powierzchni.

Największą jej częścią zarządzają Lasy Państwowe. Ich trzy puszczańskie nadleśnictwa: Białowieża, Hajnówka i Browsk starają się godzić wymagania ochrony przyrody i zadania lasów gospodarczych czyli obowiązek komercyjnego pozyskiwania drewna.

Kontrakt

Leśnicy to w znakomitej większości także przyrodnicy. Odkąd w 1994 roku Puszcza Białowieża objęła statusem Leśnego Kompleksu Promocyjnego, prowadzą w puszczańskich nadleśnictwach gospodarkę bardziej ekologiczną. Miał im w tym pomagać przygotowany w latach 90. ub. wieku, z inicjatywy ówczesnego ministra ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa – „Kontrakt dla Puszczy Białowieżskiej.” Czyli plan działań na rzecz powiększenia parku narodowego w obrębie całej puszczy po naszej stronie z równoczesnym wsparciem lokalnej społeczności, żyjącej z lasu. Poprzez zrównoważony rozwój społeczny i ekonomiczny tamtych terenów. W rezerwie budżetowej państwa znalazło się wówczas 20 mln złotych na ten cel. Środki pozabudżetowe miały pochodzić z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Rozpoczęto też publiczną zbiórkę pieniędzy na rzecz puszczy. Minęło 20 lat i...

Co udało się zrobić?

Dwukrotnie powiększyć powierzchnię Białowieżskiego Parku Narodowego, który już znajdował się na liście Światowych Rezerwatów Biosfery i Światowego Dziedzictwa UNESCO. Wprowadzić moratorium na wycinkę ponad stuletnich drzew i strefę wolną od polowań w jego otulinie. Ukrócić polowania w rezerwach. I zmniejszyć znacznie pozyskiwanie drewna w nadleśnictwach. Udało się też puszcę wypromować na świecie. Jako nasz największy przyrodniczy skarb, wielkie dziedzictwo ludzkości, z niespotykanymi gdzie indziej okazami flory i fauny i stadem żubrów, żyjących na wolności. Również jako obiekt zainteresowania światowej nauki.

Po wieloletnich staraniach Polski i Białorusi, kampaniach społecznych, protestach obrońców puszczy i konsekwentnej polityce resortu środowiska radykalnie zmniejszającej wycinkę drzew w nadleśnictwach, w połowie 2014 roku cała puszcza trafiła na listę UNESCO. Pod rozpoznawalną globalnie nazwą – Transgraniczny Obiekt Światowego Dziedzictwa „Białowieża Forest”.

To nie tylko przyrodniczy sukces. To ukoronowanie naszego narodowego skarbu przyrody, dziedzictwa ludzkości. To też zobowiązanie rządów i społeczeństw naszych krajów do zachowania dla przyszłych pokoleń ostatniego nizinnego, mieszanego lasu Europy z pierwotnym rodowodem. Wraz z całym jego naturalnym bogactwem ekosystemów leśnych i bioróżnorodnością, żywym laboratorium natury. Jedynym miejscem, gdzie drzewom pozwala się doczekać sędziwej starości, zmurszeć, by żywić, odnawiać i wzmacniać nowe pokolenia puszczańskich lasów.

Kornikowy aneks

Pod koniec ub. roku minister środowiska zatwierdził aneks do obowiązującego już Planu Urządzania Lasu w nadleśnictwach



Powalony świerk w Biebrzańskim Parku Narodowym

Puszczy Białowieskiej na lata 2012-2021. Po to, by zwiększyć kilkakrotnie wycinkę świerków, zaatakowanych przez kornika. A więc i usunąć je z puszczy. Chociaż już od lat 30. ub. wieku świerk jest z niej wypierany przez samą naturę. Z lasu puszczańskiego, który nie jest zwykłą plantacją drzew sadzonych na deski. Lecz cudem przyrody, bezbłędnie dopasowującym gatunki leśnych drzew i innej roślinności do najlepszych dla nich siedlisk, warunków klimatycznych czy zjawisk kłeskowych. Pośród tych ostatnich, gradacja kornika w puszczy jest cyklicznym, naturalnym procesem.

Przeważają w niej przecież wielogatunkowe drzewa liściaste. Te najstarsze z potężnymi dębami, lipami, jesionami i świerkami. Występujące w zespołach z lipami, klony i graby. Na siedliskach wilgotnych, w pobliżu rzek, świerki z olchami i dębami tworzą tzw. olsy czyli las bagienny. Bory zachowały się tam, gdzie przeważają drzewa szpilkowe, świerczyny, które kornik atakuje najmocniej. Bo w obecnych warunkach klimatycznych są to drzewa od dawna chore i słabe. Przyroda sama wyczuła, że czas z nich rezygnować. Świerk samorzutnie ustępuje z chronionej części puszczy. Bo coraz gorętsze i suche lata, stały się dla tych zimnolubnych gatunków zabójcze.

Pokazała to katastrofa lasów beskidzkich, w których rosły w większości monokultury świerkowe. Sztucznie sadzone z nasion alpejskiego pochodzenia na potrzeby przemysłu, słabły wraz z rosnącym zanieczyszczeniem powietrza i ocieplającym się klimatem. I stały się łatwym żerem dla szkodników. Głównie kornika. Zasiedlone nim drzewa trzeba było szybko wycinać i wywozić z lasu, by zrobić miejsce odporniejszym lasom liściastym i mieszanym. Tę przebudowę leśnicy prowadzą od lat.

Puszcza rządzi się innymi prawami niż sztucznie sadzony las. W niej działają samorzutnie odtwarzające się układy biologiczne, w których wszystkie gatunki żyją z sobą w symbiozie. Dlatego lasy puszczańskie są silniejsze. A więc i kornika jest tutaj nieporównywalnie mniej. Jeśli zaatakują, nie jest dla puszczy katastrofą. Jest tylko selekcjonerem słabych drzewostanów. Przyroda sama wpisała w trwanie lasu powtarzające się cykle gradacyjne szkodników. I martwe drzewa, które po ich przejściu, noszą lasom nowe życie.

To oczywistość dla świata nauki, przyrodników, ekologów i obrońców przyrody. Dlatego tak jednoznacznie zareagowali na aneks do Planu Urządzania Lasu w leśnictwach puszczańskich. Wśród nich: Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, Greenpeace Polska, WWF Polska czy Fundacja Greenmind i wiele innych. Niepodważalne, znakomicie udokumentowane opinie, przedstawili naukowcy i przyrodnicy.

Protest

Opinia Państwowej Rady Ochrony Przyrody nie pozostawia wątpliwości. Czytamy w niej m.in.: usuwanie zaatakowanych drzew, służące jakoby zwalczaniu kornika-drukarza, nie ma istotnego wpływu na przebieg jego gradacji i tempo wydzielania się posuszu, a przynosi poważne szkody przy-



Puszczański las jest inny od gospodarczego

rodnicze. W tym w gatunkach chronionych w obszarze Natura 2000. Zakłóca też naturalną dynamikę procesów regeneracyjnych. Zwiększone pozyskiwanie drewna, zaplanowane w Nadleśnictwie Białowieża narusza postanowienia prawa krajowego (ustawa o ochronie przyrody) i międzynarodowego (Dyrektywy Ptasiej i Siedliskowej). Stoi w sprzeczności z ratyfikowanymi przez Polskę międzynarodowymi konwencjami. PROP przypomina o zobowiązaniu i wiarygodności Polski wobec społeczności międzynarodowej, jakie podjęliśmy po wpisie Puszczy Białowieskiej na listę UNESCO.

Również Komitet Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk zajął bezkompromisowe stanowisko w sprawie kilkukrotnego podwyższenia poziomu pozyskania drewna w nadleśnictwach puszczańskich, o unikato- wej w skali świata wartości.

Żdaniem członków tego Komitetu... wpisanie całości kompleksu leśnego Puszczy Białowieskiej na listę UNESCO nie byłoby możliwe, gdyby nie ograniczenie intensywności użytkowania jej zagospodarowanej części. Jeśli drastyczne zmiany, związane z aneksem do Planu Urządzania Lasu, pomniejszą wartość przyrodniczą tego miejsca, mogą grozić skreśleniem puszczy z listy miejsc Światowego Dziedzictwa. Proponowane rozmiary ingerencji naruszają nie tylko prawo, zobowiązania podjęte przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, ale w opiniach ekspertów, budzą poważne obawy o ich skutki dla puszczańskiej ochrony przyrody. Obowiązujący dotąd plan zadań ochronnych dla puszczy zwraca uwagę, że usuwanie martwych i umierających drzew jest jednym z podstawowych zagrożeń dla siedlisk grądów kontynentalnych, borów i lasów bagiennych oraz łęgów. Natomiast wycinka lasu, usuwanie martwych świerków w wieku ponad 100 lat zagraża zachowaniu relikto- wej fauny puszczańskiej.

Potwierdzeniem tej oceny jest wyczerpująca odpowiedź uznanych naukowców z wielu

uczelni wyższych na pytanie: dlaczego martwe świerki są potrzebne Puszczy Białowieskiej?

M.in. są szansą na skuteczniejszą, szybszą, naturalną i różnorodną biologicznie regenerację lasu siłami natury. Są miejscem wytwarzania i rozprzestrzeniania się „broni biologicznej” przeciwko kornikom. Bez martwych drzew nie będą się masowo, naturalnie odnawiać dęby, zginie środowisko wielu porostów i mszaków. Martwe, zmurzałe, rozpadające się drzewa są jedynym środowiskiem życia wielu gatunków chrząszczy i najważniejszym miejscem lęgowym rzadkich dzięciołów.

Dzięki powalonym i próchniejącym drzewom, których tylko w Białowieckim Parku Narodowym jest aż 25 proc., wzrasta bioróżnorodność lasu.

„Nieprawdą jest, że w puszczy po gradacji kornika, nie będzie przez długi czas tętniącego życiem lasu. Zaczyna się on odradzać niemal natychmiast. Z przyrodniczego punktu widzenia nieważne jest, że w miejscu świerka może wyrosnąć inny gatunek. Ważne, że zachowana zostanie ciągłość procesów ekologicznych (w tym przypadku samoistnego odnowienia lasu), typowych dla lasów mało zmienionych przez człowieka, gdzie mechanizmy te jeszcze działają”.

Tak podsumowała konferencję prasową na Uniwersytecie Śląskim, poświęconą planowanemu ścięciom drzew, zasiedlonych kornikiem w Puszczy Białowieskiej – dr hab. Anna Orczewska z Katedry Ekologii Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Śląskiego.

Była to wielka lekcja ekologii z udziałem znakomitej kadry naukowej tego Wydziału, zawsze żywo reagującej na łamanie praw przyrody i zasad ochrony środowiska. Jego członkowie i tym razem zaapelowali w oficjalnym piśmie do ministra środowiska o wstrzymanie prac nad zmianą Planu Urządzania Lasu w nadleśnictwach Puszczy Białowieskiej i zapewnienie jej należytej ochrony.





Berlin, styczeń 2016

„Poziom na dwa łamy” z komentarzem

(...) Otrzymałem 9., atrakcyjny numer miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” – pani dzieło. Ten doskonale wydany pod względem edytorskim i graficznym miesięcznik, był powodem do wzruszeń.

Jakież jednak było moje zaskoczenie, kiedy w opublikowanym, w tym numerze materiale p. Goli na temat śląskich fotoreporterów, stwierdziłem brak 4 nazwisk z tej niewielkiej grupy zawodowców. Są nimi: Halina Pindór („Sport” – jedyna kobieta w tym gronie), śp. Jurek Bydliński („Sport”), Jan Hanusik („Poglądy”) oraz niżej podpisany – Jerzy Mirski („Wieczór” oraz „Tak i Nie”). Dziwne, że pisząc o niewielkiej osobowo grupie zawodowych fotoreporterów, długoletnich pracowników Śląskiego Wydawnictwa Prasowego, zabrakło miejsca w tej pracy na nasze nazwiska. Nie mam pretensji do autora tekstu p. Goli, który wyjaśnia, że materiał zbierał w oparciu o informacje ze strony „starszych kolegów”. Natomiast nie jest prawdą, że p. Arkadiusz Gola, w swojej pracy przedstawił jedynie fotoreporterów związanych z redakcjami „Dziennika Zachodniego” i „Trybuny Robotniczej”, bowiem wśród wymienionych jest kilku, którzy nigdy z tymi redakcjami nie współpracowali.

Niniejszym postaram się więc przedstawić tych czterech pominiętych przez p. Arkadiusza Golę. Cała ta czwórka, to długoletni stażem zawodowym fotoreporterzy, autorzy dziesiątek zdjęć na łamach śląskiej prasy. Są laureatami nagród i wyróżnień. Sądzę, że chociażby z tego względu też zmieściliby się na łamach gościnnych „Śląska”.

Zarówno Halina Pindór – jedyny fotoreporter – kobieta w tym gronie, jak również jej redakcyjny kolega śp. Jurek Bydliński, swoimi zdjęciami na łamach katowickiego „Sportu”, uwieczniając cenione przez kibiców tzw. „momenty” czyli akcje podbramkowe, dostarczali tym prawdziwym wówczas kibicom tematów do długich dyskusji.

Podziwialiśmy zarówno Halinkę, jak i Jurka, za ich mistrzowskie operowanie sprzętem fotograficznym a przede wszystkim za to, że dysponując wówczas niezbyt czułymi materiałami negatywowymi, a zmuszeni szybkością akcji stosować bardzo krótkie czasy ekspozycji – co przeczyło logice – z pomocą trójków chemicznych w laboratorium redakcyjnym, dostarczali oczekiwane efekty swej pracy. Byli perfekcyjni!

Jan Hanusik, od lat związany z „Poglądami”, był autorem i pomysłodawcą

wyrafinowanych kompozycyjnie wielkoformatowych zdjęć, za które był słusznie (!) nagradzany. Zdobył również uznanie ze strony konkurujących z nami członków katowickiego Związku Artystów Fotografików.

Jest niezręcznie samemu się przedstawiać jako fotograf.

Jerzy Mirski, laureat liczących się nagród. Ale mój komentarz do artykułu p. Arkadiusza Goli wymaga udokumentowania tego faktami.

I tak: zdobyłem pierwszą nagrodę za fotoreportaż na III Konkursie Śląskiej Fotografii Prasowej, drugą nagrodę otrzymał wówczas Kazimierz Seko z CAF-u, a zdobywcą trzeciej nagrody był Jerzy Bydliński ze „Sportu”. Również pierwsze miejsce i nagrodę uzyskałem na ogólnopolskim konkursie „Wałbrzych ’80”, zorganizowanym staraniem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Klub Fotografii Prasowej (...). Jestem też zdobywcą pierwszej nagrody w konkursie na temat „ochrona środowiska człowieka” (1988), a zorganizowanym przez Związek Polskich Artystów Fotografików Oddział w Krakowie.

Wymieniam tylko moje pierwsze nagrody, pomijając dalsze, liczne wyróżnienia za fotoreportaże.

Ale naprawdę wielką osobistą satysfakcję stanowią dla mnie te prace fotograficzne, których wykonanie pozwoliło mi poznać wspaniałych ludzi. Zaliczam tu współpracę z Ryszardem Kapuścińskim, dyrektorem Ignacym Gogolewskim. Sporo zdjęć, wiele przeżyć łączy mnie z le-

gendarną postacią Pszczyny p. mgr. Aleksandrem Spyry – Leszkiem. Pożądliwie tolerował moją obecność z aparatem fotograficznym podczas organizowanych przez niego „Spotkaniach pod Brzymem”. Byłem obecny – też z aparatem podczas otwarcia skansenu za- bytkowych obiektów wsi śląskiej, które właśnie staraniem Leszka uratowane zostały od zniszczenia.

Miałem okazję dokumentować jego kolejne sukcesy – Muzeum Prasy Śląskiej, Izbę u Telemanna (...).

Przebywając na stałe w Niemczech nie zerwałem kontaktów z ukochaną Pszczyną (urodziłem się w Ornontowicach). Właśnie w nieistniejącej dzisiaj galerii „U Eliasza i Pistulki” na Rynku w Pszczynie, prezentowane były moje fotografie na indywidualnej wystawie.

Jako fotoreporter redakcji „Wieczoru” wraz z redakcyjnym kolegą śp. mgr. Józefem Markiem (autor wszystkich ilustracji do „Tomków” Alfreda Szklarskiego) byliśmy autorami kilku wystaw prezentowanych na terenie Śląska (...).

Ciekawostką stanowi portret wojewody gen. Jerzego Ziętka. Jestem autorem tego zdjęcia, które znajduje się jako powiększenie w siedzibie dyrekcji Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku (dzisiaj Parku Śląskiego – przyp. red.). Widoczny na tym zdjęciu wojewoda gen. Jerzy Ziętek występuje w ... cywilu, nie w mundurze i to wśród kwiatów.

W czasie pamiętnego strajku górników na kopalni „Manifest Lipcowy” w 1980 roku, strajkujący pozwolili na obec-



Jerzy Mirski, długoletni fotoreporter „Wieczoru” i tygodnika „Tak i Nie”.



ność i fotografowanie tylko dwóm fotoreporterom: byli to Stanisław Jakubowski z CAF-u i Jerzy Mirski z „Wieczoru”. (...)

My, śląscy fotoreporterzy setki razy spotykaliśmy się podczas rejestrowania wydarzeń na Śląsku dla potrzeb naszych gazet. Spotykaliśmy się także prywatnie w tym gronie, po pracy, np. przygotowując się do kolejnych wystaw fotograficznych. Byłem koordynatorem jednej z nich, odpowiedzialnym za prezentację zdjęć w pomieszczeniach ZPAF w Katowicach. (...)

Nadal gromadzę materiały do swoich indywidualnych wystaw fotograficznych. Miałem ich kilka na terenie Niemiec. (...)

Pod koniec 1988 roku, już w wolnej Polsce, przed swoim wyjazdem na stałe do Niemiec, odznaczony zostałem Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. (...)

* * *

Załączone zdjęcie sędziwego wojewody generała Jerzego Ziętka ma swoją małą historijkę.

W oznaczonym terminie, dysponując ponad 30 minutową rezerwą czasową, dojeżdżałem do Ustronia, miejsca zamieszkania wojewody. Przejeżdżając obok dworca kolejowego w Ustroniu, strzeliła dętka w moim samochodzie. Na zmianę koła było mało czasu. Narzu-

ciłem torbę na ramię, ciężką od fotograficznego sprzętu i biegiem wyruszyłem na miejsce spotkania, aby się nie spóźnić. Zziąjany, ale punktualny, zadzwoniłem do bramy. Zostałem wprowadzony do wnętrza domku. Właśnie poprawiałem ubranie na sobie, kiedy z pięterka wolno nadszedł gospodarz – katowicki wojewoda generał Jerzy Ziętek. Witając się ze mną zapytał: – *Co ty tak ciynżko dychasz, synku?* Opowiedziałem o awarii samochodu. – *Widza, że to je moja szkoła! No ale ze tego pstrykania cheba bydom nici. Mój uniform wzieni dzisiok do czyszczyńio.* – Ale, panie generale – odparłem, przecież nie przyjechałem fotografować paradny mundur, tylko naszego wojewódzkiego gospodarza. – *Aleś ty namolny* – rzekł Ziętek – *no to dobra. Pońdymy się może do jego ogródku, to coś tam porobisz.* „Porobiłem” serie zdjęć. Jedno z nich, jako powiększenie, znajduje się w dyrekcji Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku.

Wracając do mieszkania po tym pstrykaniu, generał zaproponował: – *Napijiesz się sy mnom koniaku?* – Ależ nie mogę, dziękuję. Naprawię samochód i wyruszę nim do Katowic. – *A cōż to, milicjanty cie nie znajom?* – Właśnie znają, ale tym bardziej, po koniaku, nie wolno mi prowadzić samochodu. – *No, no* – powiedział, uśmiechając się generał Ziętek – *to żech ino chciał wiedzieć. Ale*



Wojewoda gen. Jerzy Ziętek

herbatki to się chyba oba napijmy? Napiliśmy się herbatki.

Taki był nasz wojewoda katowicki generał Jerzy Ziętek. Traktował nas, tych „onych ze aparatami” jak ojciec. Gотовi byliśmy pójść za nim w ogień. Nie tylko my. Zawsze to będę pamiętał. (...)

JERZY MIRSKI

Skróty pochodzą od redakcji

www.poradniajęzykowa.pl

Dlaczego skrótowiec PiS się odmienia, a np. PO nie?

Skrótowce to formy powstałe w wyniku skrócenia nazwy wielowyrazowej. Są bardzo użyteczne, usprawniają komunikację, pozwalając wyrażać się w sposób ekonomiczny, a zarazem precyzyjny, aby wskazać instytucje (MNiSW – Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego), przedsiębiorstwa (PKP – Polskie Koleje Państwowe), organizacje (PSL – Polskie Stronnictwo Ludowe), a nawet pojęcia używane w nauce (JOŚ – językowy obraz świata), popularne formy komunikowania (SMS – ang. Short Message System), nośniki danych (DVD – digital video disc), diody (LED – ang. light-emitting diode) itd. Jak widać, w użyciu są skrótowce zarówno polskie, jak i obce. Niektóre używane są wyłącznie w formie obcej, jak np. USA (United States of America), a niektóre – jak ONZ (Organizacja Narodów Zjednoczonych) – mają wersję polską odmienną od obcej: UN (United Nations). Pomimo że przydatne i chętnie używane, skrótowce sprawiają nam pro-

blemy, ponieważ w polszczyźnie jako języku fleksyjnym mamy niektóre ich typy odmieniać. W związku z tym należy wiedzieć, jaki rodzaj gramatyczny ma dana forma, a także jak zapisać odmianną.

Podobnie jak rzeczowniki, skrótowce mają w polszczyźnie różne rodzaje gramatyczne, które decydują o sposobie ich odmiany. Przykłady wymienione w tytule są dwójakiego typu. Forma PiS i inne skrótowce zakończone w wymowie na spółgłoskę są odmieniane jak rzeczowniki rodzaju męskiego nieżywotnego, dlatego też PiS będzie przyjmować formy: PiS-u, PiS-owi, PiS-em, PiS-ie, podobnie MEN – MEN-u, MEN-owi, MEN-em, MEN-ie, BOR – BOR-u, BOR-owi, BOR-em, BOR-ze.

Sposób zapisu form odmiany regulują zasady pisowni polskiej. Jeśli skrótowiec się odmienia, końcówki fleksyjne dołączamy w pisowni, używając krótkiej kreski, czyli łącznika (zwanego też dywizem), co pokazują powyższe przykła-

dy. Inna reguła ortograficzna mówi o tym, że po spółgłoskach miękkich oznaczanych dwuznakami, takimi jak *mi, ni, fi, si*, piszemy np. o WAM-ie, w PAN-ie, o ZChN-ie, w RAF-ie, w MEN-ie, o PiS-ie.

Skrótowce (rodzime i obce), które w wymowie zakończone są na akcentowane samogłoski *-e, -i, -o, -u* (jak np. KGB, PWST, WSI, PO, PKO, PZU) oraz na akcentowane *-a* (jak SGH, USA, PTTK, AK), mają rodzaj nijaki i są nieodmienne. Rodzaj żeński mają natomiast skrótowce zakończone na nieakcentowane *-a*, jak FIFA, POLFA, YMCA, UNRA, IKEA, CINIbA, UKA.

Wiele skrótowców się leksykalizuje, co oznacza w tym wypadku, że traktujemy je jak zwykle wyrazy i z czasem również w taki „wyrazowy” sposób je zapisujemy. CPLiA, czyli Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, z czasem stała się *Cepelią*, sklepy przedsiębiorstwa DSA – *Dziela Sztuki i Antyki* – nazywano *Desa*, Państwowa Komunikacja Samochodowa miała pierwotnie skrótowiec PKS, później *Pekaes*, a *pekaesem* zwano autobus tego przedsiębiorstwa. Warto na koniec dodać, że formę *esemes* jako potoczną nazwę krótkiej wiadomości tekstowej wysyłanej lub odbieranej przez telefon komórkowy odnotowują słowniki na czele z ortograficznym.

Koalicja Miast 2016,
to pierwszy projekt
współpracy kulturalnej miast,
które ubiegały się o tytuł
Europejskiej Stolicy Kultury.

Współpraca ma na celu
prezentację kulturowe
Gdańska, Katowic, Lublina, Łodzi
oraz Poznania i Szczecina
skupione na najbardziej
charakterystycznych dla nich
narracjach kulturowych oraz
na tym, co stanowi
o ich *genius loci*.

Muzyczny katowicki tydzień



Foto: Marcin Oliva Soto

Wrocław jako Europejska Stolica Kultury 2016 stanie się sceną, na której spotkają się pomysły i praktyki z każdego z miast koalicji. Inicjatywa ta stwarza nowe możliwości w zakresie wymiany kulturalnej pomiędzy miastami, promowania lokalnych artystów, tworzenia wspólnych projektów artystycznych i kulturalnych.

Drugim istotnym celem projektu jest dyskusja o samorządowej odpowiedzialności za kulturę polską. Powstanie Think Tank – pracujący przez cały rok nad rozwojem kultury w samorządach lokalnych. Koalicja Miast stanie się platformą wymiany doświadczeń, łączącą polskie samorządy i instytucje, przyczyniającą się do podnoszenia kompetencji kadry sektora kultury.

Katowicki tydzień w ramach Koalicji Miast odbędzie się w dniach 15 – 21 sierpnia 2016 roku. Katowice, które w grudniu 2015 roku weszły do Sieci Miast Kreatywnych UNESCO i stały się

Miastem Muzyki, wniosą do programu ESK przede wszystkim projekty muzyczne. Do najbardziej widowiskowych należeć będzie z pewnością wspólny koncert zespołu VOŁOSI – grupy założonej przez klasycznie wykształconych muzyków po katowickiej Akademii Muzycznej, wzmocniony przez energię i entuzjazm fantastycznych beskidzkich artystów – z gruzińskim artystą Niazem Diasamidze i jego zespołem 33a. Gruzini mają w swoim kraju status gwiazd, a ich sława zaczyna przekraczać granice kraju. Z Polakami spotkali się zaś po raz pierwszy na jednym z zagranicznych festiwali, gdzie narodził się pomysł wspólnego grania.

Wyjątkowo zapowiada się także koncert katowickich jazzmanów, którzy wykonają najlepsze standardy jazzowe zgromadzone w tzw. Kolekcji Savory'ego – stworzonego przez pasjonata jazzu unikalnego zbioru nagrań jazzowych standardów wykonywanych w amerykańskim radiu w latach 30. i 40., a odkrytego

dopiero 6 lat temu przez Muzeum Jazzu w nowojorskim Harlemie. To będzie pierwsze ich wykonanie w Polsce.

Do Wrocławia trafi inny unikalny projekt jazzowy zatytułowany Coltrane – wspólne działania wybitnego saksofonisty związanego z Katowicami Macieja Obary i Mariana Oslislo – grafika i wielbiciela jazzu, który podczas koncertu wykonuje na żywo specjalne, kaligrafowane obrazy stanowiące część oprawy wizualnej.

Swoją ambasadę we Wrocławiu zyska Biuro Dźwięku Katowice – projekt łączący profesjonalistów i amatorów tworzących muzykę elektroniczną. Nad Odrą katowiccy twórcy połączą siły z artystami z Dolnego Śląska. Poza już zaplanowanymi projektami ogłoszony został tzw. open call, czyli konkurs na projekty muzyczne, które wzbogacą program katowickiego tygodnia we Wrocławiu. Pomysły ocenią specjaliści z Katowic i Wrocławia.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Wonio – w śląskich gwarach i w staropolszczyźnie

„Ale pachną te kwiaty w całym mieszkaniu!” – wykrzyknęła przed paroma dniami moja żona. „Woniają, woniają” – przytaknąłem, zamieniając jednak standardowe *pachną* na śląskie *woniają*, bo z czasownikiem *woniać* jestem związany od najwcześniejszych lat swego tarnogórskiego dzieciństwa, a używało się go i używa do dziś w gwarach śląskich zarówno w znaczeniu „pachnieć” (*ale woniają te kwiaty!*), jak i „wachać” (*powoniej je!*). Bożena Częstka-Szymon, Jerzy Ludwig i Helena Synowiec, autorzy „Małego słownika gwary Górnego Śląska” (Katowice 2000), przywołują w swym leksykonie także charakterystyczną składnię tego czasownika, a mianowicie *woniać na coś* w znaczeniu „pachnieć czymś”: „*Na co to wonio? – Na różę*”, a także zwrot *wonio jak u fారిczka* odnoszony do smakowitych zapachów unoszących się z kuchni. Mamy też imiesłów *woniaący* „pachnący”: *wonionce kwiatki rada mom w łogródku, te taszyntuchy mosz takie wonionce, naparfinowół sie wonioncom wodom*. Zarejestrowana jest również *wonionczka* – synonim form *merta*, *mirta*, *myrta* „mirt”: *m (l) ode państwo musiało mieć wonionczki, u mojej starki zawdy na łoknie stoła wonionczka*.

Dopowiedzmy, że przytoczone tu warianty wyrazowe występują równie często w brzmieniach z „ó”: *powoniej, wónio, wóniajom, wónioncy, wónionczka*.

Po ich przywołaniu zaś możemy powiedzieć, że obecne do dziś w gwarach śląskich *wonianie* jest kontynuacją stanu staropolskiego, w którym *woniać*, *wonieć* znaczyło „pachnieć” i „wachać, czuć”: „*Ale synowie kapłańscy woniających maści działali*” (Biblia kró-

wej Zofii z r. 1455), „*Ty jeś woniająca róża*” (Pieśń o narodzeniu pańskim z końca XV w.), „*Jabłuszka woniające*” (Biblia Leopolda z r. 1561), „*Nozdrza mają, a nie będą woniać*” (Psałterz puławski z końca XV lub pocz. XVI w.), „*Nozdrze mają, a nie wonieją*” (Piotr Skarga 1536-1612), „*Czym w lecie woniasz różę*” (Łukasz Górnicki 1527-1603). *Wonić* znaczyło tyle, co „pachnić, perfumować”: „*Szaty lniane wonić*” (Marcin Sienicki XVI w.), a *wonianie* – „wacanie” („*Garsć kwiecia do woniania*” – czytamy w XVI-wiecznym słowniku Jana Mączyńskiego) i „węch, powonienie” („*Oczom, smakowi, wonianiu, dotykaniu prostym się chlebem ten sakrament widzi*” – u Jakuba Wujka 1541-1597).

Była też w obiegu językowym *wonia* – „zapach”, „powonienie, węch”, od której urobiono wyłączną dziś *woń*: „*Powaniaw Pan Bóg woniej chętniej*” (Biblia królowej Zofii), „*Aby wonia albo on smród nie zaleciał*” (z XVI-wiecznego przekładu z łaciny Erazma z Rotterdamu), „*Kadzidlnicami wonią sobie czynić kazal*” (Piotr Skarga), „*Mają zmysły: oczy, uszy, dotykania, smaki i wonią*” (Piotr Skarga).

Słownik języka polskiego wydany w roku 1861 w Wilnie przez Maurycego Orgelbranda wszystkie te formy jeszcze zawiera, a i rejestruje takie wyrazy, jak *woniaczek* – „kwiatek woniejący”, *wonianka* – „przedmiot mający przyjemny zapach i z tego powodu noszony przez kogoś przy sobie”, „naczyńko na trzymanie rzeczy wonnych, flakonik, poduszczecka napuszczona wonnościami – inaczej *balsamiczka*” i *wonidło* – „środek lekarski do drażnienia nerwów powonienia”.

Dziś nie mamy ich w komunikacyjnym obiegu, a wszystkie postacie z *wonią* formalnie związane opatrzone są w słownikach kwalifikatorami przestarzałości, książkowego charakteru, a dotyczy to samej *woni* „zapachu”, jak i hasel *wonieć*, *wonnie*, *wonności*, *wonność*, *wonny*. Bo i kojarzymy je raczej z utworami literackimi, a nie z codziennymi sytuacjami. Czytamy np. w „Konradzie Wallenrodzie” Adama Mickiewicza (1798-1855): „*I kwiecie z brzegu przyniesione miota, jakąż w tym wietrze wonia i pieszczota!*”, a w „Godzinie myśli” Juliusza Słowackiego (1809-1849): „*Znudzeni wonią kwiatów zmięszaną, stokrotną, wynaleźli woń tęskną – dzięką i ulotną*” (choć znajdujemy *woń* i u pisarzy XX-wiecznych, np. u Leopolda Staffa (1878-1957), który w wierszu pt. „*Alea iacta est*”, czyli „*Kości zostały rzucone*”, napisał, że „*woń jest konaniem kwiatów*”, w mojej ulubionej zaś „*Zaczarowanej dorożce*” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1905-1953) mamy fragment: „*Ale w knajpie dorożkarskiej, róg Kpiarskiej i Kominiarskiej, idzie walc «Zalany słoń»; ogórki w słojach się kiszą, wąsy nad kuflami wiszą, bo w tych kuflach miła woń*”.

A jaka jest etymologia *woni*? – Pochodzi ona od prasłowiańskiej formy *voŋa*, ta zaś – utworzona przyrostkiem *-ja* – jest kontynuantem praindoeuropejskiego rdzenia *an* o znaczeniu „tchnąć, oddychać”. Ciekawe, że i *pachnieć* – kontynuant prasłowiańskiego czasownika *pachati* – kryje w sobie praindoeuropejski pień *pes* o znaczeniu „dąć, wiać”, czyli bliskim „tchnieniu, oddychaniu”.

Jestem w o tyle uprzywilejowanej sytuacji, że leżą przede mną nagrodzone jednoaktówki po śląsku, które do państwa rąk trafiają dopiero pod koniec przyszłej jesieni. Zarazem jest to okoliczność kłopotliwa – muszę się ograniczać, powściągać recenzencką dynamikę, żeby sztuk nowych laureatów nie spojlerować, nie pozbawić czytelnika przyjemności lektury. Nie jest również dla mnie jasne, jaką strategię powinienem przyjąć. Zacząć od ostatniego werdyktu i prac najlepszej trójki i potem, zgodnie z uświęconym w tym regionie kierunkiem iść w dół, grzebać głębiej (do narodzin idei, której akuszerem stał się Ingmar Villquist), czy może jednak zaufać chronologii wydarzeń, po to żeby wyeksponować rozwój? Ewolucję świadomości scenicznej. Profesjonalizmu. A być może nawet języka.

Ingmar Villquist we wstępie do najnowszego zbioru jednoaktówek „Banhof” powtarza „pierwotny” akt niewiary w powodzenie tego pomysłu. No dobrze, niech będzie – wątpliwości. Chociaż, mam wrażenie, że te repetycyjne „non credo”, czy „wątpliwości” służą raczej temu, żeby wyeksponować skalę zaangażowania śląskich twórców i rangę sukcesu, jakim stały się coroczne sceniczne żniwa.

Nie mam oczywiście na myśli sukcesu medialnego, fejmu zarezerwowanego dla literatury mejnstrimowej. Nie o to chodzi. Rzecz sprowadza się do ułaskawiania ukaranego języka, kompromitowanej przez dekady śląskiej godki. Chodzi tu o restytucję, recykling. Śląska gwara kojarzona była jednoznacznie z post proletariackim gettem etnograficznym, skazana, dla bezpieczeństwa, na funkcjonowanie marginalne i użytkowe, pisał onegdaj Villquist. Dowcipy o Masztalskim, które na początku i w połowie lat dziewięćdziesiątych wykroczyły poza granicę Hanylandu i zawojowały Polskę, miały ten trend odmienić, ale wydaje się, że tylko pogłębiły stereotypy. Problem nie tkwił tylko w języku, ale również w „śląskiej klaustrofobii”. Ślązacy byli i nadal są postrzegani jako ludzie podejrzliwi, nieufni mimo kulturowanego mitu o gościnności. Ściśnięci jak miasta, w których żyją. To paradoks, bo przecież mowa o regionie, który rozwijał się dzięki ogromnej sile napływowej. A może to paradoks tylko pozorny? Może jedna część Śląska żyła kosztem drugiej? Jedna rozwijała się, a druga związała? I stąd rosnąca niepewność, niegasnący lęk przed utratą tożsamości, rozplynięciem w ponowoczesnym ocenie?

O aktualności diagnozy Villquista (post proletariackie getto) myślałam na długo przed „Bysuchem z Reichu” – pierwszą publikacją jednoaktówek. Do tamtej pory śląska godka nie kojarzyła mi się z etosem pracy czy śląską religijnością, była dla mnie „mową” marginesu, mową ofiar transformacji ustrojowej, wykluczonych, bezrobotnych, ożartych spod „Baldra” czy innego „Hadesu”, kiboli i dresiarstwa. Nieodłącznie kojarzyła mi się z surowością, patriarchalną represją. Pisałam: śląskie jednoaktówki z „Bysuchu” próbują tchnąć ducha w „śląską godkę” ożywiając ją również z wewnątrz nie w niej istniejącą agresją, autorytatywnym osądem wszystkiego co inne, ale też rozpoznając to zagrożenie,

Język, który zawędrował tak wysoko

RADOSŁAW KOBIERSKI

dla przeciwwagi i jej usprawiedliwienia, powołują się na etos. Boga, pracę, honor, rodzinę. A właściwie już szczątki etosu. Dlatego znakomita większość sztuk odbywa podróż w jakąś archaiczną zamierchłość albo w baśniowość. Nic współczesnego *sensu stricte* nie może się tu wydarzyć. To znaczy współczesność próbuje tu zaistnieć i siebie opowiedzieć, ale siła resentymentu posiada masę czarnej dziury i wywołuje ruch orbitalny wokół horyzontu zdarzeń.

Kolejne publikacje – mam na myśli „Rajzyntasze”, ubiegłoroczny „Banhof” i najnowsze nagrodzone prace są już w jakimś sensie przełomowe. Śląskie historie, nie dość że opowiedziane z większym rozmachem, bez kompleksów, bez porównania dojrzałsze, próbują już się wyemancypować z dyżurnej tematyki. Poszerza się przestrzeń, komplikują losy bohaterów, pogłębiają się linie podziałów. Patriarchalny Śląsk jest iluzją. Miejsce nieobecnych lub biernych mężczyzn (praca na dole, działanie wojen-

atralną konwencją, aluzyjność, autoironię, itd. Można powiedzieć, że autorzy jednoaktówek stają się beczelnie świadomi materii, jaką jest tekst teatralny. My, czytelnicy tylko na tym korzystamy.

Wreszcie teksty najnowsze (ale i te publikowane w „Rajzyntaszy” i „Banhofie”) niezbitnie dowodzą, że coś zaczyna się dziać ze śląską „godką”, powoli zaczyna reagować na współczesną polszczyznę, może jeszcze nie jest całkiem „żywa” ale na pewno przebudzona. To rzecz niezwykle istotna, żeby system językowy potrafił anektować pojęcia abstrakcyjne, poszerzał swoje uniwersum, w innym razie pozostanie etnoreliktem, i nigdy nie przekroczy sfery własnych wyobrażeń. Oczywiście odzyskiwanie i kultywowanie takiego „reliktu” też jest ważne (zwłaszcza w śląskim kontekście), niemniej ambicje – takie mam wrażenie – są chyba większe. Po „Bysuchu” byłam jeszcze sceptyczna. Kolejne odsłony dają nieplonną nadzieję, że Śląsk – takim, jakim go

Śląska gwara kojarzona była jednoznacznie z post proletariackim gettem etnograficznym, skazana, dla bezpieczeństwa, na funkcjonowanie marginalne i użytkowe, pisał onegdaj Villquist. Dowcipy o Masztalskim, które na początku i w połowie lat dziewięćdziesiątych wykroczyły poza granicę Hanylandu i zawojowały Polskę, miały ten trend odmienić, ale wydaje się, że tylko pogłębiły stereotypy.

ne, internowanie, obsesje) zajmują nadobecne i nadaktywne żony i matki (to przesunięcie znajduje swoje maksimum w postaci Fridy, ponowoczesnej Lady Mackbet w sztuce „Bydzie lepiej” Marcina Melona, ale również w potrojonej kobiecej obecności w „Gdowie” Mateusza Czyby). Warto zwrócić szczególną uwagę na oba nagrodzone teksty. „Husycko nalywka” Grzegorza Sztolera jest sztuką par excellence historyczną (okres wojen husyckich), a mnie interesuje przede wszystkim Śląsk odciążony z historii, tzn. taki, w którym historia jest ledwie sygnalizowana, jest cieniem cienia, niedopowiedzeniem, które kryje się niejako na obrzeżu współczesnej opowieści. Właśnie w tej strategii wypatruję szansy, kierunku ewolucji. Jednoaktówki Melona i Czyby ten postulat w jakimś sensie spełniają, a przy tym rozszerzają repertuar scenicznych możliwości o elementy epickie, grę te-

widzimy i doświadczamy teraz – da się opowiedzieć po pełniej.

Wyeksponować rozwój i zaangażowanie. Powtarzam to zdanie. Jeśli śląscy twórcy, amatorzy i profesjonalści zbiorowo włączają się w proces odbudowy tożsamości (języka, kultury itd.), dzieje się to dlatego, że po pierwsze – sami sobie taką szansę stworzyli, po drugie – obrali przeciwną taktykę. Strategię pozytywną. Wyszli na wierzch. Oto język dzieciństwa, język z placu, spod kłopsztangi – pisał Mirosław Neinert, szef Korezu w przedmowie do „Bysuchu z Reichu” – wchodzi do teatru i brzmi mocno, i brzmi prawdziwie.

Nigdy, w najśmielszych oczekiwaniach ani w rzucanych kłótwach, świeckich ekskomunikach, bo i takie się zdarzały, nie przypuszczałam, że ten język zawędruje tak wysoko.



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Herb Katowic

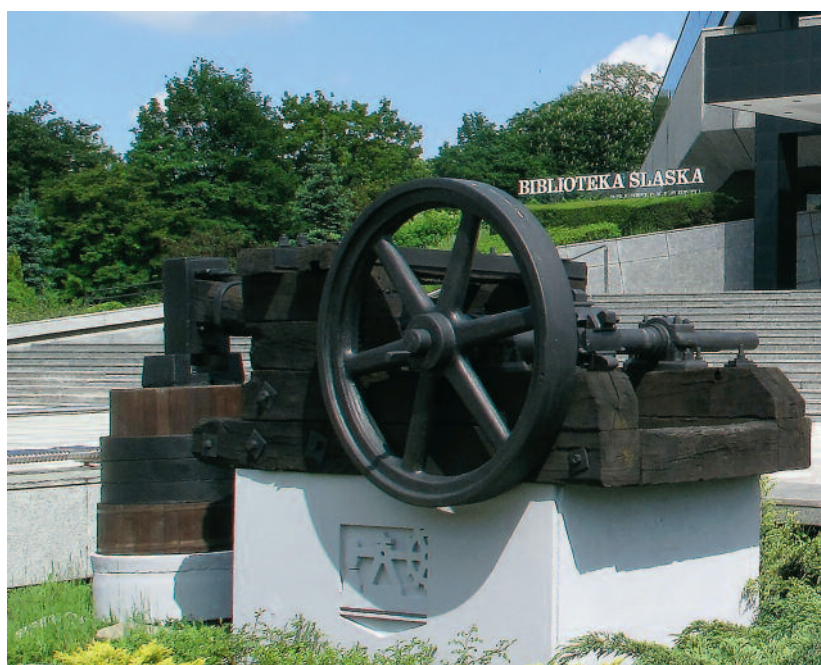
Jak zmieniał się herb, obrazują jego wizerunki eksponowane na frontach wielu gmachów użyteczności publicznej, usytuowanych przy głównych ulicach miasta. Do najstarszych wyobrażeń należą te ulokowane na froncie dzisiejszej Akademii Muzycznej (w latach 1922-1927 siedzibie Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego), na ścianie Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza czy obecnego Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego przy ulicy Jagiellońskiej. Imponujący jest też witraż wewnątrz gmachu Urzędu Miasta przy ulicy Młyńskiej.

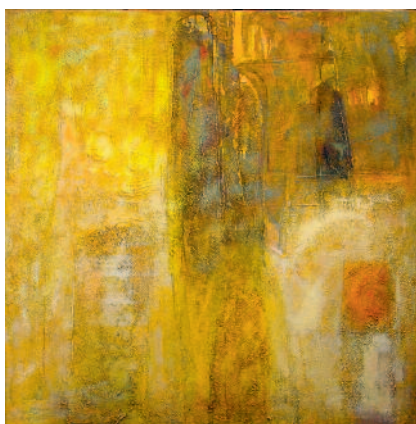
Główny element herbu – oryginalny młot kuźniczy jest eksponowany w otoczeniu Biblioteki Śląskiej. Przypomina on o kolebce miasta, jaką była Kuźnica Bogucka.

Po raz pierwszy herb pojawił się na pieczęci gminnej w 1816 roku. Przedstawiał młot mechaniczny, który z jednej strony spoczywał na kowadle, z drugiej strony znajdował się napęd młota – koło wodne. Nazwa osady brzmiała „Bogutzerhammer”, gdyż w tym okresie wraz z nazwą Katowice często pojawiała się nazwa Kuźnica Bogucka (nazwa pierwotna pierwszej osady w miejscu Śródmieścia Katowic). Zatem symbolika herbu związana jest z ważnym miejscem pracy dla mieszkańców ówczesnej wsi Katowice.

Od końca lat 60. XIX wieku pod deską znajdował się wpisany rok 1867, w którym oficjalnie zatwierdzono herb (o roku 1865 i 1867 pisze na str. 10 tego wydania „Śląska” Zdzisław Jedynek), ale w późniejszym okresie pojawiały się również daty 1866 i 1865. Dziś w obrębie miasta nie ma herbu z datą 1865.

Herb Katowic wywodzi się od dawnego godła wójtowskiego i po pewnych zmianach został zatwierdzony przez MSW w 1937. W 2004 herb przeszedł drobne poprawki: nastąpiła zmiana koloru belki z czerwonego na brązowy, a także nieznacznie został poprawiony wygląd koła zębatego. (wk)

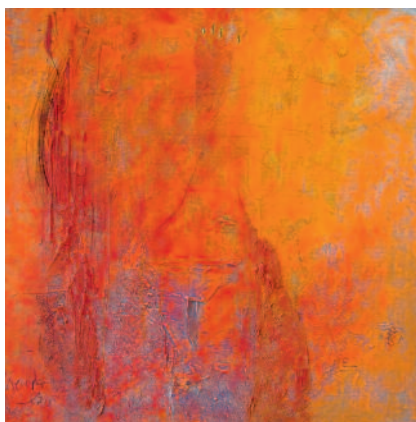




„Katedra” (akryl)



„Meczet” (akryl)



„Król i królowa” (akryl)



„Ognisty ptak” (akryl)



Malarstwo Beaty Wewiórki i Edwarda Szczapowa

Jedna ścieżka życia i dwa światy artystycznej narracji, tak można w skrócie określić biografię artystyczną Beaty Wewiórki i Edwarda Szczapowa, absolwentów Akademii Sztuk Pięknych w Sankt Petersburgu (1987-1993), którzy po ukończeniu studiów zamieszkali razem w Opolu, wzbogacając znacząco swoją obecnością środowisko artystyczne miasta i regionu. Beata Wewiórka – malarka, kierownik Pracowni Konserwacji Zabytków Muzeum Śląska Opolskiego, uzyskała tytuł doktora sztuk plastycznych na Wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki ASP w Warszawie. Wielokrotnie była nagradzana na wystawach konkursowych (Salon Jesienny ZPAP), a także za osiągnięcia w dziedzinie ochrony zabytków i dokonania twórcze (nagrody Marszałka Województwa Opolskiego i Ministra Kultury). Swoje prace prezentowała na wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą (Holandia, Niemcy, Czechy, Węgry, Belgia, Hiszpania, Litwa). Od trzech lat jest Prezesem opolskiego okręgu ZPAP. Zajmuje się malarstwem abstrakcyjnym, upraszczając i odrealniając swoje kompozycje w subtelny opis doznań odwołując się do rytmu, koloru i kontrastu, rezygnując z wymiaru ilustracyjnego obrazów. Natomiast malarstwo Edwarda Szczapowa przypomina, że nie tylko abstrakcja może być narzędziem artystycznej narracji, ale kontynuacja najlepszych tradycji malarstwa może nadal stanowić źródło niekończących się inspiracji. Artysta osiąga harmonię kompozycji, rysunku, i barwy – najwyższej próby, cechującej malarzy, którzy dopracowali się w sztuce własnego stylu. Edward Szczapow uzyskał tytuł doktora na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Praktykował w Muzeum w Ermitażu, obecnie pracuje w MŚO w Opolu jako konserwator Pracowni Konserwacji Zabytków, a także na stanowisku adiunkta w Instytucie Sztuki UO. Artysta prezentował swoje prace na wystawach m.in. w Opolu, Krakowie, Warszawie i Monachium. Jego obrazy zdobią Salę Senatu Uniwersytetu Opolskiego.

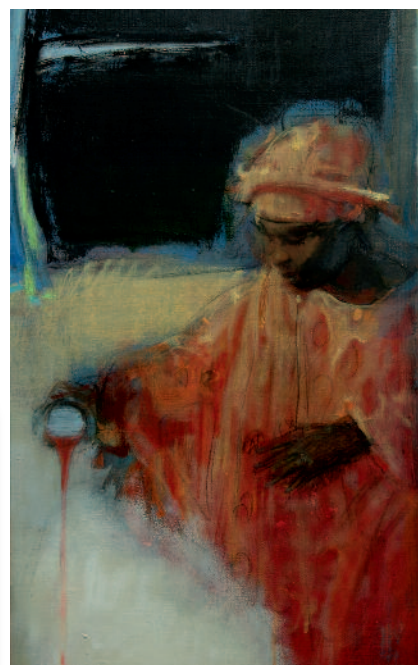
jiw



z cyklu „Senegal – kobiety na targu I” (olej)



z cyklu „Senegal – kobiety na targu II” (olej)



z cyklu „Senegal – przesypywanie prosa” (olej)

Biblioteka w Lyskach swoją działalnością obejmuje 10 miejscowości, a tym samym służy ponad 9 tysiącom mieszkańców gminy powiatu rybnickiego. Początki księżnicy sięgają 1947 r. Księgozbiór składał się wówczas jedynie z 500 woluminów, a placówka zajmowała skromne pomieszczenia w Urzędzie Gminy w Lyskach. Z roku na rok zwiększała się liczba książek, w związku z tym bibliotekę siedmiokrotnie przeprowadzano. W 1972 r. na skutek zmian administracyjnych utworzono gminę Lyski i powstała nowa sieć, tworzona przez bibliotekę centralną w Lyskach, filię w Raszczykach oraz punkty biblioteczne. Dwa lata później punkt biblioteczny w Adamowicach został przekształcony w filię. W wyniku podziału administracyjnego w 1977 r. do Lysk przyłączono dawną gminę Kornowac i sołectwo Zwonowice. Sieć bibliotek powiększyła się o placówki w Pstrążnej, Pogrzebieniu i Kobylu. Następny podział administracyjny w 1993 r. zmienił sieć biblioteczną. Filie w Pogrzebieniu i Kobylu weszły w skład utworzonej ponownie gminy Kornowac. Od tego czasu na terenie gminy Lyski działają: Gminna Biblioteka Publiczna oraz trzy filie – w Adamowicach, Pstrążnej i Raszczykach.

W latach 1993–2000 GBP mieściła się w pomieszczeniach zastępczych. Mała powierzchnia (50 m²) nie ograniczyła naszych pomysłów i działań. Spotkania autorskie organizowano w sali Ochotniczej Straży Pożarnej i świetlicy szkolnej. Tak nawiązała się współpraca ze szkołami i stowarzyszeniami, która trwa nieprzerwanie.

2001 rok był dla lyseckiej biblioteki przełomowy. Z jednostki budżetowej stała się instytucją kultury, która rozpoczęła swoją działalność w odnowionych i przystosowanych pomieszczeniach. Zwiększona powierzchnia biblioteki dawała nowe możliwości działania. Naszym marzeniem było, aby placówka stała się przyjaznym miejscem dla mieszkańców bez względu na wiek.

W następnych latach – bogatsi o doświadczenia – z powodzeniem realizowaliśmy nowe przedsięwzięcia. Z dumą wspominamy spotkania muzyczne organizowane dla naszych mieszkańców: „Koncert pamięci Papieża Jana Pawła II”, „Koncerty karnawałowe”, „Salon Chopina”. Pomieszczenie Ochotniczej Straży Pożarnej w Lyskach zamieniało się w salę koncertową, w której rozbrzmiewały arie operetkowe, muzyka klasyczna, rozrywkowa, a nawet sakralna. Nasza biblioteka kojarzona jest



Koncert karnawałowy Kwartetu „Stawros”

Gminna Biblioteka Publiczna w Lyskach

Piętnaście lat samodzielności

również z muzyką choralną. Sprawując opiekę nad chórami gminnymi, organizujemy ich występy. Coroczne koledowanie, koncerty pieśni maryjnych wpięły się na stałe w harmonogram naszych działań. Dbając o ludową tradycję, staraliśmy się ją przekazać młodemu pokoleniu poprzez organizowanie bożonarodzeniowych i wielkanocnych kiermaszów. Podziwiając prace ręczne wykonane z papieru, włóczki, drewna, wikliny, przenosimy się w świat naszych babć i dziadków.

Mamy wielki szacunek dla miejscowych twórców, dlatego wspieramy ich literacką działalność. W naszych bibliotekach można wypożyczyć książki autorów znanych w lokalnym środowisku, takich jak: Agnieszka Rusok (album *Pstrążna. Moja wioska ukochana*, 2006), Maria Cieślik (*Godzina zero*, 2007), Józef Cyran (*Konsek Śląska*, 2007) oraz Elfrida Tulec (*Starzyki... i inne boskie stworzenia*, 2003; *Listy do Pana Boga*, 2006). W tym miejscu należy także wspomnieć o dwóch naszych najnowszych wydawnictwach. *Długi lot do domu majora pilota Antoniego Tomiczka* (2014) dr Julii Dziwoki to opracowanie poświęcone patronowi Gimnazjum w Lyskach. Autorka opisuje bohaterskie losy Antoniego Tomiczka (1915–2013), weterana II wojny światowej, pilota służącego m.in. w brytyjskiej 1586 Eskadrze do Zadań Specjalnych, urodzonego w Pstrążnej. Inny charakter ma książka *Legendy, podania i gawędy z gminy Lyski* (2014) Jerzego Buczyńskiego. Jej autor przez kil-

ka lat zbierał materiały i rozmawiał z mieszkańcami, w rezultacie powstało cenne źródło wiadomości o miejscowym folklorze, które można wykorzystać m.in. podczas zajęć z edukacji regionalnej. Popularyzacji wydawnictw lokalnych twórców służą organizowane w bibliotece spotkania autorskie, które nie tylko są okazją do rozmowy z pisarzami, ale też przyczyniają się do promocji samej księżnicy.

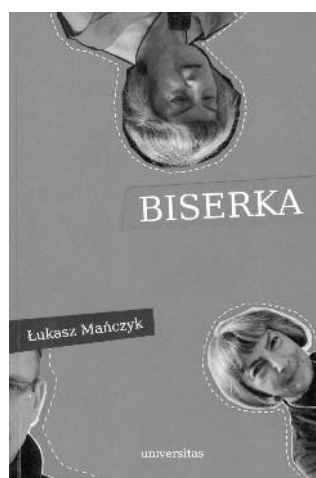
Wiele uwagi poświęcamy najmłodszym mieszkańcom. Odpowiednio dobrany księgozbiór dla dzieci i młodzieży sprawia, iż często i chętnie odwiedzają to przyjazne miejsce. Młodzi czytelnicy z wielką ochotą uczestniczyli w akcjach, takich jak: „Literackie Fanaberie”, „Piłka w bibliotece, czyli spotkanie z piłkarzami Odry Wodzisław”, „Smok wawelski w Lyskach”, „Noc z Andersenem”, „Cała Polska czyta dzieciom”, „Czytam sobie w bibliotece”.

Z zaangażowaniem przystępujemy do przedsięwzięć, które pozwalają na pozyska-

nie środków finansowych oraz sprzętu komputerowego. Należy wspomnieć projekt Działalność lokalnie VI – „Ocalić od zapomnienia. Przydrożne kapliczki i krzyże”, dzięki któremu biblioteka mogła wydać widokówki miejscowości należących do gminy Lyski. Dwa inne programy pomogły skomputeryzować nasze placówki biblioteczne. Pierwszy z nich – projekt „Ikunka”, realizowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji – umożliwił utworzenie czytelni internetowej. Z kolei w Programie Rozwoju Bibliotek zostaliśmy Biblioteką Wiodącą, a otrzymany sprzęt multimedialny stworzył płaszczyznę do nowych działań.

Współpracując z Fundacją Orange, umożliwiliśmy seniorom uczestniczenie w cyklach wideokonferencji „Spotkania z pasjami” oraz „e-motywacja”. W ramach tego ostatniego przedsięwzięcia grupa kobiet „Pasjonatki 50+” raz w tygodniu gromadzi się w czytelni biblioteki i bierze udział w e-warsztatach, będących okazją do poznania osób w podobnym wieku żyjących aktywnie, których działania mogą być inspirujące.

W tym roku mija 15 lat, odkąd biblioteka stała się samodzielną – gminną – instytucją kultury. Bogaty księgozbiór i zadowoleni czytelnicy są dla nas wielką radością. Dokładamy starań, by księżnica – tak jak dotychczas – była ważnym punktem na kulturalnej mapie gminy Lyski.



Portret wielokrotny

KSIAŻKI

MARIA DĘBICZ

Biserkę Rajčić poznałam w sierpniu 1987 roku w Belgradzie. Przygotowywała dla telewizji spotkanie autorskie Tadeusza Różewicza, laureata Nagrody Poetyckiej Złoty Wawrzyn w Strudze, w Macedonii. Nagroda, wręczana w katedrze św. Zofii, połączona z zasadzeniem przez laureata drzewka w Parku Poetów, cieszyła się wielkim prestiżem.

Różewicz był znany, a nawet popularny w Jugosławii, dzięki tłumaczeniom poezji i sztuk teatralnych na wszystkie języki tego państwa. Jego książki wydawano od połowy lat 50., uczestniczył w sympozjach poetyckich, bywał na premierach swoich sztuk. Na wieczorach autorskich spotykał się z czytelnikami, a miał ich wielu. Przyjaźnił się z tłumaczami, poetami. Świadectwa tych przyjaźni zostawił w swojej poezji i prozie. Szczególnie silna więź łączyła Różewicza z tłumaczem na język serbski Petarem Vujićiem. Trwała aż do śmierci Petara w 1993 roku. Najbliższą współpracownicą, przyjaciółką, a potem opiekunką Petara i jego spuścizny literackiej była Biserka Rajčić.

Wtedy, w drodze powrotnej ze Strugi, już w Belgradzie opowiedziała mi, jak w 1964 roku poznała Różewicza. Miał się spotkać w recepcji hotelowej. Biserka przyszła punktualnie, czekała jakiś czas. Nie wiedziała, jak poeta wygląda, więc poprosiła recepcjonistę, żeby wskazał jej Różewicza, gdy się wreszcie pojawi. Zdziwiony recepcjonista powiedział: ten pan siedzi od 20 minut pod oknem. „Odtąd już wiedziałam – opowiadała mi Biserka – że Różewicz nie tylko nigdy się nie spóźnia, ale zwykle przychodzi wcześniej. Zawsze o tym pamiętałam”.

Zapamiętała też, kiedy spotkała się z nim po raz ostatni. To było na Kongresie Tłumaczy w Krakowie w 2009 roku. Otrzymała wtedy nagrodę Transatlantyk, którą Instytut Książki honoruje najwybitniejszych tłumaczy literatury polskiej.

Na gali pojawiło się wówczas wielu wybitnych twórców kilku pokoleń, z noblistką Wisławą Szymborską na czele. Jeśli się zważy, że bibliografia tłumaczeń Biserki Rajčić liczy ponad 1500 pozycji, nie licząc napisanych przez nią monografii poświęconych polskiej kulturze, obecność tylu znakomitości nie dziwiła. „Z pisarzem nawiązuję kontakt na całe życie. Tłumacz pracuje do śmierci” – powiedziała laureatka.

Biserka Łukasza Mańczyka jest z wielu powodów wyjątkowa. Autor ukończył prawo na UJ i scenopisarstwo w łódz-

kiej Szkole Filmowej, jest radnym krakowskiej dzielnicy Krowodrze i autorem trzech książek. Jak mu się udało nakłonić do współpracy strzegącą swej prywatności Biserkę, pozostanie tajemnicą. Na pewno był cierpliwy. I miał energię na długie, nieraz uciążliwe, podróże do Belgradu. We wstępie do książki opisał kilka wariantów tras na południe Europy. Cel, jaki sobie postawił, wart był każdego wysiłku. Z czasem zdobył zaufanie, potem przyjaźń Biserki.

Mańczykowi udało się stworzyć portret osoby, która mówi o sobie, że przeżyła pięćdziesiąt lat w cieniu swoich autorów. Tłumaczki, która przez trzydzieści lat tłumaczyła „po pracy”, czyli po ośmiogodzinnym dniu pracy w bibliotece, gdzie miała stały etat... Zaczęła tłumaczyć od razu po studiach slawistycznych (1959-1963) na belgradzkim uniwersytecie. Poznała języki rosyjski, czeski, słowacki, polski. Utrzymywała się nawet przez pewien czas z nauczania języka rosyjskiego.

Książka Mańczyka jest oryginalnie skonstruowaną opowieścią o życiu i pracy Biserki. Tłumaczka urodziła się w 1940 roku. Do czasów strasznej wojny, która przeorała Jugosławię, żyła w miarę normalnie. A potem rozpadł się kraj i jej rodzina. Jedyny syn Lazar w 1994 roku uciekł przed wojskiem do Grecji. Żyje teraz na emigracji w Kanadzie. Tam Biserka ma wnuka Daniela. W 1994 roku zmarł mąż Biserki, Milan. Rok wcześniej jej przyjaciel i mentor – Petar Vujić.

Przeglądałam stare listy od Biserki. Przygnębiające wiadomości z końca lat 90. „Już 11. dzień zaczyna się od nalotów. Żyjemy bez perspektywy, bez przyszłości – pisze w kwietniu 1999 roku – jedyny świat, który teraz mam, to świat mojego mieszkania”. Biserka ucieka w pracę. Tłumaczy od rana do nocy, a „po godzinach” zaczyna prowadzić dziennik. Powstaje 300 stron zapisków.

Fragmenty dziennika *Tłumaczka pod bombami* w przekładzie Danuty Cirić-Straszyńskiej znajdziemy w książce Mańczyka w części Aneksy. W tej części są także rozmowy autora z Biserką. Fascynujące opowieści o życiu, przyjaciółach, religii, filozofii, sztuce, literaturze, teatrze, podróżach. O pisarzach polskich kilku generacji. Tłumaczyła ich wiersze, prozę, sztuki, reportaże, eseje. W rozmowach słychać czasem dyskurs z jej autorami, ale pojawia się też współmyślenie.

Mańczyk, subtelnie kierując rozmową, słucha zwierzeń Biserki, jej refleksji o życiu: „W młodości człowiek uczy się odrębnie. A jak zaczniesz łączyć dziedziny życia, filozofii, zaczniesz rozumieć świat i siebie jako część świata. Ale to nie pomaga w rozwiązywaniu problemów”.

Jednak tłumaczka i autor nie tylko filozofują. Chodzą razem na targ. Biserka oprowadza po ciekawych miejscach w Belgradzie. Idą pod dom Petra Vujićia na ulicy Čica Ljubina. Zwiedzają muzeum Josefa Tity, w którym znajdują się niezwykle urody rzymskie mozaiki z III wieku. Wchodzą na taras widokowy w ośmiopiętrowym domu Biserki, skąd po „odgarnięciu suszących się prześcieradeł”, roztacza się widok na stary i nowy Belgrad. Parzą kawę, pieką ciasto z nadzieniem, zwane *gibanica*, z papryki i cebuli gotują ajwar. I stale rozmawiają.

Tak powstaje portret „wielokrotny”. Oświetlony z różnych stron. Widziany z bliska i z oddali. Opisany z użyciem wielu pisarskich form: esej, reportaż, wywiad, dziennik. A także bibliografia przekładów, czyli dokumentacja pracy Biserki. Jest też wybór tekstów, napisanych o niej. I jeszcze zostaje miejsce na *Aneks plastyczny* z kolorowymi reprodukcjami kolaży Biserki. Oglądając te obrazki, przypominam sobie zawieszoną na ścianie w pokoju Biserki kolekcję pocztówek – kolaży Wisławy Szymborskiej – zapewne źródło twórczej inspiracji.

Łukasz Mańczyk, tworząc portret tłumaczki, nie tylko niczego nie zgubił po drodze, ale rozbudował wątki opowiadające o pracy jako pasji i metodzie. Tak powstała monografia Biserki Rajčić. Autor podarował ją tłumaczce niejako w podziękowanie za to, co zrobiła dla polskiej kultury. Do tych podziękowań dołącza i nas, czytelników jego książki.

Łukasz Mańczyk: *Biserka*. Kraków 2014, ss.317



Traktat o grze w świat

KSIAŻKI

KATARZYNA BERETA

Najnowsza książka Henryka Wańka o długim i tajemniczym tytule *Jak Johannes Kepler jadąc do Żagania na Śląsku zahaczył o księżyc* to istny majsterwerk. Określenie to zapożyczam z omawianej publikacji, której dwaj bohaterowie marzą właśnie o napisaniu mistrzowskiego dzieła. Autorowi *Finis Silesiae* udało się to. Zresztą nie po raz pierwszy. W pisarstwie Wańka wyczuwa się wyraźnie własny, stworzony przez pisarza język, sposób opowiadania, specyficzną wyobraźnię literacką, zasilaną z jednej strony baśniami, legendami, mitami, a nawet elementami magicznymi, z drugiej – filozoficznymi i religijnymi rozważaniami, wreszcie z trzeciej – żmudnymi kwerendami w bibliotekach, archiwach i antykwariatach w poszukiwaniu trudno dostępnych starodruków, dawnych map, listów, pamiątek i fotografii. W efekcie czytelnik otrzymał baśniowo-magiczną opowieść przypisaną szczyptą prawdy, a do tego obficie okraszoną słownymi żartami, w których często kryją się gorzkie i ponadczasowe racje.

Choć analizowany utwór nie jest oczywiście pozbawiony fabuły, jednak na plan pierwszy wybija się zdecydowanie jego charakter traktatowy. To wielki esej, do napisania którego pretekstem stała się podróż słynnego matematyka Johanna Keplera do Żagania, splatająca jego losy z życiem fikcyjnego chyba Hynka Panwicza, dawnego studenta prawa, a obecnie odludka i dziwaka. W rzeczywistości Waniek bierze pod lupę krytycznego spojrzenia takie problemy, jak: wartość i stan nauki oraz systemu uniwersyteckiego, sens i ważność liczb i matematycznego podejścia do całego otaczającego nas świata, naszą wiedzę o zaświatach i wiarę w ich istnienie oraz wpływ na doczesność czy wreszcie zasadę działania wszelkich komisji, które wszędzie robią, co chcą, bo mają do tego odpowiedni glejt wystawiony przez Kancelarię Najwyższego Majestatu.

Autor wychodzi od krytyki nauki i uniwersytetów w czasach Keplera, napisanej z polotem i pełnej humoru, a nawet kpiny. Po opisie kradzieży sukna na togi i birety, wskutek której powstawały zbyt małe stroje, co z kolei wymuszało zatrudnienie liliputów o małych łebkach, zdolnych wcisnąć się w owe sukienki dla lalek, pada w końcu śmiała konkluzja: „Dziś już nie jest tajemnicą, jakie to było dziadostwo – te egzaminy, licencjaty, bakałarze, magistrowie, a głównie *doctores et professores*. Doktoryzował się, kto żył”. Niestety w wie-

lu kwestiach i przypadkach do dzisiaj nic nie uległo zmianie na lepsze.

Równie trafna i aktualna jest refleksja nad studiami prawniczymi, do których namawiany jest przez wuja Wenczeslaus Hynko Panwicz. „Bo będąc adeptem prawa zdobędę majątek i władzę nad światem. Jeśli się dobrze zna prawo i potrafi nim operować, złoto automatycznie płynie strumieniami”. Abstrahując od zawartej w tym cytacie aluzji do rzeczywistej władzy, jaką daje znajomość prawa i zdolność do kluczenia na jego granicy, przedstawiony w nim tok myślenia nie jest obcy wielu młodym, wybierającym zawód jurysty w nadziei na szybki i pewny zysk. Pamiętam z czasów moich studiów podsłuchaną w autobusie rozmowę chyba już studentów medycyny albo maturzystów, spośród których jeden planował karierę kardiochirurga czy też kardiologa i to bynajmniej nie z pobudek altruistycznych, ale czysto finansowych, bo te specjalizacje – w jego mniemaniu – miały mu dać duży zarobek.

Z prozy Wańka wynika również, że zamilowanie do różnego rodzaju komisji to nie wymysł czasów nam współczesnych, a już z pewnością mechanizm ich działania jest wszędzie i zawsze taki sam: „Każdy oddział Komisji to dobrze uzbrojony szwadron, dokonujący na poczekaniu egzekucji wszelkiego rodzaju”. Co więcej, autor dodaje gorzką uwagę, że wręczony przez Kancelarię Najwyższego Majestatu glejt daje komisji „nieograniczone prawo popełniania pomyłek”. A wszystko to w świetle prawa! Czyż nie znamy tych obyczajów z pierwszych stron gazet?

Ważne i interesujące są także uwagi o końcu świata, problemie aktualnym w każdej epoce. Od zarania dziejów ludzkość wyobrażała sobie swoje unicestwienie, zakończenie istnienia Ziemi, jakiś czarny lub – odwrotnie – bardzo jasny punkt, który będzie kropką zamykającą historyczną narrację. Także bohaterowie książki Wańka wypowiadają obawy, w których obnażają swój dekadencji nastrój: „(...) koniec jest niewątpliwym. Świat zużył się, zepsuł i jest już śmieciem na śmietniku”. Zdanie to formułuje Hynko, który z obawy przed tym, że nie ma już nic poza nim samym, zamknął się w zamku z wieżą, którą traktuje niczym tratwę ratunkową, arkę, w której ma przetrwać powódź nicości. Ten obraz nasuwa pytanie o to, jak zachować się wobec kończącego się świata: zamknąć się w sobie czy też udać się w podróż w poszukiwaniu resztek dobra i normalności?

Panwicz atakuje również wiarę Keplera w doskonałą naturę liczb i w to, że są one w stanie wytłumaczyć istnienie wszechświata i odkryć logikę jego działania. Konfrontuje matematyczną postawę naukowca z przyziemną rzeczywistością: „Mów sobie zdrów rachmistrzu wszechświata, ale ulamki nic ci nie pomogą, gdy dopadnie cię głód, złoczyńcy, nawałnica i gwałt”. W ten sposób Waniek porusza problem granicy nauki i sensu poświęcenia jej swojego życia. Nauka to wielka sprawa, ale i tak wszystkie ideały kończą się, gdy zaczyna burzyć w żołądku!

Warto jeszcze zwrócić uwagę na zagadnienie wolności osobistej człowieka, o którym autor *Dziadów berlińskich* wypowiada się gorzko, opisując jej stan na przykładzie Panwicza: „(...) ważna część osoby Hynka jest własnością porządku cywilnego – tkającego jak pajak sieć przymusów, zwanych honorami (...). Prywatność Pana Hynka (...) określona przez Prawa i Ustawy, Dekrety i Dezyderaty, cieszyła się tym rodzajem swobody, o którym tylko naiwni myślą, że jest w nim coś cennego – dostęp do honorów i stanowisk, do wolnego dysponowania swym ciałem i myślą (...)”. Nasza wolność porusza się więc stale w ramach modalnych nakazów i zakazów, które jakże często są tej wolności pogwałceniem. Innego świata jednak nie ma, bo nawet aniołowie na kartach powieści Wańka są poddani prawom, rozkazom i interesom zwierzchników. Czy wszystko jest zatem jedną wielką grą?

Henryk Waniek: *Jak Johannes Kepler jadąc do Żagania na Śląsku zahaczył o księżyc*. Kottórz Mały 2015, ss. 239.



Słoneczna książka

KSIAŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Feblik jest o lecie, jego barwach, zapachach, smakach, intensywności istnienia, jakiej doświadczamy o tej porze roku. Upalne lato państwo Borejkwie nadal spędzają na wsi, u Patrycji, a my tymczasem oglądamy perypetie miłosne kolejnego ich wnuka, nieśmiałego Ignasia, który w sferze intelektu wydał się być kopia dziadka Ignacego, a w sferze uczuć był wycofany i nieśmiały – jednak to już czas przeszły, bo właśnie dzięki sile uczucia do Agnieszki młody Ignacy dojrzał i stał się niebanalnym młodym mężczyzną, potrafiącym pięknie łączyć subtelność uczuć z odwagą i determinacją czynów. W wypowiedziach Ignasia, jego zachowaniach, całej jego postawie widać, że jest świadomy hierarchii wartości i wysoko ceni prawdę. To on wypowie słowa: „Prawda wcale nie jest abstrakcją, ona żyje i wciela się w ludzi i w rzeczy. Rzeczywistość jest nią przepojona. Więc pewnie tak jest, że kochając rzeczywistych ludzi, kochamy prawdę, którą w sobie noszą. I nie chcemy, aby była fałszowana”. On też stwierdzi, że nie należy mylić szczerości z brutalnością, prawda nie polega na mówieniu drugiemu przykrych rzeczy.

Daleko wyprzedził swego kuzyna Józinka i przestał być miagwą, a Agnieszka stanie się kobietą jego życia. Matka Agnieszki jest alkoholizką, ale córka kocha ją w sposób dojrzały i zastanawia się nad zranieniem, które matkę doprowadziło do takiego stanu. Zestawiając niepełną, okaleczoną rodzinę własną z Borejkwami nie popada w kompleksy, ale myśli o samotności i udręce własnej matki i to jest ładne. W ogóle Agnieszka jest dziewczyną mądrą, utalentowaną i dobrą, w dodatku urodziwą i czytelnik nie ma wątpliwości, że Ignas wybrał dobrze.

Feblik jest dla rodziców dorastających dzieci cenną lekcją zgody na dorosłość własnego potomstwa, na jego odchodzenie do własnego życia. W jakimś momencie Grzegorz Stryba zobaczył, jak Ignas z Agnieszką „(...) szli w dół słonecznej ulicy zgodnie, równym krokiem, oboje długonodzy, wysocy i smukli, poruszający się w tym samym, niespiesznym rytmie. Nie trzymali się za ręce i nie rozmawiali, nawet na siebie nie patrzyli, a jednak – byli razem. Odchodzili coraz dalej i dalej. Już byli na rogu. Zaraz odejdą na dobre” – kurczy się ze wzruszenia ojcowskie serce, ale już budzi się w nim zgoda na owo odejście.

Również w *Febliku* córka Gabrysi, zwana Tygrysem, spodziwia się dziecka i moment, w którym Gabrysia dowiadu-

je się, że zostanie babcią, choć pełen milczenia – należy do najwymowniejszych w tomie.

Pisarka opowiada nam o trzecim pokoleniu bohaterów swej sagi, o ich dorosłości i wchodzeniu w samodzielne życie. Reszta rodziny jest obecna w mailach, esemesach oraz objęta czasem retrospekcji, ponieważ nawet rozłączeni Borejkwie tworzą wspólnotę. Czytamy o takiej nocy, gdy z nieba spadają Perseidy, a oglądający je w rozmaitych miejscach różni członkowie rodziny myślą o sobie i wtedy też są razem – na tej samej planecie, pod tym samym niebem.

Czas jest sielski. Mili i Ignacy Borejkwie widzą przed sobą samo piękno: „Przed nimi dom Florków stał w pełnym słońcu, promieniując bielą i spokojną prostotą, otulony w zieleni i kwiaty. Wokół omdlewał w upale ogród Pulpecji, trawa wysychała, róże przywieszały główki, floksy się słaniały, i tylko słoneczniki wyglądały na w pełni zadowolone. Brzęczały pszczoły, a osy i szerszenie uwijały się przy pobliskiej śliwie renklodzie”, na piersi drzemiącego seniora rodu łagodnie unosi się i opada Seneka. Zadowolenie Borejkwów osiąga apogeum i senior rodu w jakimś momencie wyzna, że lubi mieć zięciów, na co Florek przypomni mu dawniejsze serwowanie czarnej polewki, bo dialogi, jak w całej *Jeżycjadzie*, tak i tutaj skrzą się humorem i błyskotliwością.

Feblik jest najbardziej malarską książką ze wszystkich tomów sagi. Talent plastyczny pisarki tym razem najpełniej doszedł do głosu, bo dosłownie maluje ona cały świat. Znajdziemy więc sensualistyczne opisy przestrzeni i miejsc, jak również tak odmalowany wazon, że niemal widzimy turkusy i kobalty przechodzące w indygo, jak i znakomitą ekfrazę zaczynającą się od słów: „Obraz był ciemnoszary, jak późny zmierzch albo wczesna noc...”. Autorka przetwarza rzeczywistość obrazu na piękny, chwilami aż poetycki język. Znakomicie operuje szarościami i ich odcieniami oraz światłem przenikającym świat. I nie jest to jedyna figura tego typu, bo następną znajdziemy już kilkanaście stron dalej, tym razem jest to obraz w ugrach, brązach i żółciach. Najpiękniejszych komentarzy do obrazów tym razem dostarcza Gałczyński, bo i ta książka jest silnie nasycona poezją, jak i pozostałe tomy *Jeżycjady*.

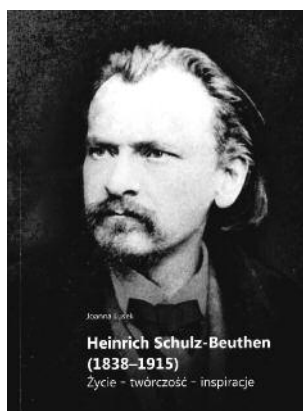
Oczywiście i tu wszyscy czytają: Patrycja Makuszyńska-go, Gabrysia Ellery’ego Queena, Agnieszka – dziewczyna na Ignasia, odkrywa *Krystynę, córkę Lawransa* Singrid i zakochuje się w niej, a w rozmowie z Mlą Borejkwą mówi, że ta książka porusza sumienie. To ważna lektura dla samej pisarki, która tak pięknie pisała o niej we *Frywolitkach*. Wiele Krystyn w naszym kraju zawdzięcza tej książce swoje imię.

W *Febliku* jest dużo pięknych rozmów, radosnych, żartobliwych, zadziornych, poważnych i głębokich. Dobrze zostało pokazane, jak można ze sobą rozmawiać, a komputer i komórki temu nie przeszkadzają, choć jedna z nich wrzucona do wyschniętej studni dzwoni żałośnie. A więc są dialogi młodych o miłości i o życiu, młodych ze starszymi i pogaduszki starszych ze sobą. Bardzo interesująca jest dyskusja papy Borejki z zięciem Robertem nad skłonnością niektórych polityków do korporaliów i ich obecnością (korporaliów, nie – polityków) we współczesnej polszczyźnie. Głęboko też zapada w pamięć rozmowa dziadka z wnukiem Jędrusiem o blokadzie w modlitwie. Przywołany wtedy zostaje znakomity wiersz Johna Berrymana *Jedenaście zwróceń się do Pana Boga* (tł. Stanisława Barańczaka): „Władco i mistrzu piękna, cyzelatorze śnieżnych płatków, Niezrównany wymyślaczu rzeczy...”.

A cały ten świat, wszystko i wszystkich przenika światło miłości Mili – żony, matki, babci, a wkrótce prababci.

Piękna to książka i mądra, dobrze ją czytać w pochmurny i zimny czas, bo rozjaśnia i ogrzewa czytelnika.

Małgorzata Musierowicz: *Feblik*. Łódź 2015, ss. 255, nlb.



W jednym szeregu z Lisztem i Wagnerem

KSIAŻKI

WIESŁAWA KONOPELSKA

Za życia stawiano go w jednym szeregu z Richardem Wagnerem, porównywano z Franciszkiem Lisztem i Robertem Schumannem. Heinrich Schulz-Beuthen kompozytor urodzony w Bytomiu, cieszący się uznaniem największych współczesnych twórców, którego nazwisko nie schodziło ze stron najlepszych gazet codziennych i specjalizujących się w muzyce, dający liczne koncerty na ówczesnych salonach muzycznych, cieszący się sławą – po śmierci zostaje zapomniany. Tę niezwykłą postać – człowieka i kompozytora przywołała w swojej najnowszej pracy Joanna Lusek, autorka wielowątkowego projektu poświęconego Schulzowi-Beuthenowi. Książka, która ukazała się pod koniec 2015 roku jest podsumowaniem ogromnej pracy, jaką wykonała autorka, by przywrócić, albo raczej, by rozpocząć proces przywracania Heinricha Schulza-Beuthena salom koncertowym i repertuariom zespołów orkiestrowych bądź scenom operowym.

Praca Joanny Lusek jest pracą naukową, będącą efektem kwerendy po archiwach Europy w poszukiwaniu śladów Schulza-Beuthena, efektem poszukiwań w zbiorach bibliotecznych, czasopismach. Przemierzyła i zbadała dziesiątki, jak nie setki tropów prowadzących do Schulza-Beuthena. W efekcie powstała książka drobiazgowo opisująca nie tylko samego Heinricha Schulza-Beuthena i jego dzieło, ale także kontekst historyczny, opisy miejsc, w których żył i tworzył. Nagromadzenie cytatów z wypowiedzi krytyków i opinii, a także pochodzących z korespondencji Schulza-Beuthena ze współczesnymi mu kompozytorami najwyższej miary, którzy po dziś dzień zajmują najwyższe pozycje w światowej literaturze muzycznej pokazuje, jak znaczącą postacią w świecie muzyki przełomu XIX i XX wieku był kompozytor urodzony w Bytomiu.

Pozostaje więc pytanie: dlaczego został zapomniany, skoro tak znakomicie funkcjonował (choć nie bez problemów i kłopotów) na muzycznej międzynarodowej scenie kompozytorskiej.

Heinrich Schulz w 1864 roku dodał do swojego nazwiska drugi człon – Beuthen, chcąc w ten sposób zacieśnić swoje więzy z rodzinnym miastem, wskazać na miejsce pochodzenia, ale także zwrócić większą uwagę środowiska kompozytorskiego na samego siebie, czego nie gwarantowało niezwykle popularne nazwisko Schulz. I pod tym dwuczłonowym nazwiskiem funkcjonował aż do śmierci w 1935 roku. Śmierci – dodać trzeba – w pewnym sensie w samotności, trawiony depresją i poczuciem osamotnienia. Twórca 130 dzieł – także symfonicznych

i operowych, wśród których jest wiele dzieł uznanych za wybitne, jak chociażby powstałe w Lipsku cykle fug na fortepian czy słynny i chętnie grywany w tamtych czasach utwór *Psalm 29*, który otworzył Schulzowi-Beuthenowi drzwi do kariery. Sam Franciszek Liszt pisał wtedy o tym dziele tak: „podzielał Pana [Carla Riedla – przyp.. wk] zdanie, *Psalm 29* Heinricha Schulza-Beuthena jest doskonały. Nieliczne tylko dzieła mogą się z nim mierzyć...”. To właśnie Liszt był promotorem i propagatorem muzyki pisanej przez Schulza-Beuthena. Kolejne lata spędzone przez kompozytora w Szwajcarii były najbardziej płodnym okresem w jego twórczości. Z tego czasu, jak pisze Joanna Lusek, w archiwum biblioteki Akademii Muzycznej w Katowicach zachował się jedyny w Polsce egzemplarz – rękopis VI Symfonii Schulza-Beuthena. Jak dowodzi autorka książki, Schulz-Beuthen nie zabiegał o druk swoich utworów, chociaż wykonywane były często i chętnie, cieszyły się uznaniem i powodzeniem. Jednak niepowodzenia, jakie kompozytor z Bytomia napotykał na swej drodze szybko go zniechęcały, zwłaszcza do środowisk muzycznych, w których przyszło mu funkcjonować, a w których, ze względu na ich hermetyczność – towarzyską – nie mógł zaistnieć tak, jakby tego chciał. Często więc zmieniał wraz ze swoją liczną rodziną miejsce zamieszkania, całe życie borykając się z problemami finansowymi. Mimo ogromnego sukcesu, jaki przyniosły mu kolejne utwory – *Psalm 42* i *43* dedykowane Lisztowi (wykonane po raz pierwszy w Towarzystwie Kompozytorów Niemieckiego Towarzystwa Muzycznego w Weimarze w 1870 roku), a także wyasygnowania pewnych kwot pieniędzy na druk tych utworów przez Towarzystwo, Schulz-Beuthen nie stoi w jednym szeregu z tymi, którzy zachwycali się jego muzyką. Po wykonaniu *Psalmu 42* pisano: „Kompozycja jest potężna, wzrasta, [jest] doskonale napisana, a jej kulminacją jest prawdziwie dramatyczna ekspresja. W każdym razie jest to talent, który wszystkich współczesnych przyćmiewa”.

Jak podaje Joanna Lusek, pod koniec życia Schulzowi-Beuthenowi największy rozgłos przyniosły *II i III Symfonia* – szeroko na ich temat rozpisywała się niemiecka prasa. W komentarzach pojawiały się stwierdzenia: „W gronie nowych symfoników Heinrich Schulz-Beuthen zajmuje w Dreźnie jedno z czołowych miejsc”... Dr F. Stade z Lipska umieścił ją wśród dzieł bliskich „Eroice” Beethovena” (Die Music-Woche. Leipzig).

Ostatni utwór Schulza-Beuthena powstał w 1906 roku – czteroczęściowa *Serenade*. Wielki romantyk, doceniany przez Lisztą, Wagnera, Brahmsa, uznawany za równego największym i porównywany z nimi (jego opery stawiano obok dzieł Wagnera), podziwiany przez krytyków, którzy upominali się o jego dzieła, wyniesiony przez króla Saksonii – Friedricha Augusta III do godności profesora, cieszący się uznaniem, ostatecznie trafia do położonego blisko Drezna Miejskiego Zakładu Leczniczko-Opiekuńczego, w którym pozostaje do końca życia.

Po gigancie twórczym, jakim za życia był Heinrich Schulz-Beuthen pozostało niewiele, nie zachował się nawet jego grób w Dreźnie, zbombardowany podczas II wojny światowej. Zagięły też rękopisy dzieł. Kiedy w rodzimym Bytomiu pamięci kompozytora poświęcono jedną z ulic, została przemianowana na obecną ulicę Jana Kasperka. Być może nie przyporządkował Schulzowi-Beuthenowi zafascynowanie postacią Otto Bismarcka? Jednak autorka książki każdy okres twórczości i życia kompozytora związany z danym miastem (Wrocław, Lipsk, Zurych, Drezno, Wiedeń) kończy szczegółowym wykazem dzieł kompozytora. Czy spuścizna kompozytorska Heinricha Schulza-Beuthena ma szansę na odrodzenie, jakby tego chciał Chris Walton, który pisał: „W Schulzu-Beuthenie drzemie nierozpoznany dotąd geniusz.”

Oby do renesansu tej niezwykłej postaci, a co za tym idzie upamiętnienia w samym Bytomiu kompozytora stawianego w jednym szeregu z gigantami romantyzmu europejskiego, przyczynił się projekt autorstwa dr Joanny Lusek, związanej z Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

Joanna Lusek: *Heinrich Schulz-Beuthen (1838–1915). Życie – twórczość – inspiracje*. Bytom 2015, s. 150



Krzyk i cisza

KSIAŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

Na *Pfu* Ewy Olejarsz złożyło się trzydzieści utworów. Są one – jednocześnie – małymi i narracyjnymi formami poetyckimi. Wierszem stały się pojedyncze wyrażenia i strzępowate fragmenty, jakby wyjęte z toczącej się w danym momencie rozmowy. Bywa, że same w sobie niewiele znaczą. Połączone – próbują przemówić jednym głosem albo toczyć dialog, czasami na siłę ułożyć się w całość. Nie znaczy to, że połączenia wyimków są zawsze udane. Ale – być może – kogoś przekonają takie volapiki: „S- mówiono, że dziewczynka przyciąga (...) / E- szszsz? / S- ślacy! / E- łeb świni? / S- nie, kurwa, orzełek! / E- szszsz! / S- trumny? / E- urny / S- republiki południowe? [...]”.

Polifoniczność. W omawianym tomiku jest ona wielowymiarowa. Dotyczy podmiotu wierszy, który – po pierwsze – przyjmuje postawę obserwatora rzeczywistości i z tej perspektywy przemawia; po drugie – wypowiada się w formie męskiej lub – częściej – żeńskiej. „Ja” liryczne ukazuje swoje osobiste rozdarcie, ma problem ze zdefiniowaniem własnej tożsamości: „[...] wykluczam chór, ale wraca; polifonnie; niedobrze. / muszę się ubrać. słyszę! coś w tle, odnoszę sopran, potem lirę; banał. wyciszam ją. jak ci to opisać?”. Słyszane głosy mogą być obrazem zagubienia, jakiejś wewnętrznej walki. Polifoniczność objawia się nie tylko na poziomie języka. Została ujęta w metaforę: „chór to polifonia / wszedł w trakcie. / zamilkł”.

Odsłonięcie przez osobę mówiącą swoich życiowych rozterek prowadzi do wyeksponowania cierpienia, najpierw prywatnego: „[...] zakuta od stóp do głów w stal / podczas wojennych wypraw, w czas pokoju, czas śmierci, / czas przemijania [...]”, następnie świata czy ludzkości. Już wiersz otwierający tomik wskazuje na skonstruowaną poziomowo przestrzeń, w której obowiązuje określony porządek: „[...] parter zajmują soki / marki sok; od czterech / do pięciu urn. / wyżej skatalogowane / szkła dla niekoszternej browarnicy”. Hierarchia społeczna, nierówność są stale obecne, dawniej i dziś. Autorka *Milczenia placu zabaw* przywołuje znaki przeszłości: Oświęcim, gwiazdę Dawida. Pokazuje, że „tu i teraz” niewiele się zmieniło. Historia lubi się powtarzać: „nie toleruję: Serbów, Żydów i Romów, / bo oni – nie rozumieją co o nich mówię. / lubię muzułmanów”. Tak mówi podmiot, który w pierwszej strofie wiersza przedstawia się następująco: „jestem chorwacką faszystką. / nie – terrorystką”. W świecie cierpienia, nietolerancji, nierówności i ogólnej dziwności społeczeństwa podmiot ma pretensje do Boga. Wyraża sprzeciw wobec jego przemądrzałości i wszechmocności: „skąd ty masz wiedzieć jak jest z dołu”, „powtarzasz wciąż tę samą formułę”. Odziera go z wszelkiej świętości: „z panem jak z osłem!”, „jebnąłeś mi tu cymes laurkę wprost z reklamy / pasty kolgejt”.

Poezja Ewy Olejarsz nie będzie się wszystkim podobać. Ciekawia w niej język, konfiguracje słów, estetyczny szok. Autorka *Milczenia placu zabaw*, chce mówić o ważnych sprawach. Na początku zawsze jest najtrudniej. Kiedyś przyjdzie refleksja, że o ważnych sprawach można mówić także w języku delikatności. Nie krzykiem, ale ciszą.

Ewa Olejarsz: *Pfu*. Warszawa 2015, ss. 38.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



Erinnerung und Versöhnung. Die Botschaft der polnischen Bischöfe an die deutschen Bischöfe und ihre Folgen. Pamięć i przebaczenie. Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich i jego reperkusje.
Wyd. Księgarnia św. Jacka, Katowice 2015, s. 164.

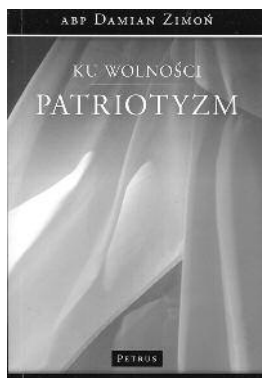
W roku 1965 biskupi polscy wystali do 56 krajów zaproszenia do uczestnictwa w obchodach Tysiąclecia Chrztu Polski. Wśród tych pism był także list do Episkopatu Niemiec, nazwany później *Orędziem biskupów polskich*... zawierający słowa „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, które wywołały wściekłość władz komunistycznych i rozpoczęcie nagonki na Kościół. Ówczesne media pytały, kto dał prawo biskupom przebaczenia w imieniu społeczeństwa polskiego niemieckim zbrodniarzom i za co my, naród tak ogromnie dotknięty skutkami wojny, mamy agresorów przepraszać. Argumentacja ta przemówiła do części Polaków tym łatwiej, że oryginalny tekst listu nie został wtedy opublikowany. W 50 lat po tym wydarzeniu nakładem Księgarni św. Jacka ukazał się tekst tego dokumentu, którego autorem był abp Bolesław Kominek. Książka zawiera także inne teksty napisane w roku 1965 oraz w rocznicę wybuchu II wojny światowej. Wstęp napisał ks. Damian Bednarski, który dokonał również wyboru materiałów źródłowych. Autorem słowa wstępnego do publikacji jest abp Wiktor Skworc, Metropolita Katowicki a jednocześnie Współprzewodniczący Grupy Kontaktowej Episkopatów Polski i Niemiec. W aneksie do książki zawarto reprodukcje listów oraz liczne zdjęcia archiwalne związane z rokiem 1965 a także z rocznicowymi spotkaniami. *Pamięć i przebaczenie* to bardzo ważny wybór materiałów źródłowych dla wszystkich, którzy interesują się relacjami polsko-niemieckimi w historii najnowszej.



Jerzy Stasiewicz: Po co komu krzyż.
Wyd. Komograf, Literacka PKP Jazda, Warszawa 2015. S. 128.

Dramat, który użyczył tytułu całej książce, sprawił, że poczułem się zdezorientowany. Pojawiały się coraz to nowe pytania bez odpowiedzi. Po pierwsze: gdzie to się dzieje? Niby proste – w jakiejś wiosce na końcu świata, funkcjonuje tam jeszcze kuźnia, biednie, w domu tylko smalec i powidła, za to jest bimber. Z biogramu dowiadujemy się, że autor jest *oddany ratowaniu ginącej tradycji wsi polskiej*. Drugie pytanie: kiedy to się dzieje? Na pewno przed wejściem do UE, nie ma bowiem mowy o dopłatach do rolnictwa. Ale już niektórzy gospodarze mają ciągniki, a i nasz kowal kupuje narzędzia firmy „Bosch” i to za miliony. Czyli przed denominacją. W sztuce pojawiają się też duchy, w każdym razie – zjawy. Wśród nich ormowiec, oficer polski i radziecki. Nie wnoszą one nic do akcji ani do losu realnych postaci. Resztę książki wypełnia poezja.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH



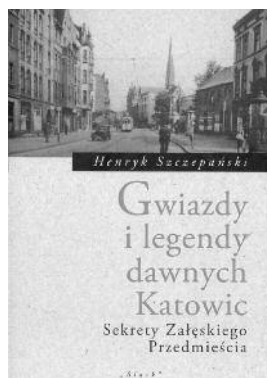
Abp Damian Zimoń:
Ku wolności. Patriotyzm.
Wyd. Petrus, Kraków 2016, s. 134.

W tych przemówieniach księdza arcybiskupa do wiernych nie ma w ogóle odniesień czy nawiązań do aktualnych wydarzeń ani do bieżącej polityki. Jednak są one właśnie aktualne, z tym że nie przez doraźne komentowanie, ale istotne ciągle wartości. Wywalczona wolność – według tych rozważań – to nie jest anarchia, hedonizm, egoizm. To dar Stwórcy i jeden z fundamentów ludzkiej godności. To odpowiedzialność, to wprowadzanie w życie ładu, dbałość o dobro wspólne. Przemówienia były wygłaszane w określonych dniach, związanych z rocznicami ważnych dla Polski dat (3 maja, 11 listopada) albo z określonymi momentami roku liturgicznego. Głoszone prawdy są proste, jak choćby ta, że Bóg dał Ziemię wszystkim ludziom. Wszystkim, więc nie można się godzić na wykluczenie całych grup, na ich ubóstwo. Nie można dopuszczać do niszczenia naturalnego środowiska. Życie powinno być twórcze. Autor swoje przesłania uzasadnia fragmentami *Ewangelii*, cytatai z *Dziejów Apostolskich*, zaczerpniętymi z encyklik papieskich elementami nauki społecznej Kościoła. Arcybiskupa Zimonia znam od wielu lat i wiem, że do jego ulubionych zajęć należy lektura, w tym czytanie poezji, nie byłem więc zaskoczony wykorzystaniem w tych tekstach również cytatów z dzieł literackich (m.in. *Ksiąg pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza). Motto do całości stanowią słowa Leopolda Staffa: „Wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości”. Nie mogło w rozważaniach arcybiskupa zabraknąć spraw śląskich. 3 maja to Święto Matki Bożej Królowej Polski, to dzień uchwalenia Konstytucji, ale także data wybuchu III powstania śląskiego. Jest nawiązanie do tragedii, która rozegrała się w kopalni „Wujek”, pojawiają się także Piekary itd. Książkę wstępem opatrzył ks. Edward Staniek.



Konrad Sutarski:
Jakkolwiek już późno.
Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, [Seria; Biblioteka „Toposu”], Sopot 2015, s. 80.

Autor zadebiutował w Poznaniu w roku 1956 (w kontekście tego miasta data znacząca). W 9 lat później wyjechał na Węgry i tam zamieszkał. Od tego czasu wydał tam sporo książek poetyckich po polsku albo w wersji dwujęzycznej. Dlatego w Polsce jest prawie nieznamy, nie zajmowała się nim także rodzima krytyka. Można więc powiedzieć, że *Topos* praktycznie Sucharskiego odkrywa dla polskiego czytelnika. A ta poezja jest oryginalna i interesująca formalnie, zaliczyć ją można chyba do nurtu lingwistycznego. Wiersze są dość długie, z konieczności więc tylko końcówka utworu bez tytułu: „Na szczęście spikerzy publicznie uzdrawiające zaklęcia/ mamrocza/minister w karty nie patrząc poprawę nam wróży/no i powie-trza mamy jeszcze dość”.



Henryk Szczepański:
Gwiazdy i legendy dawnych Katowic.
Sekrety Załęskiego Przedmieścia.
Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o.
Wydawnictwo Naukowe,
Katowice 2015, s. 320.

Henryk Szczepański jest od dawna współpracownikiem naszego miesięcznika, bardzo zaangażowanym w badanie historii Katowic, chętnie cytującym rozmaite archiwalne źródła, ma przy tym dar wynajdywania różnych ciekawostek. Z bólem serca musiałem nierzadko te teksty skracać żałując, że niektóre smaczki nie dotrą do czytelników, ale cóż – *Śląsk* nie jest z gumy. Dlatego ucieszyłem się bardzo, gdy ta dość pokaźna książka do mnie dotarła, bo pomyślałem, że autor wreszcie mógł sobie pozwolić na głębszy oddech. Publikacja jest dokładnie tym, co zapowiada tytuł – opowieścią o dawnych Katowicach, napisaną „do czytania”. Tematem są miejsca, ale przede wszystkim ludzie, którzy w mieście się urodzili, żyli, lub tylko się przewinęli. Oczywiście najwięcej miejsca Szczepański poświęcił Załęskiemu Przedmieściu i nie mogło być inaczej – autor mieszka przy ul. Gliwickiej. Któż tam nie mieszkał! Po wojnie i Ludomir Różycki, i Wojciech Żukrowski, i Bolesław Mierzejewski, i Mieczysław Łęcki i wielu, wielu innych. Wcześniej też w tej okolicy zamieszkiwali niepospolici bohaterowie książki Szczepańskiego. Jego opowieść pełna jest anegdot, wspomnień, zapisów wydarzeń, chciałoby się coś zacytować, ale co, skoro tego całe mnóstwo. Warto zwrócić uwagę także na archiwalne zdjęcia, czasem pochodzące z prywatnych zbiorów rodzinnych. Publikację zamyka lista lektur zatytułowana „Co warto przeczytać?” Nie jest to klasyczna bibliografia, raczej wykaz publikacji pojawiających się często tylko na marginesie treści książki, albo dotyczących historii Katowic, czy Śląska. Całość zamykają rozbudowane przypisy. Polecam nie tylko katowiczanom.



Leszek Szaruga:
Fluktuacja kwantowa.
Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, [Seria; Biblioteka „Toposu”], Sopot 2015, s. 56.

Znany autor książek poetyckich, esejów, krytyk i tłumacz niemieckiej i rosyjskiej poezji, oddaje w ręce czytelnika poemat, który jest próbą, czy raczej udaje próbę wyjaśnienia istoty wszechświata. Fizyka, kosmologia, teologia pojawiają się obok siebie w poszczególnych częściach tego utworu, dodatkowo wzbogaconego o liczne cytaty z prac naukowych, ale też z filozofów, a nawet z poetów. Cytuję fragment: „oto to/ foton/ ton/ foto/ oto on// ten błysk/ ten zysk/ ja sobie/ wyobrażam/ Boże/ mój// wielki zderzacz hadronów/ na-łapał stado/ fotonów// i oto/ pars pro toto”. Zabawa słowem, rytmem, ułamkami tekstów. Ale w końcu poeta stwierdza, że nie będziemy mieć teorii wszystkiego i nie uda się opisać wszechświata „w skali jego ludzkiej egzystencji”. Mądry pesymizm. To lubię.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Sztuka

Jacek Sikora



Juliusz Roger
patron Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”

Pod patronatem „Śląska”

Górnośląska Nagroda Literacka „Juliusz”

RYBNIK. Górnośląska Nagroda Literacka JULIUSZ została powołana do życia przez prezydenta Rybnika Piotra Kuczerę w celu uhonorowania najlepszej książki wydanej po polsku w ubiegłym roku. Pomysł zrodził się z poczucia, że wartościowa literatura nie mieści się w gatunkach i definicjach, że istnieją autorzy, którzy wykraczają poza granice swoich czasów. Nagroda wynosi 40.000 zł.

Nadesłane propozycje oceniać będzie kapituła, w składzie której znaleźli się znakomici reprezentanci ośrodków literackich i uniwersyteckich z różnych stron kraju. W skład kapituły nagrody wchodzi: dr Kacper Bartczak – tłumacz, poeta, amerykanista, pracownik Uniwersytetu Łódzkiego, dr Joanna Bednarek – tłumaczka, która zajmuje się także posthumanistycznymi filozofiami, związana z Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu, dr hab. prof. UŚ Zbigniew Kadłubek – eseista, filolog klasyczny, regionalista, komparatysta, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, prof. Anna Kałuża – literaturoznawczyni, krytyczka, związana z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach, dr Jakub Momro – literaturoznawca, filozof, tłumacz, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prof. Arkadiusz Żychliński – filolog, tłumacz, pracownik Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. Alina Świeściak – literaturoznawczyni, krytyczka, związana z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach, dr Michał Warchał – zajmuje się socjologią i filozofią religii, pracownik Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie.

Finał konkursu odbędzie się w październiku 2016 roku podczas Rybnickich Dni Literatury. Kandydatury do Nagrody mogą zgłaszać do 23 lutego wszystkie osoby, które ukończyły 18 lat, a także: wydawnictwa i osoby reprezentujące instytucje kultury oraz media o charakterze literackim, a także członkowie Kapituły.

Szczegółowych informacji na temat konkursu udziela Urząd Miasta Rybnika.

– *To jest pierwsza tego typu tak duża nagroda literacka w województwie śląskim. Jest to też pierwszą nagrodą literacką odwołującą się do nazwy miejscowej Górny Śląsk. Nagroda jest ulokowana w konkretnym miejscu w Rybniku, jest też opatrzona imieniem patrona – Juliusza Rogera. To postać wyjątkowa, wszechstronna, wszak Roger był etnologiem, etnografem, a jednocześnie ornitologiem, lekarzem, entomologiem, językoznawcą, a przede wszystkim kimś zatroskanym o przestrzeń społeczną – podkreślał prof. Z. Kadłubek.*

Nagroda to także szansa na atrakcyjną promocję miasta. – *Rolą samorządu jest pokazywanie miasta twórczego. Możemy to robić w różnych obszarach. Mam nadzieję, że liderzy opinii w sferze kultury zauważą Rybnik jako przestrzeń, w której kultura ma swoje ważne miejsce. To jest cenne dla budowania marki miasta. Niech ta nagroda będzie jasnym sygnałem, że samorząd rybnicki chce z jednej strony upamiętnić osobę ważną dla historii Rybnika, z drugiej zaś pokazać, że jest coś ważniejszego od popularnego dziś konsumpcjonizmu. Przedsięwzięcie sytuacji się też w kontekście rewitalizacji szpitala „Juliusz” – oprócz remontu materii trzeba mieć na względzie także sferę duchową – podkreślał prezydent Rybnika Piotr Kuczer.*

Pod patronatem „Śląska”

Konkurs na najpiękniejsze górnośląskie kroszonki

BYTOM. Konkurs *Górnośląskie Kroszonki* jest jednym z najpopularniejszych cyklicznych wydarzeń Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Konkurs oraz wystawa pokonkursowa mają na celu podtrzymywanie i propagowanie tak żywej na Górnym Śląsku tradycji zdobienia jajek wielkanocnych. W 2016 roku odbywa się już jego XXVII edycja.

Kroszonki dla jednych są symbolem świąt Wielkiej Nocy, dla innych – wiosenną dekoracją, inspiracją dla etnodizajnu. *Górnośląskie Kroszonki* to co roku kwintesencja ludowego wzornictwa, tradycyjnych i nowatorskich technik zdobienia, a także harmonijne połączenie swojskiej feerii barw z wyszukaną z elegancją.

Dostarczone na konkurs prace oceniane są w różnych kategoriach w zależności od techniki wykonania. Zgłoszone prace każdorazowo prezentowane są na pokonkursowej wystawie. Ekspozycja pokonkursowa w tym roku będzie połączona z wernisażem *Omne vivum ex ovo* przygotowanym przez Dział Przyrody Muzeum Górnośląskiego.

Nagrodzone i wyróżnione w konkursie prace, zgodnie z regulaminem pozostają w zbiorach Muzeum. Kolekcja górnośląskich kroszonek gromadzonych w Muzeum od lat 50. XX wieku jest stale wzbogacana i liczy obecnie ponad 1.000 sztuk. Najstarsze kroszonki zgromadzone w kolekcji Działu Etnografii pochodzą z lat 30. XX wieku.

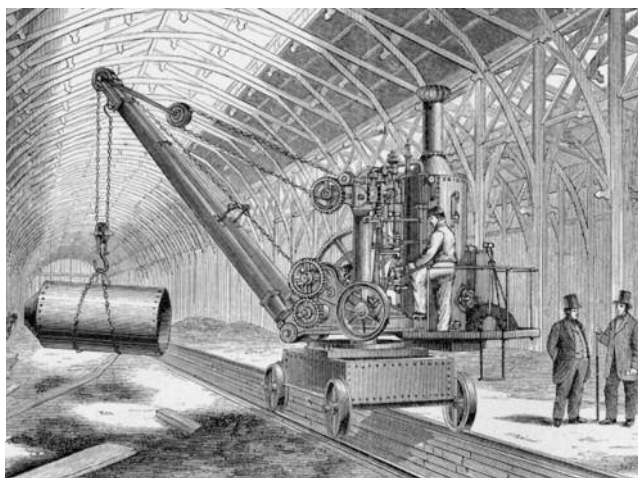
Wystawa, towarzyszące jej pokazy i spotkania stały się znaczącym wydarzeniem i miejscem na mapie turystycznej Górnego Śląska, z których chętnie korzystają nie tylko mieszkańcy okolicznych miast i regionu, ale także przyjeżdżający na okres świąt goście.

Pod patronatem „Śląska”

Wiek pary. Maszyny, które zmieniły świat

GLIWICE. Wystawa pt. „Wiek pary. Maszyny, które zmieniły świat” została przygotowana przez Muzeum w Gliwicach. Rewolucja przemysłowa i będące jej konsekwencją zmiany cywilizacyjne, wytworzenie nowej, agresywnej formacji ekonomicznej o zasięgu globalnym – kapitalizmu, nie byłyby możliwe bez wynalezienia maszyny parowej, której rozliczne zastosowania radykalnie i trwale zmieniły sposób życia społeczeństw. Migracja ludności z obszarów wiejskich do miast, masowa produkcja umożliwiająca powszechny dostęp do dóbr konsumpcyjnych, dawniej uważanych za luksusowe i zastrzeżone dla najbogatszych, kilkudziesięciokrotny wzrost gospodarczy, przyspieszenie komunikacyjne, sen o nieograniczonym postępie, wroście i rozwoju – wszystkie te zjawiska, które ukształtowały rzeczywistość industrialnego świata napędzane były silnikiem parowym. I właśnie o nich – poprzez ukazanie przemian w przemyśle, transporcie i komunikacji – opowiada ekspozycja przygotowywana przez Muzeum w Gliwicach wspólnie z Muzeum w Tamowskich Górach. Kuratorami wystawy są historycy: Anna Kulczyk i Przemysław Rubacha.

– *Na ekspozycji poświęconej temu rewolucyjnemu wynalazkowi nie mogło oczywiście zabraknąć prezentacji sylwetek wyna-*



Dźwig parowy, I połowa XIX w. Wystawa w Muzeum w Gliwicach

lasców różnych urządzeń o napędzie parowym, takich jak między innymi Denis Papin, Thomas Newcomen, James Watt, George Stephenson czy Richard Trevithick. Niewątpliwą atrakcją są także unikatowe, XVIII- i XIX-wieczne rysunki techniczne pochodzące z Archiwum Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu. Przedstawiają one maszyny parowe, ich elementy i szczegóły konstrukcji, przekroje oraz architekturę i infrastrukturę. W większości sporządzone zostały przez Augusta Fryderyka Holtzhausen, pierwszego wielkiego budowniczego maszyn parowych na Śląsku, związanego zarówno z Tarnowskimi Górami jak i Gliwicami. Projekty te wykonane zostały barwnym, lawowanym tuszem, niekiedy też akwarelą, stąd bardziej przypominają ilustracje niż rysunki techniczne. Ta grupa eksponatów stanowi część zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Z kolei by unaościć, jak liczne były dziedziny, w których maszyny parowe znalazły zastosowanie, i jak bardzo urządzenia te przyczyniły się do zmiany stylu życia całych społeczeństw, które przeszły od ekonomii opartej na rolnictwie i produkcji manufakturowej lub rzemieślniczej do mechanicznej produkcji fabrycznej na skalę przemysłową w ramach wystawy zaprezentujemy bogaty materiał ilustracyjny koncentrujący się na elementach maszyn (lub też całych maszynach) wytwarzanych w Hucie Gliwickiej, a stosowanych następnie w różnego rodzaju urządzeniach o napędzie parowym niemalże na całym świecie – parowozach, statkach, młynach, dźwigach i wielu innych – mówią Anna Kulczyk i Przemysław Rubacha.

Oprócz rysunków na wystawie znajdują się też modele – wciąż działających przedwojennych maszyn parowych, przekroje, modele pokazowe służące do nauki, ale także modele urządzeń służących do odwadniania kopalń przed zastosowaniem do tego celu dziewiętnastowiecznego wynalazku. Zobaczyć można modele kieratów konnych czy model nadszybia XVI-wiecznej kopalni srebra w Tarnowskich Górach z kołem deptanym. Maszynie parowej w XIX wieku towarzyszyła fala niczym niezmaconego entuzjazmu, dlatego na wystawie nie brakuje materiałów obrazujących tę fascynację ówczesnych ludzi wynalazkiem, który miał odmienić ich świat na lepsze, obiecywał nieograniczone możliwości – są portrety statków parowych czy parowo-żaglowych, fotografie tłumy ludzi z lokomotywą i słynny film braci Lumière z 1895 r. dokumentujący wjazd pociągu na stację kolejową. Ekspozycji „Wiek pary” towarzyszy bogata oferta zajęć edukacyjnych.

Wystawa jest dostępna do 31 maja 2016 roku.

Rozprawa doktorska o poezji Tadeusza Kijonki

KATOWICE. W Sali Rady Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach 8 stycznia 2016 r. odbyła się publiczna obrona rozprawy doktorskiej Edyty Antoniak-Kiedos za tytułowaną „Twórczość poetycka Tadeusza Kijonki”. Promotorem rozprawy była dr hab. prof. UŚ Anna Szawerna-Dyrszka. Pracę recenzowali: prof. zw. dr hab. Anna Węgrzyniak i dr hab. Maciej Tramer. Komisji egzaminacyjnej przewodniczył prof. zw. dr hab. Marian Kisiel.

Doktorantka Edyta Antoniak-Kiedos dała się już wcześniej poznać jako autorka licznych tekstów krytycznych zamieszczonych na łamach czasopism kulturalnych i pism literackich.

W Kopalni Guido – nowy poziom 355!

ZABRZE. Górnicza szczyta 355 metrów pod ziemią to najnowsza atrakcja zabrańskiej Kopalni Guido. Przed zjazdem w dawny obszar wydobywczy każdy uczestnik otrzymuje pełen ekwipunek górniczy: strój sztygarski, kask, lampę, gogle ochronne i maseczkę przeciwpyłową. Nowa trasa turystyczna wiedzie przez surowy, zalany mrokiem i nieudostępniany do tej pory teren kopalni. Podczas szczytu sztygar zleca uczestnikom wycieczki szeregu robót górniczych – montaż maszyn, transport rurociągu czy przycięcie drewnianego stempla. Poziom 355 można również zobaczyć w ramach wycieczki „Mroki Kopalni”.

Carole Benzaken w Muzeum Śląskim

KATOWICE. Pochodząca z Francji laureatka nagrody Marcela Duchampa, współczesna artystka interdyscyplinarna powróciła do Katowic z intrygującą i intymną instalacją *Mi'ma'amakim...* Projekt Carole Benzaken prezentowany w Galerii jednego z dzieł Muzeum Śląskiego jest symbolicznym nawiązaniem do Księgi Psalmów oraz do historii Górnego Śląska.

Fascynującym wątkiem twórczości Carole Benzaken jest umiejętne wykorzystywanie motywów pejzażu oraz skomplikowanych losów Polski i Górnego Śląska. Nie inaczej jest w przypadku instalacji *Mi'ma'amakim...*, którą stworzyła zainspirowana i oczarowana koncepcją architektoniczną Muzeum Śląskiego oraz historią regionu. Projekt jest próbą wpisania się w epicką opowieść o Śląsku i jego dziedzictwie widzianym i interpretowanym przez wrażliwość współczesnego artysty z innej przestrzeni kulturowej. Benzaken ujrzała w kopalni alternatywną, zamkniętą przestrzeń, do której przynależą wszystkie tęsknoty, symbole, marzenia o ucieczce w stronę wolnego świata, jakie zwykle uruchamiają się w człowieku postawionym w sytuacji „bez wyjścia”.

Umieszczenie dzieła w Muzeum Śląskim jest też grą z jego przestrzenią – z głębokością podziemnych sal – jako swego rodzaju metafora kopalni. Inspiracją dla pracy Carole Benzaken były także ptaki pozamykane w klatkach, które przed laty zabierane w głąb kopalń ginęły, gdy stężenie metanu było zbyt wysokie, ostrzegając tym samym górników przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

W monumentalnej przestrzeni holu centralnego – Galerii jednego dzieła – widzowie wpatrując się w instalację złożoną z lin, symbolizującą obrazy „rosnących ku niebu” drzew, i słysząc ptaki dramatycznie próbujące wydostać się na powierzchnię, pozostają w ciągłym niepokojącym ruchu myśli, obrazów i uczuć. Stąd nawiązanie do pierwszych słów Psalmu 130 *Z głębokości wołam do Ciebie Panie, o Panie, wysłuchaj głosu mego! Nakłoń swoje uszy ku głośnie mu błaganiu*, czyli w języku hebrajskim *Mi'ma'amakim...*

Widzowie wybrali

BIELSKO-BIAŁA. Listę wyróżnionych artystów XLII Biennale Marlarstwa „Bielska Jesień 2015” zorganizowanego przez Galerię Bielską BWA zamknął werdykt publiczności. Widzowie uznali za najlepsze obrazy dwójga artystów urodzonych w 1986 r. – „Bez tytułu I” Dawida Czycza z Krakowa i „Apokalipsa II” Marty Antoniak z Gliwic. Widzom spodobała się surrealistyczna, „zabandżowana” papuga Dawida Czycza oraz fakturalna abstrakcja o żywej kolorystyce, w której gliwicka artystka wykorzystała m.in. wiele plastikowych elementów, w tym zabawek. Finałową kolekcję na wystawie obejrzało około 3,5 tys. widzów. 29 stycznia br. podczas wernisza Sławomira Brzoski galeria uhonorowała artystów dyplomami, a wybranych losowo kilkoro uczestników głosowania, którzy prawidłowo wypełnili kupony konkursowe, nagrodziła katalogami i kalendarzami „Bielskiej Jesieni 2015”.

Cieszynianki dla działaczy

CIESZYN. Jerzego Wałęę z Cieszyna wyróżniono Honorową Złotą Cieszynianką AD 2015. Jak wyjaśnili prezes Zarządu Stowarzyszenia Samorządowego Ziemi Cieszyńskiej, starosta cieszyński Janusz Król oraz wiceprezes, burmistrz Cieszyna Ryszard Macura, Jerzego Wałęę nagrodzono za osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania i ochrony kultury – a przede wszystkim za tworzenie tzw. cieszynek, bogato zdobionych strzelb myśliwskich. Srebrną Cieszynianką zostali wyróżnieni: Elżbieta Hubczyk (Brenna),



Projekt Carole Benzaken prezentowany w Galerii jednego działa Muzeum Śląskiego



Papuga z obrazu Dawida Czyzcha „Bez tytułu I”



Marta Antoniuk
Apokalipsa II

Edward Dudkowiak (Chybie), Anna Gociek (Cieszyn), Jan Brzezina (Dębowiec), ks. prałat Adam Drożdż (Goeszów), Józef Witoszek (Hażlach), Monika Wałach-Kaczmarzyk (Istebna), Danuta Pawłus (Jaworze), Ryszard Klaczak (Skoczów), Wanda Niemiec (Strumień), Franciszek Korcz (Ustroń), Andrzej Wąsowicz (Wisła), Maria Stawarczyk (Zebrzydowice) oraz ks. Alojzy Wencel (powiat cieszyński).

Młodzi Papuasi

BIELSKO-BIAŁA. „Płynna tożsamość. Przeszłość i przyszłość w rysunkach dzieci reprezentujących zanikające kultury” to tytuł ekspozycji Sławomira Brzosi w Galerii Bielskiej BWA, która trwa od 21 stycznia do 6 marca. To efekt projektu artysty urodzonego w Szopienicach, który realizował m.in. w Nowej Gwini. – Są to rysunki dzieci z Doliny Baliem w Zachodniej Papui, pustynnej części środkowego Omanu i z Górnego Śląska, będące odpowiedzią na pytania dotyczące przeszłości oraz wizji przyszłości – powiedział Sławomir Brzosi. „Nic, poza pustynią” to – nawiązujący do suprematystycznego tekstu Kazimierza Malewicza – tytuł drugiej wystawy artysty prezentującej rysunki, rzeźby, instalacje, obiekty i wideo tworzone przez Sławomira Brzosi od 1996 r. – Tytuł oddaje moje odczucia wobec pustych miejsc, jakie w różnych zakątkach świata eksploruję – twierdzi autor wystawy zajmujący się nomadycznym doświadczaniem świata.

Preisner w domu

BIELSKO-BIAŁA. 15 stycznia w bielskim Domu Muzyki wraz z przyjaciółmi wystąpił Zbigniew Preisner. „W poszukiwaniu dróg” to zbiór nowych siedmiu kolęd, które kompozytor napisał i nagrał do – jak powiada – pięknych i mądrych tekstów Ewy Lipskiej i Jana Nowickiego. Wraz ze starymi „Moimi kolędami na koniec wieku” stworzył nowy album i przedstawił go publiczności miasta, w którym przyszedł na świat jako Zbigniew Kowalski. Artyście towarzyszyli: Beata Rybotycka, Edyta Krzemień, Maciej Balcar, Jan Karpiel Bulecka z zespołem, Dominik Wania, Jacek Królik, Sławomir Berny, Łukasz Adamczyk, Michał Półtorak, Monika Chrzanowska, Janusz Chrzanowski i Magdalena Pluta.

Prezydenckie laury

BIELSKO-BIAŁA. Nagrody prezydenta Bielska-Białej w dziedzinie kultury za osiągnięcia w roku ubiegłym otrzymali muzycy z reaktywowanej ostatnio grupy „Psio Crew”, autorzy bielskiego muralu „Pasterz” oraz twórcy albumu „Gajdosze” Katarzyna i Maciej Szymonowiczowie. Za dotychczasową działalność nagrodzono grupę „Lizard”. Nominacje otrzymali: Dagmara Włoszek, Mirosław Mikuszewski (za osiągnięcia w r. 2015) oraz Barbara Nachajski-Brożek, Rafał Butor, Agata Fender, Tomasz Lorek i Jarosław Grzybowski (za dotychczasową działalność).

Brincken wielokrotniony

CZĘSTOCHOWA. W grudniu i styczniu w Miejskiej Galerii Sztuki można było obejrzeć ekspozycję *Adam Brincken. Wystawa retrospektywna*. Artysta, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (której dyplom uzyskał w 1975 roku w pracowni prof. Adama Marczyńskiego), kierownik pracowni na Wydziale Malarstwa, współpracuje z częstochowskimi instytucjami kultury od lat, m.in. od 2009 roku jest członkiem Rady Programowej MGS, a także jurorem wielu konkursów.

Kuratorem wystawy była Barbara Major, a aranżacją zajęła się kustosz Muzeum Sztuki Japońskiej, Anna Król. W Częstochowie pokazano różne formy działalności Adama Brinckena – instalacje wywodzące się z ambalazu, m.in. *Białą salę* (składającą się z fragmentów okien i framug ASP w Krakowie) wraz z poliptykiem *Nieobecność*, cykle rysunkowe, np. *Kordon sanitarny*, czy obiekto-obrazy...

W Sali Gobelinowej zaprezentowano natomiast projekty witraży z cyklu *Genesis*, które znajdują się w kościołach w Wejherowie i Jarosławiu. W precyzyjnie skomponowanej przestrzeni można było zagubić się, by przeżyć rekolekcje również estetyczne, kontemplując barwy, fakturę, a także zadumać się nad transcendencją.

Fotografie z podróży

CZĘSTOCHOWA. 12 stycznia w OPK Gaude Mater odbyło się spotkanie z Dariuszem Gawrońskim w ramach cyklu *Obrazki z podróży*, inaugurujące wystawę jego prac w Cafe Skrzyńka. Fotograf pokazał zdjęcia z wypraw na Spitsbergen, do Syberii oraz Maroka. Była to również okazja do gratulacji z powodu głównej nagrody w II Międzynarodowym Konkursie Fotograficznym w Shenzhen w Chinach. Zwycięskie zdjęcie *Odwrót* zrobione podczas wyprawy na Grossglockner zostało wybrane spośród 10 tysięcy prac nadesłanych przez 2,6 tys. autorów z 58 krajów.

Na co dzień Dariusz Gawroński pracuje jako nauczyciel wychowania fizycznego w ZS im. Cypriana Kamila Norwida, gdzie prowadzi także Fotoklub Norwid. Jest członkiem Jurajskiego Fotoklubu. Poza fotografią podróżniczą zajmuje się kreatywną fotografią portretową. W ubiegłym roku zdobył również nagrodę w Międzynarodowym Salonie Fotograficznym „Just One Photo” w Jarosławiu za *Głównego księgowego* oraz w III Międzynarodowym Konkursie Fotograficznym „Bucovina Mileniu” organizowanym przez Rumuńskie Towarzystwo Fotograficzne za *Grzybiarza*.

Częstochowski kalendarz

CZĘSTOCHOWA. Od kilku lat Urząd Miasta przygotowuje kalendarz promocyjny. Najpierw zaprezentowano pracowników administracji (Justyna Warwas sfotografowała urzędników, rok później Piotr Dłubak urzędników), potem do projektu zaproszono częstochowskich artystów – Jacka Pałuchę czy Bartosza Frączka. Kalendarz na rok 2016 rok przygotowała Marta Frej. Z pomocą dra Juliusza Sętowskiego z Ośrodka Dokumentacji Dziejów Często-



Jedno z dzieł Sławomira Brzóska na wystawie
„Nic, poza pustynią”



W miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie

chowy artystka wybrała dwanaście częstochowianek o różnym stopniu rozpoznawalności; są wśród nich Halina Poświatowska, Kalina Jędrusiak, ale także Zofia Garlicka, Aurelia Woźnicka, Mieczysława Biegańska z Rozenfeldów, Maria Stypułkowska, Zofia Stanisława Idzikowska czy Wanda Kopecka. W swoich graficznych portretach Marta Frej wykorzystała zachowane zdjęcia, a często były to dokumenty wzruszające – np. album zdjęć rodziny Kopeckich, który przetrwał likwidację getta. Niektóre z prac wraz z gawędą dra Juliusza Sętowskiego drukowano w miesięczniku „Jasne, że Częstochowa”, wszystkie zaprezentowano w grudniu w Konduktorowni, a do końca stycznia można było je oglądać w Galerii Zwiastun przy MGS na wystawie *Częstochowa jest kobietą*.

Orkiestra wciąż gra

CZĘSTOCHOWA. 24. Finał WOŚP w Częstochowie odbywał się jak zwykle na placu Biegańskiego. Tu stały kotły z grochówką, wesole miasteczko w miniaturze, scena muzyczna. Tu odbywały się pokazy – WORD przygotował różne symulatory, a Bartek Mirecki prezentował auta wyścigowe, i licytacje (a można było zdobyć lot balonem czy kurs prawa jazdy). Oprawę muzyczną zapewnili: AmperA (zamiast zapowiadanego Venflona), Aquat Band, Pajujo, Łzy oraz Doda. Oczywiście, orkiestra w Częstochowie grała także poza placem. Można było ponurkować na miejskim basenie, poczuć się morsem nad Adriatykiem w dzielnicy Lisiniec, wziąć udział w zawodach SuperEnduro lub zobaczyć drukarki 3D w działaniu w Bolangerie. Tradycyjnie już Marta Szkiel przygotowała okolicznościową monetkę. Imprezę zakończyło światelko do nieba o 20.30.

Świąteczne powidoki

CZĘSTOCHOWA. W tym roku świetną dekorację Częstochowy docenili internauci w konkursie „Świeć się z Energią”. Najpiękniej było, oczywiście, na placu przed Ratuszem, gdzie w tym roku po raz pierwszy, od strony kościoła św. Jakuba stanęła szopka, przygotowana przez bezdomnych z ogrzewalni przy ul. Krakowskiej, parafię Bożego Miłosierdzia, Fundację św. Barnaby oraz ZSP im. Jacka Malczewskiego. Tym samym powstało drugie centrum świąteczne obok Jasnej Góry. Tu ojcowie paulini zbudowali ogromną szopkę pod hasłem: „Miłosierni jak ojciec”. Oprócz zwierząt (oślicy Amelki, lisów syberyjskich, alpaki, pawia) można było w tym roku zobaczyć również góralskie kumoterki, pochodzące z Zębu od rodziców Kamila Stocha. Dzieciatko złożył do żłóbka generał zakonu o. Arnold Chrapkowski w Wigilię tuż po Pasterkę.

W Wieczerniku natomiast wystawiono już po raz ósmy choinki przybrane przez dzieci z 13 przedszkoli i 27 szkół. Po podliczeniu 52 tysięcy głosów 8 stycznia okazało się, że zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 24, a kolejne miejsca przyznano Szkole Podstawowej w Wierzbchowsku i Przedszkolu Czerwony Kapturek w Częstochowie. Świąteczną atmosferą można było cieszyć się do 2 lutego.

Jubileusz współpracy i przyjaźni

OPOLE. W Filharmonii Opolskiej podczas Koncertu Noworocznego z okazji 25-lecia podpisania Traktatu o dobrym sąsiedztwie

i przyjaznej współpracy między Polską a Niemcami świętowano również jubileusz 25-lecia współpracy pomiędzy Państwową Szkołą Muzyczną w Opolu a Willigis Gymnasium Mainz. Od lat młodzieżowe orkiestry symfoniczne z Opola i Moguncji doskonaliły umiejętności podczas wspólnych warsztatów muzycznych i uświetniały koncertami polsko-niemieckie uroczystości oraz przedsięwzięcia na niwie kultury zarówno na Śląsku Opolskim jak i w Nadrenii-Palatynacie. Tradycyjnie od wielu lat występują wspólnie w Opolu podczas koncertów noworocznych. Tegoroczny jubileuszowy X Koncert Noworoczny zainaugurowano wykonaniem hymnów, co również miało wymiar symboliczny, podkreślając przesłanie koncertu. Podczas wykonywania hymnu Polski orkiestrą dyrygowała Hannelore Swartman z Moguncji, a podczas hymnu Niemiec – Hubert Prochota z Opola. Następnie młodzi muzycy w tonacji karnawałowej zagrali utwory m.in. Wojciecha Kilara (walce z filmów „Ziemia Obiecana” i „Rodzina Połanieckich”), Piotra Czajkowskiego, Franza Schuberta, Georgesa Bizeta, Dmitrija Szostakowicza, a także znane tematy muzyki filmowej do „Piratów z Karaibów” i „Parku jurajskiego”. Komplet publiczności nagroził wykonawców gorącymi brawami. Patronat honorowy nad koncertem objęli konsul Republiki Federalnej Niemiec w Opolu Sabine Haake i Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła. W słowie powitalnym Konsul Sabine Haake powiedziała: *po 25 latach od podpisania traktatu relacje polsko-niemieckie są skarbem, o który trzeba się troszczyć a jego efektem są aktywnie działające instytucje (Polsko-Niemiecka Komisja Rządowa, Forum Polsko-Niemieckie, Niemiecko-Polska Współpraca Młodzieży), partnerstwa samorządowe i szkolne, wymiana gospodarcza i coraz większe kontakty zwykłych ludzi, a w procesie tym ważną rolę odgrywa mniejszość niemiecka. Natomiast marszałek Andrzej Buła zwrócił uwagę na fakt, że: przyczyniają się do tego zarówno dobrosąsiedzkie jak i rodzinne tradycje oraz bogata współpraca wielu środowisk regionu, a w szczególności samorządów gmin i powiatów z szerokim gronem niemieckich partnerów, spośród których bardzo dobrym przykładem dbałości o jak najlepsze relacje polsko-niemieckie jest partnerstwo Województwa Opolskiego z Nadrenią-Palatynatem. Współpraca Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu i Willigis Gymnasium Mainz od czterech dekad przyczynia się do realizacji zapisów preambuły traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Polską a Niemcami, w której zapisano – że młodym pokoleniom przypada szczególna rola w nowym ukształtowaniu stosunków między obydwoma Państwami i Narodami oraz w budowie zaufania między nimi.*

Pensja Pani Siwikowej

SOSNOWIEC. Liceum Ogólnokształcące im. Emilii Plater w Sosnowcu, popularnie nazywana „Platerką” liczy sobie już 108 lat, nie jest najstarszą szkołą w mieście, wyprzedza go w tej konkurencji Liceum im. S. Staszica, którego początki sięgają końca XIX wieku (1894 r.), kiedy to zapobiegliwy niemiecki kapitalista, jeden z ojców sosnowieckiego przemysłu, zapobiegliwie ufundował Szkołę Realną, aby zapewnić kadrę techniczną wznoszonym przez siebie obiektom, m.in. przedalnię czesankowej i fabrykom. Dziewczęta, którym obce były nauki techniczne od 1908 r. edukowały się na pensji założonej przez W. Mojkowską, a dwa lata później, kiedy placówkę przejęła Józefa Siwikowa w prywatnej szkole handlowej. Przez lata podział w mieście był oczywi-



Spektakl przygotowany przez uczniów LO im. E. Plater w Sosnowcu „Pensja Pani Siwikowej”



Victor Grados w Galerii „Exlibris” MBP w Czeladzi

sty – chłopcy wybierali „Staszica”, dziewczęta „Platerkę”, choć obie szkoły w połowie XX wieku były już koedukacyjne. Jedno pozostało niezmiennie, licea zawsze wyróżniały się wysokim poziomem nauczania, sukcesami uczniów i nietuzinkowymi pomysłami.

12 lutego w sali widowiskowej „Muza” w Sosnowcu odbyło się kolejne przedstawienie, przygotowane przez uczniów LO im. E. Plater zatytułowane „Pensja Pani Siwikowej”. Tekst napisały maturzystki 2015: Alicja Giecwicz i Monika Zamożniewicz. Sztuka opowiada o początkach szkoły w mieście. Tekst powstał w ramach realizowanego w szkole za sprawą nauczyciela języka polskiego i filozofii Jacka Bajera projektu „O Plater trochę niekonwencjonalnie”. Oparte na literackiej fikcji widowisko powstało na podstawie wspomnień uczennic pensji Józefy Siwikowej. Premiera odbyła się w styczniu ubiegłego roku.

Peru w fotografii Victora Gradosa

CZELADŹ. Debiutancką wystawę autorską Victora Gradosa – fotografa z Czeladzi, można było oglądać w Galerii „Exlibris” Miejskiej Biblioteki Publicznej. 14 stycznia odbył się jej wernisaż, połączony ze spotkaniem autorskim i projekcją multimedialną. Wywodzący się z Peru, a osiadły przed laty w Czeladzi artysta, pokazał cykl zdjęć zatytułowany „Machu Picchu i Cusco”, będących zapisem jego wędrówki zarówno do miejsca urodzenia, czyli w okolice Limy, ale także do najśłynniejszych miejsc w Peru. Wraz z autorem znakomitych fotografii można było przemierzyć tysiące kilometrów po górach i miastach tego pięknego kraju. Fascynująca tematyka ekspozycji przyciągnęła wiele osób, chcących zapewne poznać nie tylko ten kraj, ale także i autora pokazanych zdjęć. Atrakcją wieczoru był kiermasz oryginalnego peruwiańskiego rękodzieła, przygotowany przez Dzielę Miśryne Archidiecezji Katowickiej.

Victor Grados jest członkiem Śląskiego Towarzystwa Fotograficznego. Fotografuje głównie Śląsk i Zagłębie.

„W stronę człowieka”

SOSNOWIEC. W Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki spotkały się dwa światy zatrzymane w fotografiach Krzysztofa Gołucha i Marka Wesołowskiego. Wystawę pod wymownym tytułem „W stronę człowieka” trzeba obejrzeć koniecznie. Jak zapewnia kurator Małgorzata Malinowska-Klimek: Łączy ich (...) niezwykle humanistyczne podejście do człowieka, którego świat stał się tematem tej wystawy. Krzysztof Gołuch z ogromną empatią i szacunkiem ukazuje świat ludzi, których nazywamy niepełnosprawnymi. Pokazuje nam ich codzienne zajęcia, niekiedy heroizm w pokonywaniu własnych ograniczeń, lecz przede wszystkim zwyczajne uczucia: radość, smutek, nadzieje na coś dobrego. Świat portretowanych osób okazuje się bardzo podobny do naszego, a może nawet bardziej autentyczny, szczery. Z kolei Marek Wesołowski posiada dar wykonywania portretów, które ukazują głębię osobowości modela. Nieoczywiste ustawienie, umiejętne operowanie światłem i odniesienia do osobistej biografii portretowanego człowieka pozwalają autorowi pokazać jego nieznane dotąd, ukryte przed światem zewnętrznym – prawdziwe oblicze. Autor nie narusza przy tym prywatności modela, przeciwnie: otacza go szacunkiem, należnym każdemu człowiekowi.

Pamięci Poległym na „Wujku”

BĘDZIN. Wystawę *Kopalnia strajkuje.... Strajk i pacyfikacja Kopalni „Wujek” 13–16 grudnia 1981r.* od 20 stycznia można zwiedzać w będzińskim zamku. Ekspozycję przygotowali: Śląskie Centrum Wolności i Solidarności we współpracy ze Społecznym Komitetem Pamięci Górników KWK „Wujek” Poległych 16 grudnia 1981 roku. To pierwsza tego rodzaju wystawa plenerowa poświęcona tragedii w katowickiej Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek”. Składa się z 24 plansz, na których zaprezentowano wiele niepublikowanych dotąd zdjęć.

Historia opowiedziana przez twórców wystawy zaczyna się planszą o kryzysie, który nastąpił w PRL na przełomie lat 70. i 80. ub. wieku. Następnie opisano powstanie związków zawodowych, „karnawał Solidarności”, wprowadzenie stanu wojennego, „odblokowywanie” zakładów pracy strajkujących na terenie województwa katowickiego, pacyfikację KWK „Wujek”. Ogromne wrażenie na zwiedzającym robią plansze z wizerunkami dziewięciu zastrzelonych górników i archiwalne i ich prywatne. Wystawę wieńczy tablica, na której przypominano kolejne procesy funkcjonariuszy plutonu specjalnego ZOMO. Wystawę można zwiedzać do 29 lutego.

Z „Oborą” w rok jubileuszowy

ZAOLZIE. Scena Polska obchodzi w tym roku 65. urodziny. W swój rok jubileuszowy polski zespół Teatru Cieszyńskiego wkroczył oficjalnie 23 stycznia – jakże inaczej – kolejną premierą, wystawiając sztukę „Obora” Helmuta Kajzara, przedwcześnie zmarłego pisarza związanego ze Śląskiem Cieszyńskim.

„Obora” to najbardziej klasyczna sztuka tego dramaturga. Jednak, jak zapewnił reżyser przedstawienia, Janusz Klimsza z Teatru Narodowego Morawsko-Sląskiego w Ostrawie (zadebiutował w latach 80. ub. wieku w Teatrze Cieszyńskim), także ona nie jest pozbawiona absurdu humoru znanego z innych jego sztuk. Tych absurdu scen jest w „Oborze” sporo, bo przecież rzecz dzieje się w czasach stalinowskich, kiedy to także w Polsce lub Czechosłowacji walczyło z „burżuazyjną” genetyką i usiłowano wprowadzać w życie eksperymenty radzieckich „geniuszy”.

Dodajmy, że autorem scenografii i kostiumów jest Marta Roszkopfová, muzyki – Vladislav Georgiev. W spektaklu gra większość aktorów Sceny Polskiej, a także dyrektor Teatru Cieszyńskiego, Karol Suszka, oraz kierownik artystyczny zespołu, Bogdan Kokotek.

Będzie dokument o „Beskidzie”

ZAOLZIE. Pod egidą Towarzystwa Turystyczno-Sportowego „Beskid Śląski” powstaje filmowy dokument na temat zaolziańskiego sportu. Jak poinformował wiceprezes tej organizacji, Henryk Cieślak, ekipa jest na półmetku tego projektu. Kręcenie zdjęć rozpoczęło się ponad dwa lata temu. Dziś gotowych jest sześć odcinków. Docelowo ma ich być dziesięć. – Realizacja materiału trwa długo, ponieważ musimy czekać, aż imprezy się odbędą. Z drugiej strony musimy zdobyć pieniądze, nie da się więc zakończyć tego projektu w jeden czy dwa sezony – tłumaczy Henryk Cieślak, który jest autorem scenariusza. Realizacją filmu zajmuje się natomiast profesjo-



W „Oborze” Helmuta Kajzara grają m.in. (od lewej): Małgorzata Pikus (Miętowa), Barbara Szotek-Stonawski (aktorka Elżbieta) i Dariusz Waraksa (profesor Ryjkowski)

nalna ekipa Ludka Ondruški z Czeskiego Cieszyna. Filmowcy „kręcili” już takie imprezy jak Zjazd Gwiazdzysty, mistrzostwa szkół w pływaniu czy turnieje tenisa dla dorosłych i dzieci. Filmowa ekipa gościła też m.in. w Karkonoszach, gdzie podpatrywała pobyt ekipy z Zaolzia na Świątowych Zimowych Igrzyskach Polonijnych.

Nadolzia historia gospodarcza

ZAOLZIE. Jaki wpływ miała na obecny kształt Śląska Cieszyńskiego rewolucja przemysłowa, jak procesy z nią związane kształtowały jego wielokulturowość i różnorodność etniczną? Tego wszystkiego można się było dowiedzieć podczas lutowego spotkania Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Gościem spotkania był dr Andrzej Lis, który wygłosił wykład pt. „Sytuacja społeczno-gospodarcza i polityczno-narodowościowa na Śląsku Cieszyńskim na przełomie XIX i XX wieku”. Gość MUR-u wyjaśniał, jak to się stało, że Śląsk Cieszyński przekształcił się w jeden z najbardziej rozwiniętych przemysłowo regionów Monarchii Austro-Węgierskiej, który w prawie 90 proc. pokrywał na przełomie XIX i XX wieku zapotrzebowanie cesarstwa na węgiel. Opowiadał, jak rozwijał się przemysł włókienniczy, sukienniczy czy hutnictwo i jak pociągało to za sobą napływ ludności z innych części monarchii. – To powodowało napięcia narodowościowe, a także społeczne. Szefami lub urzędnikami byli bowiem zazwyczaj Niemcy lub Czesi, a robotnikami Polacy – podkreślał dr Lis. Przypominał też, że dzięki rozwojowi gospodarczemu region bogacił się, a mieszkańcom coraz bardziej zależało na kształceniu dzieci. W związku z rozwojem przemysłu mechanizowała się także wieś, z której coraz więcej ludności przenosiło się do miast. – To wszystko powodowało, że mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego lub Górnego różnią się trochę od ludzi z innych regionów Polski, zwłaszcza z dawnego zaboru rosyjskiego. Uważam, że możecie być dumni z tego, że jesteście „stela” – zakończył swój wykład gość MUR-u.

Zaolzie ekumeniczne

ZAOLZIE. „Wezwani, by ogłaszać wielkie dzieła Pana” – pod tym hasłem zaczerpniętym z 1. Listu Apostoła Piotra także na Zaolziu przebiegał tegoroczny Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, odbywający się na całym świecie 18-25 stycznia. W ostatnim dniu tego tygodnia, kiedy Kościół katolicki obchodzi święto Nawrócenia św. Pawła Apostoła, zaolziańscy chrześcijanie spotkali się m.in. na dwóch nabożeństwach ekumenicznych. Pierwsze odbyło się w Czeskim Cieszynie, drugie w Karwinie.

W Czeskim Cieszynie chrześcijanie spotkali się w katolickim kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, a wspólną modlitwę prowadzili ks. Adam Rucki, wikary katolickiej parafii, ks. Mojmir Blažek z parafii Czeskobraterskiego Kościoła Ewangelickiego Na Rozwoju oraz ks. Cezary Mizia z Kościoła Starokatolickiego. W Karwinie nabożeństwo ekumeniczne odbyło się w poniedziałek w filialnym kościele pw. św. Marka. Wspólnej modlitwie przewodzili ks. proboszcz Przemysław Antoni Traczyk i ks. Stanisław Jochymek z katolickiej parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, ks. proboszcz Jan Cieślarski i bp senior Vladislav Volný ze



Nabożeństwo ekumeniczne w katolickim kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie prowadzili (od prawej): ks. Adam Rucki, ks. Cezary Mizia i ks. Mojmir Blažek

Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. oraz Niki Otisková, proboszcz parafii Czechosłowackiego Kościoła Husyckiego. Jak zdradził nam ks. Traczyk, kościół św. Marka jest świątynią ekumeniczną, w której odbywają się na co dzień msze i nabożeństwa różnych wyznań, m.in. liturgia grekokatolicka. – To serce ekumeniczne Karwiny – podkreślił ks. Traczyk.

W skrócie

■ Premiera reportażu multimedialnego „Jak z nut”, przygotowanego z okazji 80-lecia NOSPR odbyła się 15 stycznia br., a towarzyszył jej koncert w wykonaniu orkiestry Academy Of Ancient Music oraz solisty Pavla Beznosiuka.

■ W ramach cyklu „Środy młodych” Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” zorganizowała w sali kameralnej NOSPR koncert laureatów Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Michała Spisaka w Dąbrowie Górniczej.

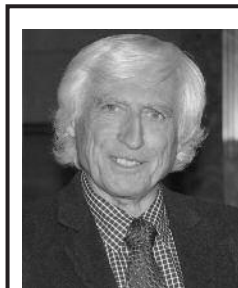
■ Benefis niemal 94-letniego Jerzego Gottfrieda, jednego z najwybitniejszych śląskich architektów, miał miejsce 21 stycznia w Bibliotece Śląskiej i połączony został z wystawą dokumentującą jego twórczość architektoniczną. Był twórcą „zawsze otwartym na awangardę i nowoczesność” i choć tworzył w prężnym PRL-u udało mu się zaprojektować takie innowacyjne perełki jak chorzowska hala Kapelusz, kompleks Ośrodka Postępu Technicznego w Parku Śląskim. Wspólnie z architektami Henrykiem Buszko, Aleksandrem Frantą zaprojektowali gmachy Okręgowej Rady Związków Zawodowych (dziś siedziba Urzędu Marszałkowskiego), Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach, czy Teatru Ziemi Rybnickiej.

■ 6 lutego Muzeum Miejskie w Tychach zapraszało na koncert piosenki literackiej w wykonaniu Bogusława Bierwiaczonka.

■ Zespół Snow Art Poland, którego liderem jest rzeźbiarz Tomasz Kocłęga, wykładowca ASP w Katowicach, zdobył prestiżową nagrodę The Best Creativity Award podczas XXI edycji Międzynarodowego Konkursu Rzeźby w Śniegu w chińskim Harbinie. To największa impreza tego typu na świecie. Zawody zgromadziły 28 czteroosobowych zespołów z 15 krajów. To już trzecia z rzędu nagroda, jaką polski zespół wywalczył w Chinach. W poprzednich edycjach konkursu Polacy zdobyli trzecią nagrodę oraz The Best Creativity Award.

■ Po siedmiu latach od rozstrzygnięcia konkursu architektonicznego, 25 stycznia otwarto Centrum Dialogu Przełomy, które opowiada o historii Szczecina po 1939 roku. Główna sala wystawowa liczy 900 m kw. powierzchni i to tu ulokowano ekspozycję stałą, pokazującą najnowsze dzieje Szczecina i okolic. Zamiast zwykłych elektronicznych urządzeń, prezentujących dzieje miasta, historię Szczecina poznamy za pomocą instalacji artystycznych. Przy realizacji wystawy pracował między innymi Grzegorz Hańderek, prorektor ASP w Katowicach. Budynek zaprojektował Robert Konieczny, szef katowickiej pracowni KWK Promes.

■ Praca dyplomowa Nadii Świerczyny ubiegłorocznej absolwentki ASP w Katowicach pt. „Cykl obrazów ku czci Henryka Mikołaja Góreckiego” – wygrała konkurs artNoble 2015. Nagrodzony dyplom składa się z 11. obrazów inspirowanych utworami Góreckiego oraz innych mistrzów muzyki klasycznej. Cykl prac został stworzony z myślą o Filharmonii Śląskiej w Katowicach.



Odszedł człowiek gór i literatury

Michał Jagiełło (1941-2016)

8 lutego odprowadziliśmy na wieczny odpoczynek śp. Michała Jagiełłę (1941–2016). Został pochowany w Zakopanem, w ukończonych Tatrach. Swoją bogatą osobowością wypełnił przestrzeń polskiej kultury, ale nie tylko. Był bowiem wiceministrem kultury (1989–1997), dyrektorem Biblioteki Narodowej (1998–2007), przewodniczącym Krajowej Rady Bibliotecznej, poetą, eseistą, publicystą, ale również taternikiem, alpinistą, naczelnikiem górskich ratowników oraz przewodnikiem tatrzańskim. Jego największą pasją były góry, które zdobywał, wspinając się, a także poświęcając im swoją twórczość pisarską. Ponadto interesowała go wielokulturowość dawnej i obecnej Polski, mniejszości narodowe w naszym kraju oraz współpraca kulturalna szczególnie z Białorusią, Litwą, Słowacją i Ukrainą. Był wielokrotnie odznaczany, m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz litewskim orderem Księcia Giedymina IV stopnia. W latach 2007–2014 prowadził w Bibliotece Śląskiej własny salon literacki. Jego najbardziej znaną książką jest wielokrotnie wznawiane *Wolanie w górach* (1979).

■ W galerii ArtNova2 Związku Polskich Artystów Plastyków w Katowicach gościła wystawa malarstwa Magdaleny Palecznej zatytułowana „Monumentum” – projekt ukazujący dystrofię śląskiej tkanki miejskiej, przedstawiający obiekty w momencie ich znikania.

■ Piotr Zaczekowski dotychczasowy dyrektor Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów od 1 lutego 2016 roku kieruje nową instytucją kultury, powstałą z połączenia Centrum Kultury im. Krystyny Bochenek i Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów.

■ W Muzeum Miejskim w Tychach, w Starym Magistracie odbył się wykład prof. dr hab. Krystyny Wojtynek-Musik „Między ideą a dziełem. Czyli o dynamice procesu twórczego”, towarzyszący wystawie „Olgierd Bierwiarz. Malarstwo”, którą można oglądać do końca lutego.

■ W Muzeum Historii Katowic odbyła się promocja książki Jadwigi Lipońskiej-Sajdak pt. „Pod złotą gwiazdą. Karczmy, hotele, restauracje, kawiarnie dawnych Katowic”.

■ Promocja książki pt. „Dla lepszej wiary ręką naszą podpisawszy... Autografy znanych postaci z zasobu Archiwum Państwowego w Katowicach” autorstwa dr Barbary Kalinowskiej-Wójcik i dr. Mirosława Węckiego odbyła się 26 stycznia br. w Muzeum Śląskim. W albumie autorstwa pracowników Archiwum Państwowego w Katowicach oraz Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego znalazły się dokumenty zawierające własnoręczne podpisy władców, polityków, ludzi kultury, przemysłowców i dowódców wojskowych. Najstarsze zachowane autografy osób, które na przestrzeni wieków zasłużyły się w dziejach Europy, Polski oraz Górnego Śląska, pochodzą z XVI wieku, najnowsze – z drugiej połowy XX wieku.

■ „Polka” to tytuł albumu Kwintetu Wojtki Mazolewskiego, którego bielska premiera odbyła się 21 stycznia w klubie Aquarium. Jak powiada organizator imprezy Jerzy Rocławski ze stowarzyszenia „Sonata”, „Polka” to popis kunsztu lidera zespołu i jego współpracowników – Joanny Dudy, Qky Janickiego, Marka Pospieszalskiego i Oskara Toroka.

■ W pięknej sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Bielsku-Białej odbyły się w styczniu m. in. koncerty Dobrochny Zubek i Piotra Banasika, Dziecięcej Orkiestry Symfonicznej pod dyr. Zuzanny Pradeli, Beaty Bednarz i Doroty Zaziąbło. Wystąpił także wybitny kompozytor i pianista Piotr Orzechowski.

■ U wylotu ul. Wzgórza, na rogu Rynku w Bielsku-Białej powstała nowa galeria sztuki „To Tu”. Jej założycielem jest znany bielski marzand, fotografik i animator kultury Grzegorz Bury. Galeria będzie się specjalizować w promocji polskich artystów z tzw. górnej półki.

■ 19 stycznia w Książnicy Beskidzkiej odbyła się promocja książki prof. ATH Marka Bernackiego „Świat interpretować. Studia o literaturze polskiej przełomu XX i XXI wieku”. 21 stycznia natomiast wystąpili tam z wykładem dr Bożena Choraży i dr Bogusław Choraży. Tematem ich oracji były prehistoryczne szlaki komunikacyjne w zachodnim Beskidzie w świetle badań archeologicznych.

■ Wydział Kultury i Sztuki UM w Bielsku-Białej wydał „W świerkowym gaju”. Jest to tom wierszy rudzickiego poety Juliusza Wątroby inspirowany i okraszony grafikami Józefa Świerka, zmarłego już niepokornego artysty z Bielska-Białej.

■ 12 stycznia w cyklu „Stare kino w starym zamku” odbyło się spotkanie pn. „Na parkiecie, w smokingu – Panowie w cylindrach”, które poprowadził jeden z najbardziej znanych bielszczan Stanisław Janicki. 25 stycznia natomiast w salonie muzycznym Zamku Sułkowskich w cyklu „Muzyka na Zamku” wystąpili Fabio Salmieri (skrzypce) oraz Piotr Loranc (fortepian).

■ Wystawy w Częstochowie: OPK Gaude Mater – Anna Wawrykowicz-Żakowicz; Wejściówka – Joanna Jeżewska-Desperak; OPK Gaude Mater – Arek Sołtysik.

■ Filharmonia Częstochowska przygotowała Wielką Galę Sylwestrową w stylu wiedeńskim *Nad pięknym modrym Dunajem*; wystąpili śpiewacy z Teatru Muzycznego w Łodzi, Teatru Muzycznego w Gliwicach oraz Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

■ Dwie odsłony Booksprint, czyli kolektywnego pisania subiektywnego przewodnika po Częstochowie, w grudniu i styczniu przygotowało Centrum Promocji Młodych.

■ Eklektyczny spektakl Kolędowo-Poetycki – „Na ten świat zgubiony” został zorganizowany przez Klub Związków Twórczych i Galerię A-Kwadrat w kościele ewangelicko-augsburskim w Opolu, w programie zaprezentowano wiersze opolskich poetów i utwory muzyczne w wykonaniu zespołu „Strunami do Góry” parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Opolu.

■ Dwa dni (10–11 stycznia) Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej obchodził 58. urodziny. 10 stycznia na scenie publiczności bawił zespół Big Będzin Band, dzień później – popis swoich umiejętności zaprezentowała Miejska Orkiestra Dęta w Dąbrowie Górniczej.

■ W styczniu w Muzeum Saturn w Czeladzi można było oglądać wystawę *Urok dawnego miasta. Dąbrowa Górnicza na starej fotografii i pocztówce ze zbiorów Muzeum Miejskiego „Sztęgarka”*. Wystawa wpisuje się obchody 100. rocznicy nadania Dąbrowie praw miejskich.

■ Dni fotografii, święto fotografii i fotografujących w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki zapoczątkowano 26 stycznia. Celem imprezy jest integracja środowiska artystów fotografików oraz amatorów-pasjonatów fotografii.

■ W gmachu Biblioteki Głównej w Sosnowcu gościły prace młodego sosnowieckiego artysty – Piotra Pietrzaka.

■ Marian Kisiel – poeta, krytyk literacki i historyk literatury spotkał się z czytelnikami 29 stycznia w sosnowieckiej MBP. Rozmowę promującą najnowszy tom wierszy autora „Nieuchronnie zbliżam się do was. Wiersze z lat 1980–2015” poprowadził Krzysztof Kłosiński.

■ Włodzimierz Kowalewski, autor książki „Excentrycy” oraz Janusz Majewski, reżyser nagrodzonego Srebrnymi Lwami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni filmu „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy” 2 lutego byli gośćmi sosnowieckiej MBP.

■ Kolejne spotkanie z cyklu „Klub Extravagance” w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki odbyło się 18 stycznia. Tym razem, przy filiżance dobrej kawy, można było obejrzeć krótkometrażowy film autobiograficzny w reżyserii Tomasza Śliwińskiego, zrealizowany w 2013 roku pod tytułem „Nasza kłątwa”. W spotkaniu uczestniczyła współautorka i bohaterka filmu – Magdalena Hueckel.

■ Nie tylko na Zaolziu ruszyły sejmiki gminne, których celem jest przede wszystkim wyłonienie delegatów na Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC, które odbędzie się 23 kwietnia w Cieskim Cieszynie. Poza Zaolziem swoich delegatów wybiorą również Polacy mieszkający w Pradze, Brnie i Ostrawie oraz po dwóch każda organizacja członkowska Kongresu.

■ W Szkole Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza w Jabłonkowie odbyła się 4 lutego uroczystość otwarcia Roku Sienkiewicza, w czasie którego Polacy na całym świecie przypominają sobie 170. rocznicę jego urodzin, 120. rocznicę wydania „Quo vadis” i 100. rocznicę jego śmierci. – Nie ma lepszego miejsca, żeby zainaugurować ten rok, niż ta szkoła – powiedziała ambasador RP w Pradze, prof. Grażyna Bernatowicz, która wspólnie z konsulem RP w Ostrawie, Januszem Bilskim, gościła na spotkaniu z jabłonkowską młodzieżą.

■ Wydarzenia z 26 stycznia 1919 r. przypominano sobie w Stonawie przy mogile pomordowanych podczas polsko-czechosłowackiego konfliktu zbrojnego. Pamięć dwudziestu zabitych żołnierzy 12. Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej oraz policjantów i innych walczących w obronie polskiej ziemi uczczono przy stonawskiej mogile chwilą zadumy, apelem poległych, modlitwą i odśpiewaniem „Roty”.

■ W ostatnich dniach stycznia Zaołzacy pożegnali dwie wybitne osobistości: wieloletniego nauczyciela Gimnazjum Polskiego, muzyka i plastyka Edwarda Kaima, oraz Władysława Milerskiego, zasłużonego działacza społecznego, nauczyciela, znakomitego badacza gwar cieszyńskich, tutejszego nazewnictwa osobowego i terenowego, autora fundamentalnych prac: „Nazwiska cieszyńskie” czy „Zachodniocieszyński słownik gwarowy”.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

cji w publicznych mediach. Zebrane pieniądze przeznaczone zostały na zakup urządzeń medycznych dla oddziałów pediatrycznych oraz dla zapewnienia godnej opieki medycznej seniorów. **MARSZAŁEK** śląski Wojciech Saługa zwrócił się z prośbą do wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego o współprowadzenie – co w zasadzie oznacza stałe dofinansowanie – działalności zespołu „Śląsk” oraz Opery Śląskiej w Bytomiu. Obecnie resort kultury współprowadzi jedynie dwie instytucje kultury w naszym regionie: Muzeum Śląskie i NOSPR. Dla przykładu w woj. dolnośląskim jest 5 instytucji dofinansowanych stale przez ministerstwo kultury.

WYDANO już 23 tysiące Śląskich Kart Usług Publicznych, którymi m.in. można płać za przejazdy jednorazowe i okresowe w autobusach i tramwajach, a także dokonywać opłaty za parkingi. Dochód z ich użytkowania już sięga kilku milionów złotych, a system SKUP się dynamicznie rozwija.

WŁADZE miasta Rybnika nie zgodziły się na pomysł ulokowania w hotelu „Olimpia” w dzielnicy Kamień 150 uchodźców i to mimo konkretnych pieniędzy tj. kwoty 1 mln 50 tys. zł za trzy miesięczny pobyt. Warszawski Urząd ds. Cudzoziemców nie chciał zdradzić o jakich uchodźcach chodzi – czy o Ukraińców, czy też raczej Syryjczyków. **WŁADZE** górnośląskiego Związku Metropolitarnego zdecydowały, że do „bazowej czternastki” mogą dołączyć pozostałe gminy wskazane w strategii „Śląskie 2020+”: Knurów, Tarnowskie Góry, Wojkowice, Mikołów, Łaziska Górne, Bieruń, Będzin, Czeladź i Radzionków. Metropolia urośnie więc nam do 23 miast. Decyzję o przynależności będą musiały podjąć poszczególne rady miast. GZM chciałby zacząć działać od 1 stycznia 2017 roku, lecz potrzebne jest do tego rządowe rozporządzenie. Stąd też apel GZM do pani premier Beaty Szydło.

KILKUSET chasydów z całego świata m.in. z USA, Izraela i Ukrainy przyjechało 15 stycznia modlić się nad grobem cadyka Dawida Bidermana w Lełowie. Pielgrzymki te wrosły już w krajobraz miejscowości i przyczyniły się do jej promocji. Można tu poczuć przedwojenny klimat, wszak dawniej Żydzi na równi z Polakami byli współgospodarzami Lełowa. Lełów stał się też centrum kultury żydowskiej. Urządza się tu m.in. cieszące się międzynarodową sławą Święto Ciulimu i Czulen-tu. Czulent to żydowska potrawa świąteczna.

UCHWAŁĘ popierającą obywatelską ustawę o śląskiej mniejszości etnicznej i śląskim języku regionalnym przyjął 18 stycznia Sejmik Śląski. Był to głos protestu wobec zniewag, jakie na Ślązaków posypały się 15 stycznia w czasie sejmowej debaty nad obywatelskim projektem ustawy. Szczytem politycznego chamstwa była wypowiedź posła PiS-u z Bielska-Białej, Stanisława Pięty, który zwrócił się do Jerzego Gorzelika, uzasadniając ustawę, bulwersującymi słowami, że „Korfanty to by do was kazał strzelać”. Na szczęście poseł Pięta nie urasta do pięt Korfiantemu...

OSTATECZNIE Sejm na posiedzeniu w dniu 30 stycznia projektu nie odrzucił, lecz opowiedział się za skierowaniem go do dalszych prac w komisjach administracji i spraw wewnętrznych oraz w komisji mniejszości narodowych i etnicznych. Za tą decyzją głosowało 249 posłów, 51 było przeciw, 124 wstrzymało się od głosu.

OBLICZA się, że rządowy program 500 plus pochłonie w woj. śląskim kwotę 1,6 mld zł. Ma wystarczyć dla wszystkich chętnych, choć do tej pory brak szacunków, ilu w zasadzie ich będzie. Na pewno bociany przylecą do Polski w tym roku wcześniej... Program 500 plus ma wystartować od kwietnia.

PREMIER Beata Szydło otrzymała list od 9-letniej Julki z Mikołowa. Dziewczynka zadawała bardzo logiczne pytanie dotyczące rządowego programu „Rodzina 500 plus”. Nie rozumie, dlaczego tylko jej młodsza siostra ma dostać pieniądze, a ona – będąc pierwszym dzieckiem w kolejności – nie. Pani premier – w odpowiedzi – zaprosiła rezolutną mikołowiankę na spotkanie do Warszawy do kancelarii premiera. Czyżby zaproponować miano Julce posadę co najmniej ministerialną albo przynajmniej rzeczniczką dzieci nie objętych rządową hojnością?

KATOWICKI Spodek gościł w tym roku piłkarzy ręcznych na spółkę z Krakowem, gdzie odbył się najważniejszy i wygrany mecz naszej reprezentacji – Polacy pokonali mistrzów świata, Francuzów 31:25. Natomiast u nas przewinęły się reprezentacje Chorwacji, Białorusi, Norwegii i barwny korowód kibiców z tych krajów (i śląskich miłośników siatkówki). Trybuny były pełne, a kolejne mistrzostwa Europy oceniono jako udane.

BENEFIS niemal 94-letniego Jerzego Gottfrieda, jednego z najwybitniejszych śląskich architektów, miał miejsce w czwartek 21 stycznia w Bibliotece Śląskiej i połączony został z wystawą dokumentującą jego twórczość architektoniczną. Był twórcą „zawsze otwartym na awangardę i nowoczesność” i choć tworzył w prząsnym PRL-u udało mu się zaprojektować takie innowacyjne perle jak chorzowska hala Kapelusza, kompleks Ośrodka Postępu Technicznego w Parku Śląskim. Wspólnie z architektami Henrykiem Buszko, Aleksandrem Frantą zaprojektowali gmachy Okręgowej Rady Związków Zawodowych (dziś Urząd Marszałkowski), Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach, czy Teatru Ziemi Rybnickiej.

DUŻO skromniejsze były pod koniec stycznia demonstracje KOD-u w miastach naszego regionu, już nie gromadzą kilkutysięcznych tłumów, jak jeszcze miesiąc, dwa temu. Ich uczestnicy zebraли się na placach Chrobrego m.in. w Katowicach, Bielsku-Białej, czy Bytomiu. Protestowali przeciw nowelizacji ustawy o policji (rozszerzono możliwości używania podśluchów i wykorzystywania bilingów), jak też sprzeciwiano się nowelizacji procedury karnej (ograniczeniu prawa do obrony w procesie karnym).

POGŁOSKI o tym, że pod Cieszyńem pełno jest sekretnych korytarzy, krążą po mieście od dawna. Znalazły się nawet pieniądze na odsłonięcie fragmentu tych podziemi. Wojciech Świąś był autorem projektu dotyczącego odgruzowania tajemniczego podziemnego korytarza zaczynającego się przy ul. Przykopa. Przyznano z budżetu obywatelskiego na ten cel kwotę 50 tysięcy złotych i nie jest wykluczone, że – o ile korytarz uda się przywrócić do użytku – pomysłodawca zwróci się o kolejne fundusze na odkrywanie cieszyńskich podziemi.

SPRAWĘ węglowych deputatów prawdopodobnie ureguluje specustawa. Przypomnijmy, że pozbawionych deputatów zostało 220 tysięcy byłych górników – a to głównie ze względu na fatalną kondycję finansową górnictw spółek. Zaś około 100 tysięcy górniczych emerytów, których zakłady pracy trafiły m.in. do Spółki Restrukturyzacyjnej Kopalni, nadal go otrzymuje. Ustawa, której opracowanie się dopiero zapowiada, ma to uporządkować. Tylko w jakim kierunku – utrzymywanie czy likwidacji tego przywileju?

KSIĄDZ szuka zdjęć, by odnowić kościołek. W maju bowiem zabytek znajdujący się na terenie Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Rybniku, tak jak cała lecznica, będzie świętować jubileusz 130-lecia istnienia. Ksiądz Krzysztof Muras, kapelan szpitalny, wraz z pacjentami postanowił odtworzyć pierwotny wygląd świątyni, dlatego zaapelował do mieszkańców, by dostarczyli archiwalne fotografie i pocztówki przedstawiające wnętrze kościoła. Udało się już dzięki temu zrekonstruować piszczałki organów.

KOŃCEM stycznia trwało liczenie bezdomnych w naszym województwie. Jedno nie ulega wątpliwości – osób bez dachu nad głową nieustannie przybywa. Rok temu było ich 4 tysiące 415, dwa lata temu 4 tysiące 290, a w 2009 roku – 3 tysiące 248 osób (w tym 574 kobiety i 2674 mężczyzn). Poza eksmisjami do bezdomności prowadzi też alkohol i jego nadużywanie, a także bezrobocie, czy problemy rodzinne.

DZIESIEĆ lat temu doszło do największej katastrofy budowlanej w powojennej Polsce. 28 stycznia 2006 roku o godz. 17.15 zawalił się dach Międzynarodowych Targów Katowickich podczas trwającej tu ogólnopolskiej wystawy gołębi. Zginęło w sumie 65 osób. Rannych zostało od 120 do 170 osób (różnie się podaje). W chwili katastrofy na terenie hali przybywało ok. pół tysiąca osób. Wciąż nie znamy winnych tej tragedii.

LOTNISKO w Pyrzowicach izoluje się od stolicy. Pewno podoba się to autonomistom, ale chyba mniej biznesowemu pasażerom, którzy stanowili większość klientów. Jeszcze w styczniu były trzy loty do stolicy, od lutego już tylko dwa. Biznesmeni zapowiadają, że przeniosą się za miastem, na lotnisko w krakowskich Balicach.

OPINIA publiczna śledzi proces podejrzanego o spalenie własnej rodziny Dariusza P. z Rybnika, byłego parafialnego szafarza, sprawy która wszystkim głęboko wstrząsnęła. Feralnej nocy 10 maja 2013 roku oskarżony miał celowo podpalić dom, w którym zginęła jego żona oraz czwórka dzieci. Dzień przed śmiercią, córka Dariusza P., Justyna zwierzała się swojemu chłopakowi, że się boi tego, iż w ich domu dojdzie do pożaru. Przed sądem zeznawały też kobiety, którym oskarżony... oświadczał się niedługo po tragicznym pożarze.

ZAOSTRZA się sytuacja w śląskim górnictwie. Punktem zapalnym była i jest wypłata „czternastek”. Lista spomych kwestii jest jednak dłuższa, bowiem Kompania Węgłowa zdecydowała się wypowiedzieć porozumienie z lipca 2015 roku gwarantujące m.in. niezmienną zatrudnienia.

POWSTAJE musical o polskim papieżu Janie Pawle II. Jego premierę zapowiada się za rok w Krakowie. Spektakl nosi tytuł „Karol”; jego scenariusz jest oczywiście oparty na bogatym życiorysie JP II. Autorem libretta jest dr hab. Michał Kaczmarek, rektor Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu, politolog, literaturoznawca i medioznawca. Muzykę przygotowuje Filip Siejka. Reżyserem spektaklu jest Krzysztof Korwin-Piotrowski, a wystąpią w nim m.in. Anna Wyszczoni, Piotr i Wojciech Jugowscy, Dariusz Niebudek. Utrzymywane jest w tajemnicy odtwórca roli papieża.

OBCHODY Dzień Tragedii Górnośląskiej, jakie przypadły w ostatni weekend stycznia, uczczono m.in. tradycyjnym Marszem Pamięci o Zgodzie, który przeszedł z katowickiego placu Wolności przez Chorzów Batory aż po bramę dawnego obozu pracy przymusowej w Świętochłowicach. Dziesięciokilometrową trasę pokonało w milczeniu ponad dwieście osób.

KRONIKARZ

Kartofle z miętą

JAROSŁAW STARZYK

W celu doznania wzruszeń estetycznych, które są rezultatem obcowania ze sztuką, szliśmy z przystanku tramwajowego do galerii. To znaczy nie do miejsca nazywającego się w dawnym języku domem towarowym (aczkolwiek według mojej wiedzy te obiekty są zwiedzane przez całe rodziny, zwłaszcza w weekendy), tylko do „przestrzeni miejskiej” służącej artystom plastynom do prezentacji wzlotów swojego ducha i przyjmowania gratulacji, zaś pewnej grupie widzów do skosztowania bezpłatnie kwaśnego wina. Białego lub czerwonego.

Dwa kroki za nami włókł się nasz sąsiad, osiedlowy biznesmen, uważający naszą wyprawę za bezsensowną, towarzyszący nam jednak, ponieważ tego wieczora nie miał co ze sobą zrobić.

– Kebab!... Kebab!... Kebab! – wykrzykiwał co jakiś czas oskarżycielsko profesor, wskazując szyldy mijanych po drodze lokali gastronomicznych. – I znowu! I jeszcze raz! Jeździł pan trochę (nie tyle co ja), ale jednak po świecie i – zapewne – jak już pan gdzieś był, to chciał pan skosztować specjalności miejscowej kuchni. Świczkowej z knedlikiem w Czechach, muli gotowanych w białym winie we Francji, węgierskiego gulaszu itd. A tu, u nas, w Katowicach, czego może skosztować turysta?! Kebaba!

– Jeszcze burgera – odezwałem się nieśmiało. – Pan profesor był łaskaw nie zauważyć, że mijaliśmy lokale specjalizujące się właśnie w tym daniu.

– No właśnie! – ucieszył się uczony z naszej klatki schodowej. – W centrum nie ma na stałe krupnioków, żymłoków, szalotu, rolady z kluskami i modrą kapustą, prawdziwego żuru – jest jakiś żurek... Żurek! Straszne. Wie pan, panie Jarosławie, marzy mi się usytuowana w samym centrum ekskluzywna, niechby nawet nie tania restauracja, w której bez skrupowania mógłby pan sobie zamówić kartofle ze zsiadłym mlekiem, podane na wykwintnej zastawie...

– Orwell, którego aktualność przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania – ośmieliłem się przerwać filipikę profesora – napisał także tekst, który do końca mnie nie przekonał. – Otóż w którymś ze swoich esejów on, straszliwie krytykujący własną ojczyznę m.in. za podłe zachowanie w czasie powstania warszawskiego, stanął w obronie brytyjskiej... kuchni! I cóż on wynalazł na obronę ojczystych smakołyków? Właściwie tylko jedną rzecz. Kartofle ugotowane z miętą. Wypróbowałem ten przepis, no cóż, fajne, ale żeby z tego robić sztandarowy rarytas?...

– Do restauracji przychodzi milicjant obywatelski – niepostrzeżenie dołączył do nas nasz biznesmen – i zamówił sobie frytki. Po kilku minutach wraca do niego kelner i mówi: „Niestety, panie władzo, kartofle nam wyszły”. A milicjant na to: „Nic nie szkodzi, zjem z chlebem”. Ha, ha, ha!

– Co to ma być? – profesor był wstrząśnięty. – Jakieś literackie dywagacje, jakieś żarty... A ja się z panami dzielę obserwacjami konkretnymi. Dowodzę empirycznie, że coś tu jest nie tak. Może przypomnę...

Ale nie przypominał, ponieważ doszliśmy do celu i stanęli u wejścia do Świątyni Sztuki.

– Nasza debata – biznesmen pokazał, że nie jest mu obcy wyszukany sposób wyrażania się – sprawiła, że zgłodniałem. Idźcie panowie, ja coś przekąszę i tu na was zaczekam.

Wchodziliśmy do galerii, zdążyłem jeszcze zauważyć, że nasz przedsiębiorczy sąsiad znika w drzwiach lokalu pod szyldem „Prawdziwy kebab”. W tym samym czasie osiedlowy naukowiec był pochłonięty kontemplacją plakatu reklamującego wystawę.

I bardzo dobrze.

ŚLASK

Kolekcja „Śląska”

Przez cały jubileuszowy Rok „Śląska”, z okazji 20-lecia istnienia pisma, prezentowaliśmy co miesiąc dzieła artystów związanych ze Śląskiem. Okazało się, że ten malarsko-graficzny cykl bardzo przypadł do gustu naszym Czytelnikom. Dlatego redakcja postanowiła nie rezygnować z tego cyklu, z dwóch powodów: po pierwsze, skoro podoba się Czytelnikom, to będziemy go kontynuować, ale pod nazwą Kolekcja „Śląska”, po drugie – jest jeszcze tylu wspaniałych artystów do pokazania, że zapewne braknie kolejnych dwunastu miesięcy.



Ireneusz
Walczak

Urodzony w 1961 roku, absolwent ASP Kraków, Wydział Grafiki w Katowicach (1988), dyplom z wyróżnieniem. Profesor zwyczajny, prowadzi pracownię malarstwa, od II do V roku (dyplomowego) w ASP w Katowicach. Od 1989 roku namalował jedenaście cykli obrazów m.in.: „Budowanie tożsamości”, „My house is my language”, „Multikulti”. Brał udział w 270 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Miał 19 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. Laureat 30 nagród i wyróżnień krajowych i zagranicznych, m.in. Grand Prix – nagroda (medal) miasta Chamalières – I Światowe Triennale Małych form Graficznych, Chamalières, Francja (1988), Stypendium „The Pollock – Krasner Foundation Award”, Nowy Jork, USA (1993), Grand Prix – „Bielska Jesień”, Bielsko-Biała (1993). Od początku brał też udział w ważnych wystawach pokoleniowych, m.in. „Krytycy o nas” – BWA Sopot (1989), „Czarna Dziura” BWA Katowice (1990), Malarstwo lat 80. – Frankfurt nad Menem, Düsseldorf – Niemcy (1991), „Rozbiórka Żelaznej Kurtyny” Centrum wystawiennicze Kuhlhaus Berlin – 2011), 2014 – „1990”, Galeria Miejska Wrocław, kurator Krzysztof Stanisławski, 2015 – „Transformation Generation”, Kunsthalle Hannover, Freies Museum, Berlin, kurator Dorota Kabiesz; „Koń trojański” – BWA Katowice – kurator Ingmar Villquist (2015). Dialog der Generationen – Neue Polnische Kunst Freies Museum Berlin (2015), „Z głębi”, Muzeum Śląskie w Katowicach. Wielokrotnie uczestniczył w targach sztuki Art Cologne i Art Frankfurt.

Foto: Adriana Szendzielorz-Walczak



Ireneusz Walczak, Multikulti II
olej, akryl, płótno 100 x 100 x 17, 2013



GÓRNOŚLĄSKIE KROSZONKI 2016

12.03 - 17.04.2016

MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
PL. JANA III SOBIESKIEGO 2
BYTOM